



BRUNO SCHULZ

---

**Sanatorium Pod  
Klepsydrą (zbiór)**

BRUNO SCHULZ

# Sanatorium Pod Klepsydrą (zbiór)

## Księga

### I

Nazywam ją po prostu Księgą, bez żadnych określeń i epitetów, i jest w tej abstynencji i ograniczeniu bezradne westchnienie, cicha kapitulacja przed nieobojętnością transcendentu<sup>1</sup>, gdyż żadne słowo, żadna aluzja nie potrafi załsnąć, zapachnieć, spłynąć tym dreszczem przestrachu, przecuciem tej rzeczy bez nazwy, której sam pierwszy posmak na końcu języka przekracza pojemność naszego zachwyty. Cóż pomógłby patos przymiotników i napuszystość<sup>2</sup> epitetów wobec tej rzeczy bez miary, wobec tej świetności bez rachuby. Czytelnik zresztą, czytelnik prawdziwy, na jakiego liczy ta powieść, zrozumie i tak, gdy mu spojrzę głęboko w oczy i na dzień samym załsnę tym blaskiem. W tym krótkim a mocnym spojrzeniu, w przelotnym ściśnięciu ręki pochwyty on, przejmie, odpozna — i przymknie oczy z zachwyty nad tą recepcją głęboko. Bo czyż pod stołem, który nas dzieli, nie trzymamy się wszyscy tajnie za ręce?

Księga... Gdzieś w zaraniu dzieciństwa, o pierwszym świcie życia jaśniał horyzont od jej łagodnego światła. Leżała pełna chwały na biurku ojca, a ojciec, pogrążony w niej cicho, pocierał poślinionym palcem cierpliwie grzbiet tych odbijaneek, aż ślepy papier zaczynał mglić się, mętnieć, majaczyć błogim przecuciem i z nagłą złuszczał się klakami bibuły i odsłaniał rąbek pawiooki i urzęsiony, a wzrok schodził, mdlejąc, w dziewiczy świt bożych kolorów, w cudowną mokrość najczystszych lazurów.

O, to przetarcie się bielma, o, ta inwazja blasku, o błoga wiosno, o ojcz...

Czasem ojciec wstawał od Księgi i odchodził. Wówczas zostawałem z nią sam na sam i wiatr szedł przez jej stronicę i obrazy wstawały.

I gdy tak wiatr cicho kartkował te arkusze, wywiewając kolory i figury, spływał dreszcz przez kolumny jej tekstu, wypuszczając spomiędzy liter klucze jaskółek i skowronków. Tak ulatywała, rozsypując się, stronica za stronicą i wsiąkała łagodnie w krajobraz, który syciła barwnością. Czasami spała i wiatr rozdmuchiwał ją cicho jak różę stulistną i otwierała listki, płatek za płatkim, powieka pod powieką, wszystkie ślepe, aksamitne i uśpione, kryjąc w sednie swym na dzień lazurówą źrenicę, pawi rdzeń, krzyczące gniazdo kolibrów.

To było bardzo dawno. Matki jeszcze wówczas nie było. Spędzałem dni sam na sam z ojcem w naszym, wielkim wówczas jak świat, pokoju.

Pryzmatyczne kryształki, zwisające z lampy, napełniały pokój rozproszonymi kolorami, rozpryskaną po wszystkich kątach tęczą i gdy lampa obracała się na swych łańcuchach, wędrował cały pokój fragmentami tęczy, jak gdyby sfery siedmiu planet<sup>3</sup> przesuwwały się kręcąc przez siebie. Lubilem stawać między nogami ojca, obejmując je z obu stron, jak kolumny. Czasami pisał listy. Siedziałem na biurku i śledziłem z zachwytem zakrętasę podpisu, zawile i wirujące, jak trele koloraturowego<sup>4</sup> śpiewaka. W tapetach pączkowały

Ojciec, Książka

<sup>1</sup>transcendent — sfera nadprzyrodzona. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>napuszystość — dziś: napuszenie. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>sfery siedmiu planet — w kosmologii przed Kopernikiem zakładano, że planety krążą wokół ziemi po wypisanych im sferach. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>koloraturowy — umiejący wykonywać koloratury, tj. ozdobniki wokalne. [przypis edytorski]

uśmiechy, wykluwały się oczy, koziołkowały figle. Aby mnie ubawić, ojciec wypuszczał w tęczową przestrzeń bańki mydlane z długiej słomki. Obijały się o ściany i pękały, zostawiając w powietrzu swe kolory.

Potem przyszła matka i wczesna ta, jasna idylla<sup>5</sup> skończyła się. Uwiedziony piieszczotami matki, zapomniałem o ojcu, życie moje potoczyło się nowym, odmiennym torem, bez świąt i bez cudów, i byłbym może na zawsze zapomniał o Księdze, gdyby nie ta noc i ten sen.

## II

Obudziłem się raz w ciemny świt zimowy — pod zwałami ciemności paliła się, głęboko w dole, ponura zorza — i mając jeszcze pod powiekami mrowie mglistych figur i znaków, zacząłem majaczyć niejasno i zawile, wśród udręki i próżnego żalu, o starej, zaginionej Księdze.

Nikt mnie nie rozumiał i, rozdrażniony tą tępotą, zacząłem natarczywiej naprzykrzać się i molestować rodziców w niecierpliwości i gorączce.

Bosy i w koszuli tylko przerzuciłem, drżąc z podniecenia, bibliotekę ojca i rozczarowany, gniewny opisywałem bezradnie przed osłupiałym audytorium tę rzecz nie do opisanania, której żadne słowo, żaden obraz, nakreślony drżącym i wydłużonym mym palcem, nie mógł dorównać. Wyczerpywałem się bez końca w relacjach pełnych splątania i sprzeczności i płakałem z bezsilnej rozpacz.

Stali nade mną bezradni i zmieszani, wstydzając się swej bezsilności. W głębi duszy nie byli bez winy. Moja gwałtowność, ton żądania niecierpliwego i pełen gniewu dawał mi pozór słuszności, przewagę dobrze uzasadnionej pretensji. Przybiegali z różnymi książkami i wciskali mi je w ręce. Odrzucałem je z oburzeniem.

Jedną z nich, gruby i ciężki foliant<sup>6</sup>, ojciec mój wciąż na nowo podsuwał mi z nieśmiałą zachętą. Otworzyłem ją. Była to Biblia. Ujrzałem na jej kartach wielką wędrówkę zwierząt, płynącą gościńcami, rozgałęzioną pochodami po kraju dalekim, ujrzałem niebo w kluczach całe i w łopotach, ogromną odwróconą piramidę, której daleki wierzchołek dotykał Arki.

Podniosłem oczy na ojca, pełne wyrzutu: — Ty wiesz, ojcie — wołałem — ty wiesz dobrze, nie ukrywaj się, nie wykręcaj! Ta książka cię zdradziła. Dlaczego dajesz mi ten skażony apokryf<sup>7</sup>, tysiącną kopię, nieudolny falsyfikat? Gdzie podziałeś Księgę?

Ojciec odwrócił oczy.

## III

Minęły tygodnie i wzburzenie moje opadło i uciszyło się, ale obraz Księgi płonął dalej w mej duszy jasnym płomieniem, wielki, szeleszczący Kodeks, wzburzona Biblia, przez której karty szedł wiatr, plądrując ją, jak ogromną, rozsypującą się różę.

Ojciec, widząc mnie spokojniejszym, zbliżył się raz ostrożnie i rzekł tonem łagodnej propozycji: — W gruncie rzeczy istnieją tylko książki. Księga jest mitem, w który wierzymy w młodości, ale z biegiem lat przestaje się ją traktować poważnie. — Miałem już wówczas inne przekonanie, wiedziałem, że Księga jest postulatami, że jest zadaniem. Czuliśmy na barkach ciężar wielkiego posłannictwa. Nie odpowiedziałem nic, pełen pogardy i zacieklej ponurej dumy.

W tym czasie bowiem byłem już w posiadaniu tego strzępu książki, tych żalosnych resztek, które dziwny traf losu przemycił w me ręce. Kryłem skarb swój troskliwie przed wszystkimi oczyma, bolejąc nad głębokim upadkiem tej księgi, dla której okaleczonych resztek nie zdołałbym zjednać niczyjego zrozumienia. Stało się to tak.

Pewnego dnia tej zimy zastałem Adelę w trakcie sprzątania, ze szczotką w ręku, wspartą o pulpit, na którym leżał podarty jakiś szpargał. Nachyliłem się przez jej ramię, nie tyle z ciekawości, ile żeby znowu odurzyć się zapachem jej ciała, którego młody urok objawił się był niedawno obudzonym mym zmysłom.

<sup>5</sup>idylla — sielanka. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>foliant a. foliant (daw.) — księga dużego formatu. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>apokryf — księga nie włączona do kanonu Pisma św. [przypis edytorski]

— Patrz — mówiła, znosząc bez protestu moje przytulenie się — czy możliwe jest, żeby komuś wyrosły włosy do ziemi? Chciałbym mieć takie.

Spojrzałem na rycinę. Na dużej karcie *in folio*<sup>8</sup> był tam wizerunek kobiety o kształtach raczej silnych i przysadkowatych, o twarzy pełnej energii i doświadczenia. Z głowy tej damy spływał ogromny kożuch włosów, staczał się ciężko z pleców i włókł się końcami grubych splotów po ziemi. Był to jakiś nieprawdopodobny wybryk natury, płaszcz fałdzisty i obfity, wyprzedzony z korzonków włosów, i trudno było wyobrazić sobie, żeby ten ciężar nie sprawiał dotkliwego bólu i nie obezwładniał obciążonej nim głowy. Ale właścicielka tej wspaniałości zdawała się z dumą ją nosić, a tekst wydrukowany obok tłustymi czcionkami głosił historię tego cudu i zaczynał się od słów: *Ja, Anna Csillag, urodzona w Karłowicach na Morawach, miałam słaby porost włosów...*

Była to długa historia, podobna w konstrukcji do historii Hioba. Anna Csillag z dopustu bożego dotknięta była słabym porostem. Całe miasteczko litowało się nad tym upośledzeniem, które wybaczano jej ze względu na nienaganny żywot, chociaż nie mogło ono być całkiem niezawinione. I oto stało się na skutek gorących modłów, że zdjęta była z jej głowy kłatwa. Anna Csillag dostała łaski oświecenia, otrzymała znaki i wskazówki i sporządziła specyfik, lek cudowny, który jej głowie przywrócił urodzajność. Zaczęła porastać we włosy i nie dość na tym, jej mąż, bracia, kuzynowie także z dnia na dzień opilśniali się tęgim, czarnym futrem zarostu. Na drugiej stronie pokazana była Anna Csillag w sześć tygodni po objawieniu jej recepty, w otoczeniu swych braci, szwagrów i bratanków, mężów brodatych po pas i wąsatych, i z podziwem patrzyło się na ten prawdziwy wybuch nie sfalszowanej, niedźwiedziej męskości. Anna Csillag uszczęśliwiła całe miasteczko, na które spłynęło prawdziwe błogosławieństwo w postaci falujących czupryn i grzyw ogromnych i którego mieszkańcy zamiatali ziemię brodami jak miotły szerokimi. Anna Csillag stała się apostołką włochatości. Uszczęśliwiwszy rodzinne miasto, zapragnęła uszczęśliwić świat cały i prosiła, zachęcała, błagała, aby przyjęc dla zbawienia swego ten dar boży, ten lek cudowny, którego sama jedna знаła tajemnicę.

Tę historię przeczytałem przez ramię Adeli i nagle tknęła mnie myśl, od której uderzenia stanąłem cały w płomieniach. Toż to była Księga, jej ostatnie stronicę, jej nieurzędowy dodatek, tylna oficyna<sup>9</sup> pełna odpadków i rupieci! Fragmenty tęczy zakreśliły się w wirujących tapetach, wyrwałem z rąk Adeli szpargał i głosem odmawiającym mi posłuszeństwa wyzionąłem: — Skąd wzięłaś tę książkę?

— Głupi — rzekła, wzruszając ramionami — przecież ona leży tu zawsze i co dzień wydzieramy z niej kartki na mięso do jatek<sup>10</sup> i na śniadanie dla ojca.

## IV

Pobiegłem do mego pokoju. Wzburzony do głębi, z płonąca twarzą zacząłem wertować<sup>11</sup> latającymi rękami kartki szpargału. Niestety, było ich zaledwie kilkanaście. Ani jedna stronica właściwego tekstu, same tylko ogłoszenia i anonse. Zaraz po prorocत्वach długowłosej Sybilli następowała kartka poświęcona cudownemu leкови na wszystkie choroby i ułomności. Elsa — fluid z łabędziem — nazywał się ten balsam i działał cuda. Stronica pełna była świadectw uwierzytelnionych, wzruszających relacji osób, na których cud się dokonał.

Z Siedmiogrodu, ze Sławonii, z Bukowiny przychodzili ozdrowieńcy pełni zapału, by przyświadczyć, gorącym i wzruszonym słowem opowiedzieć swe dzieje. Szli obandażowani i zgarbieni, potrząsając już niepotrzebnym szczudłem, odrzucali plastry z oczu i opaski ze skroful<sup>12</sup>.

Poprzez te wędrówki kalek widziało się dalekie i smutne miasteczka o białym jak papier niebie, stwardniałe od prozy i codzienności. Były to zapomniane w głębi czasu miasta, gdzie ludzie przywiązani byli do swych małych losów, od których nie odrywali się ani na chwilę. Szewc był do cna szewcem, pachniał skórą, miał twarz małą i zbiedzoną, krótkowzroczne, blade oczy nad bezbarwnym, wężącym wąsem i czuł się na wskroś

<sup>8</sup>*in folio* — dawne określenie dużego formatu. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*oficyna* — skrzydło budynku, zwykle przeznaczone na pomieszczenia gospodarcze. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*jatki* — rzeźnia. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*wertować* — przeglądać, przewracając kartki. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*skrofuly* — nabrzmiące węzły chłonne szyi (choroba bydła). [przypis edytorski]

szewcem. I jeżeli nie bolały ich wrzody, nie łamały kości, puchlina nie kładła na barłóg, byli szczęśliwi bezbarwnym, szarym szczęściem, palili tani tytoń, żółty tytoń cesarsko-królewski, lub marzyli tępo przed kolekturą loterii.

Koty przebiegały im drogę, to z lewej, to z prawej strony, śnił im się czarny pies i świerbiała ich ręka. Czasami pisali listy z listowników, nalepiali troskliwie markę<sup>13</sup> i powierzali je z wahaniem i pełni nieufności skrzynce pocztowej, w którą uderzali pięścią, jak gdyby ją budzili. I przez sny ich przelatywały potem białe gołębie z listami w dzióbkach i znikwały w obłokach.

Następne stronicie wznosiły się ponad sferę spraw codziennych w regiony czystej poezji.

Były tam harmonie, cytry i harfy, ongi<sup>14</sup> instrumenty chórów anielskich, dziś dzięki postępowi przemysłu udostępnione po popularnych cenach prostemu człowiekowi, bogobojnemu ludowi dla pokrzepienia serc i godziwej rozrywki.

Były tam katarynki, prawdziwe cuda techniki, pełne ukrytych wewnątrz fletów, gardziołek i piszczałek, organków trelujących słodko jak gniazda szlochających słowików, nieoceniony skarb dla inwalidów, źródło lukratywnych do chodów dla kalek i niezbędne w ogóle w każdym muzycznym domu. I widziało się te katarynki pięknie malowane, wędrujące na plecach niepokąźnych szarych staruszek, których twarze, wyjedzone przez życie, były jakby zasnute pajęczyną i całkiem niewyraźne, twarze o łzawiących, nieruchomych oczach, które z wolna wyciekały, twarze wyjałowione z życia, tak odbarwione i niewinne, jak kora drzew spękana od pogód wszelkich, i pachnące już tylko deszczem i niebem jak ona.

Dawno zapomnieli, jak się nazywali i kim byli, i tak zagubieni w sobie szurgali z ugiętymi kolanami drobnymi, równymi kroczkami w swych ogromnych, ciężkich butach po linii całkiem prostej i jednostajnej, wśród krętych i zawitych dróg przechodniów.

W białe, bezsłoneczne przedpołudnia, przedpołudnia szcerstwiałe od zimna, pograżone w codzienne sprawy dnia, wyplątywali się niepostrzeżenie z tłumy, stawiali katarynkę na krzyżulcach na zbiegu ulic, pod żółtą smugą nieba, przekreśloną drutem telegraficznym, wśród ludzi śpieszących tępo z nastawionymi kołnierzymi, i zaczynali swą melodię, nie od początku, lecz w miejscu, gdzie wczoraj przzerwali, i grali: „Daisy, Daisy, ty mi odpowiedź daj...”, podczas gdy z kominów puszyły się białe pióropusze pary. I rzecz dziwna — ta melodia, zaledwie rozpoczęta, wskakiwała zaraz w wolną lukę, w swoje miejsce w tej godzinie i w tym krajobrazie, jak gdyby od zawsze należała do tego dnia zamyślnego i zgubionego w sobie samym, a w takt jej biegle myśli i szare troski śpieszących.

I gdy po pewnym czasie kończyła się długim, wyciągniętym wizgotem, wyprutym z trzewi katarynki, która zaczynała się z całkiem nowej beczki — myśli i troski zatrzymywały się na chwilę, jakby w tańcu, by zmienić krok, a potem bez zastanowienia zaczynały kręcić się w odwrotnym kierunku w takt nowej melodii, która wybiegła z fujarek katarynki: „Małgorzato, skarbie mojej duszy...”

I w tępy indyferentyzm<sup>15</sup> tego przedpołudnia nikt nie zauważył nawet, że sens świata zmienił się do gruntu, że biegł on już nie w takt „Daisy, Daisy”, ale wprost przeciwnie „Mał-go-rzato...”

Obracamy znów kartkę... Cóż to? Czy pada deszcz wiosenny? Nie, to ćwierkanie ptaszków sypie się jak szary śrut na parasole, bo oto oferuje się tu prawdziwe kanarki harceńskie, klatki pełne szczygłów i szpaków, koszyki pełne śpiewaków i gadułów skrzydlatych. Wrzecionowate i lekkie, jakby wypchane watą, podskakujące w drgawkach, zwrotne, jak na gładkich, kwilących sworzniach, rozświergotane jak kukułki zegarów — były one osłoda samotności, zastępowały kawalerom ciepło ogniska rodzinnego, wywabiały z najtwardszych serc błogość uczucia macierzyńskiego, tyle miały pisklącego i wzruszającego, i jeszcze gdy obracało się nad nimi stronicę, posyłały za odchodzącym złączone swe, wabiące ćwierkanie.

Ale w dalszym ciągu staczał się ten skrypt żaloszny w coraz głębszy upadek. Teraz zszedł na bezdroża wątpliwej jakiejś szarlatańskiej mantyki<sup>16</sup>. W długim płaszczu, z uśmiechem

<sup>13</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>ongi (daw.) — dawniej. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>indyferentyzm — obojętność. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>mantyka — wróżbiarstwo. [przypis edytorski]

na wpeł pochłoniętym przez czarną brodę, któż to prezentował się do usług publiczności? Pan Bosco z Mediolanu, swego znaku mistrz czarnej magii, i mówił długo i niewyraźnie, demonstrując coś na końcach palców, co nie czyniło rzeczy zrozumialszą. I choć w przekonaniu własnym dochodził do zadziwiających konkluzyj<sup>17</sup>, które ważyć się zdawał przez chwilę między czułymi palcami, zanim ich lotny sens nie uszedł z palców w powietrze, i choć pointował on subtelne przeguby dialektyki ostrzegawczym podniesieniem brwi, przygotowującym na rzeczy niezwykle, nie rozumiało się go, a co gorsza, nie pragnęło nic rozumieć i pozostawiało się go z jego gestykulacją, z przyciszonym tonem i całą skalą ciemnych uśmiechów, ażeby przekartkować szybko ostatnie, rozpadające się w strzępy stronicę.

Na tych ostatnich stronicach, które w sposób widoczny popadały w majacliwe bredzenie, w jawny bezsens, jakiś gentleman ofiarowywał swoją niezawodną metodę, jak stać się energicznym i stanowczym w decyzjach, i mówił wiele o zasadach i charakterze. Ale wystarczyło tylko obrócić stronicę, ażeby być zupełnie zdezorientowanym w rzeczach stanowczości i zasad.

Tam drobnym kroczkiem wychodziła spętana trenem<sup>18</sup> sukni niejaka pani Magda Wang i oświadczała z wysokości ściągniętego dekoltu, że kpi sobie z męskiej stanowczości i zasad, i że jej specjalnością jest łamać najsilniejsze charaktery. (Tu ruchem nóżki układała tren na ziemi.) W tym celu istnieją metody, ciągnęła przez zaciśnięte zęby, niezawodne metody, nad którymi nie chce się rozwodzić, odsyłając do swych pamiętników, zatytułowanych *Z purpurowych dni* (Wydawnictwo Instytutu Antropozoficznego w Budapeszcie), w których złożyła rezultaty swych doświadczeń kolonialnych w dziedzinie tresury ludzi (ten wyraz z naciskiem i ironicznym błyskiem oczu). I rzecz dziwna, ta opieszale i bezceremonialnie mówiąca dama zdawała się być pewna aprobaty tych, o których z takim cynizmem mówiła, i wśród osobliwego zawrotu i migotania czuło się, że kierunki oznaczeń moralnych przesunęły się dziwnie i że jesteśmy tu w innym klimacie, w którym kompas uczuć działa na opak.

To było ostatnie słowo Księgi, które zostawiało smak dziwnego oszołomienia, mieszaninę głodu i podniecenia w duszy.

## V

Nachylony nad tą Księgą, z twarzą płonąca jak tęcza, gorzałem<sup>19</sup> cicho od ekstazy do ekstazy. Zatopiony w czytaniu zapomniałem o obiedzie. Nie omyliło mnie przeczucie. Był to Autentyk, święty oryginał, choć w tak głębokim poniżeniu i degradacji. I kiedy późnym zmierzchem, błogo uśmiechnięty, układałem szpargał w najgłębszej szufladzie, nakrywając go dla niepoznaki innymi książkami — zdawało mi się, że to zorzę układam do snu w komodzie, zorzę, która wciąż na nowo od samej siebie się zapalała i szła przez wszystkie płomienie i purpury, i wracała raz jeszcze, i nie chciała się skończyć.

Jakże zobojeźniały mi wszystkie książki!

Bo zwykle książki są jak meteory. Każda z nich ma jedną chwilę, moment taki, kiedy z krzykiem wlatuje jak feniks<sup>20</sup>, płonąca wszystkimi stronicami. Dla tej jednej chwili, dla tego jednego momentu kochamy je potem, choć już wówczas są tylko popiołem. I z gorzką rezygnacją wędrujemy niekiedy późno przez te wystygłe stronicę, przesuwając z drewnianym klekotem, jak różaniec, martwe ich formułki.

Egzegeci<sup>21</sup> Księgi twierdzą, że wszystkie książki dążą do Autentyku. Żyją one tylko wypożyczonym życiem, które w momencie wlotu wraca do swego starego źródła. Znaczy to, że książek ubywa, a Autentyk rośnie. Jednakowoż nie chcemy nużyć czytelnika wykładem Doktryny. Chcielibyśmy tylko zwrócić na jedną rzecz uwagę: Autentyk żyje i rośnie. Co z tego wynika? Oto, gdy następnym razem otworzymy nasz szpargał, kto wie, gdzie będzie już wówczas Anna Csillag i jej wiermi. Może ujrzymy ją, pątniczkę długowłosą, zamiatającą swym płaszczem gościńce Moraw, wędrującą przez kraj daleki, przez białe miasteczka pogrążone w codzienności i prozie i rozdającą próbki balsamu Elsa-fluid

<sup>17</sup>konkluzja — wniosek. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>tren — ciągnąca się po ziemi część sukni. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>gorzeć — płonąć. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>feniks — legendarny ptak, ginący w płomieniach i odradzający się z popiołów. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>egzegeta — interpretator Pisma św. [przypis edytorski]

Kobieta demoniczna

Książka

między prostaczków bożych, trapiionych wyciekami i świerzbem. Ach, co zrobią wówczas poczciwi brodacze miasteczka, unieruchomieni przez olbrzymie zarosty, co zrobi wierna ta gmina, skazana na pielęgnowanie i administrację nadmiernych swych urodzajów? Kto wie, czy nie kupią sobie wszyscy prawdziwych katarynek ze Szwarcwaldy i nie podążą w świat za swą apostołką, ażeby szukać jej po kraju, grając na wszystkich miejscach „Daisy, Daisy”?

O, odysejo brodaczy, błędzących z katarynkami od miasta do miasta w poszukiwaniu swej matki duchowej! Kiedyż znajdzie się rapsod<sup>22</sup> godny tej epopei? Bo komuż zostawili gród oddany ich pieczy, komu powierzyli rząd dusz w mieście Anny Csillag? Czy nie mogli przewidzieć, że pozbawione swej duchowej elity, swych patriarchów wspaniałych — miasto popadnie w zwątpienie i odszczepieństwo i otworzy swe bramy — komu? — ach, cynicznej i przewrotnej Magdzie Wang (Wydawnictwo Instytutu Antropozoficznego w Budapeszcie), która założyła w nim szkołę tresury i łamania charakterów?

Ale powróćmy do naszych pielgrzymów.

Któż nie zna tej starej gwardii, tych Cymbrów wędrownych, głębokich brunetów o potężnych na pozór ciałach, zrobionych z tkanki bez tężyzny i soków? Cała ich siła, cała moc weszła w uwłosienie. Antropologowie głowią się od dawna nad tą osobliwą rasą, odzianą zawsze w czarne ubrania, w grube, srebrne łańcuchy na brzuchach, z palcami w potężnych, mosiężnych sygnetach<sup>23</sup>.

Lubię ich, tych na przemian Kasprów i Baltazarów, ich głęboką powagę, ich funebryczną<sup>24</sup> dekoratywność, te wspaniałe okazy męskie z pięknymi oczami o tłustym połysku palonej kawy, lubię ten szlachetny brak żywotności w ciałach wybujałych i gąbczastych, morbidez<sup>25</sup> wygasających rodów, ich sapiący oddech z potężnych piersi i nawet ten zapach waleriany<sup>26</sup>, jaki rozciągają ich brody.

Jak Aniołowie Oblicza stają czasem niespodzianie w drzwiach naszych kuchni, ogromni i sapiący, i prędko zmęczeni — ocierają pot ze zroszonego czoła, przewracając niebieskimi białkami oczu, i w tym momencie zapominają swe poselstwo i zdziwieni, szukając wybiegu, pretekstu dla swego przybycia — wyciągają dłoń po jałmużnę.

Wracamy do Autentyku. Ależ nie opuszczaliśmy go nigdy. I tu wskazujemy na dziwną cechę Szpargału, już teraz jasną czytelnikowi, że rozwija się on podczas czytania, że ma granice ze wszech stron otwarte dla wszystkich fluktuacji i przepływów.

Teraz na przykład już nikt nie oferuje tam szczygłów harceńskich, bo z katarynek tych brunetów, z przelamań i zagieć melodii wyfruują w nieregularnych odstępach te pierzaste miotłki i rynek zasypany jest nimi, jak kolorowymi czcionkami. Ach, co za rozmnożenie migotliwe i pełne szczebiotu... Dokoła wszystkich cypli, drążków i chorągiewek tworzą się prawdziwe kolorowe zatopy, trzepoty i walki o miejsce. I wystarczy wystawić przez okno pałąk, ażeby oblepiony trzepocącym i ciężkim gronem wciągnąć go z powrotem do izby.

Zbliżamy się teraz w naszym opowiadaniu szybkimi krokami do tej wspaniałej i katastroficznej epoki, która w biografii naszej nosi nazwę epoki genialnej.

Daremnie przeczylibyśmy, że czujemy już teraz to ściśnięcie serca, ten błogi niepokój, świętą treść, jaka poprzedza rzeczy ostateczne. Wkrótce zabraknie nam w tygłach kolorów, a w duszy blasku, aby położyć najwyższe akcenty, nakreślić najświetlstsze i już transcendentalne<sup>27</sup> kontury w tym malowidle.

Cóż jest epoka genialna i kiedy to było?

Tu zmuszeni jesteśmy stać się na chwilę całkiem ezoteryczni, jak pan Bosco z Mediolanu, i zniżyć nasz głos do wnikliwego szeptu. Musimy pointować nasze wywody wieloznacznymi uśmiechami i, jak szczyptę soli, rozcierać w koniuszkach palców delikatną materię imponderabiliów<sup>28</sup>. Nie nasza wina, jeżeli czasami będziemy mieli wygląd tych

Ptak

<sup>22</sup>rapsod (daw.) — śpiewak a. poeta. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>sygnet — pierścień z monogramem lub herbem. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>funebryczny — pogrzebowy. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>morbidezza (z wł.) — nadmierna delikatność. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>waleriana — lekarstwo uspokajające i nasenne, wykonywane z kozłka lekarskiego. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>transcendentalny — przekraczający poznanie zmysłowe. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>imponderabilia — rzeczy istotne, których jednak nie da się dokładnie zmierzyć. [przypis edytorski]

sprzedawców niewidzialnych tkanin, demonstrujących w wyszukanych gestach oszukańczy swój towar.

Więc czy epoka genialna zdarzyła się, czy nie zdarzyła? Trudno odpowiedzieć. I tak, i nie. Bo są rzeczy, które się całkiem, do końca, nie mogą zdarzyć. Są za wielkie, ażeby się zmieścić w zdarzeniu, i za wspaniałe. Próbuje one tylko się zdarzyć, próbują gruntu rzeczywistości, czy je uniesie.

I wnet się cofają, bojąc się utracić swą integralność w ułomności realizacji. A jeśli nadłamały swój kapitał, pogubiły to i owo w tych próbach inkarnacji<sup>29</sup>, to wnet, zazdrosne, odbierają swą własność, odwołują ją z powrotem, reintegrują się i potem w biografii naszej zostają te białe plamy, wonne stygmaty, te pogubione srebrne ślady bosych nóg anielskich, rozsiane ogromnymi krokami po naszych dniach i nocach, podczas gdy ta pełnia chwały przybiera i uzupełnia się nieustannie i kulminuje nad nami, przekraczając w triumfie zachwyty po zachwycie.

A jednak w pewnym sensie mieści się ona cała i integralna w każdej ze swych ułomnych i fragmentarycznych inkarnacji. Zachodzi tu zjawisko reprezentacji i zastępczego bytu. Jakies zdarzenie może być co do swej proveniencji<sup>30</sup> i swoich własnych środków małe i ubogie, a jednak, zbliżone do oka, może otwierać w swoim wnętrzu nieskończoną i promienną perspektywę dzięki temu, że wyższy byt usiłuje w nim się wyrazić i gwałtownie w nim błyszczy.

Tak tedy będziemy zbierali te aluzje, te ziemskie przybliżenia, te stacje i etapy po drogach naszego życia, jak ułamki potłuczonego zwierciadła. Będziemy zbierali po kawałku to, co jest jedno i niepodzielne, naszą wielką epokę, genialną epokę naszego życia.

Możemy ją w diminucyjnym zapędzie<sup>31</sup>, sterroryzowani nieobjętością transcendentu<sup>32</sup> — zbyt ograniczyli, zakwestionowali i zachwiali. Gdyż mimo wszystkich zastrzeżeń: ona była.

Ona była i nic nam nie zabierze tej pewności, tego świetlanego smaku, który mamy jeszcze na języku, tego zimnego ognia na podniebieniu, tego westchnienia szerokiego jak niebo i świeżego jak haust czystej ultramaryny.

Czy przygotowaliśmy w pewnej mierze czytelnika do rzeczy, które nastąpią, czy możemy zaryzykować podróż w epokę genialną? Nasza trema udzieliła się czytelnikowi. Czujemy jego zdenerwowanie. Mimo pozorów ożywienia i nam jest ciężko na sercu i pełni jesteśmy trwogi. W imię Boże tedy — wsiadamy i odjazd!

## Genialna epoka

### I

Zwykle fakty uszeregowane są w czasie, nanizane<sup>33</sup> na jego ciąg jak na nitkę. Tam mają one swoje antecedeny<sup>34</sup> i swoje konsekwencje, które tłoczą się ciasno, następują sobie na pięty bez przerwy i bez luki. Ma to swoje znaczenie i dla narracji, której duszą jest ciągłość i sukcesja.

Cóż jednak zrobić ze zdarzeniami, które nie mają swego własnego miejsca w czasie, ze zdarzeniami, które przyszły za późno, gdy już cały czas był rozdany, rozdzielony, rozebrany, i teraz zostały niejako na lodzie, nie zaszerogowane, zawieszony w powietrzu, bezdomne i błędne?

Czyżby czas był za ciasny dla wszystkich zdarzeń? Czy może się zdarzyć, aby już wszystkie miejsca w czasie były wyprzedane? Zatraskani, biegniemy wzdłuż tego całego pociągu zdarzeń, przygotowując się już do jazdy.

<sup>29</sup>inkarnacja — wcielenie. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>proveniencja — pochodzenie. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>diminucyjny zapęd — zapęd do umniejszania. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>transcendent — sfera nadprzyrodzona. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>nanizany — nawleczony. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>antecedens — poprzednik, fakt poprzedzający. [przypis edytorski]



Na miłość boską, czyżby nie istniał tu pewnego rodzaju ażytoż<sup>35</sup> biletów na czas?...  
Panie konduktorze!

Tylko spokojnie! Bez zbytecznej paniki, załatwimy to po cichu we własnym zakresie działania.

Czy czytelnik słyszał coś o równoległych pasmach czasu w czasie dwutorowym? Tak, istnieją takie boczne odnogi czasu, trochę nielegalne co prawda i problematyczne, ale gdy się wiezie taką kontrabandę<sup>36</sup> jak my, takie nadliczbowe zdarzenie nie do zaszeregowania — nie można być zanadto wybrednym. Spróbujmy tedy odgałęzić w którymś punkcie historii taką boczną odnogę, ślepy tor, ażeby zepchnąć nań te nielegalne dzieje. Tylko bez obawy. Stanie się to niepostrzeżenie, czytelnik nie dozna żadnego wstrząsu. Kto wie — może, gdy o tym mówimy, już nieczysta manipulacja jest poza nami i jedziemy już ślepym torem.

## II

Moja matka przybiegła przerażona i objęła mój krzyk ramionami, chcąc go nakryć jak pożar i stłumić w fałdach swej miłości. Zamknęła mi usta ustami i krzyczała wraz ze mną.

Ale odrzuciłem ją i wskazując na słup ognisty, na złotą belkę, która tkwiła ukośnie w powietrzu, jak zadra, i nie dała się zepchnąć — pełna blasku i krążących w niej pyłów — krzychałem: — Wydrzyj ją, wyrwij!

Piec naindyczył się wielkim kolorowym bohomazem<sup>37</sup>, namalowanym na jego czole, nabiegł krwią cały i zdawało się, że z konwulsji<sup>38</sup> tych żył, ścięgien i całej tej napęczniałej do pęknięcia anatomii wyzwolił się jaskrawym, kogucim wrzaskiem.

Stałem rozkrzyżowany w natchnieniu i wyciągniętymi, wydłużonymi palcami pokazywałem, pokazywałem w gniewie, w przejęciu srogim, wyprężony jak drogowskaz i drżący w ekstazie.

Moja ręka prowadziła mnie, obca i blada, wlokła mnie za sobą, zeszywniała, woskowa ręka, jak wielkie wotywny<sup>39</sup> dłonie, jak dłoń anielska wzniesiona do przysięgi.

Było pod koniec zimy. Dni stały w kałużach i w żarach i miały podniebienie pełne ognia i pieprzu. Lśniące noże krajały miodną miazgę dnia na srebrne skiby, na przymy pełne w przekroju kolorów i korzennych pikanterij. Ale cyferblat<sup>40</sup> południa gromadził na szczupłej przestrzeni cały blask tych dni i wskazywał wszystkie godziny pałające i pełne ognia.

O tej godzinie, nie mogąc pomieścić żaru, złuszczał się dzień arkuszami srebrnej blachy, chrzęszczącą cynfolią, i warstwa za warstwą odsłaniał swój rdzeń z litego blasku. I jakby nie dość było jeszcze tego, dymiły kominy, kłębiły się lśniącą parą, i każda chwila wybuchała wielkim wzlotem aniołów, burzą skrzydeł, które niebo wchłaniało niesyte, wciąż otwarte dla nowych wybuchów. Jego jasne blanki<sup>41</sup> eksplodowały białymi pióropuszymi, dalekie fortalicje<sup>42</sup> rozwijały się w ciche wachlarze spiętrzonych wybuchów — pod lśniącą kanonadą niewidzialnej artylerii.

Okno pokoju, pełne po brzegi nieba, wzbierało tymi wzlotami bez końca i przelewało się frankami, które całe w płomieniach, dymiąc w ogniu, spływały złotymi cieniami i drganiem słoju powietrznych. Na dywanie leżał ukośny, pałający czworobok, falując blaskiem, i nie mógł oderwać się od podłogi. Ten słup ognisty wzburzał mnie do głębi. Stałem urzeczony, na rozkraczonych nogach i oszczekiwałem go zmienionym głosem, obcymi, twardymi przekleństwami.

Na progu, w sieni, stali skonsternowani<sup>43</sup>, przestraszeni, załamując ręce: krewni, sąsiedzi, wystrojone ciotki. Podchodzili na palcach i odchodzili, zaglądali przez drzwi, pełni ciekawości. A ja krzychałem.

<sup>35</sup>*ażytoż* — spekulacja na giełdzie opierająca się na sztucznym podwyższeniu lub zaniżeniu cen papierów wartościowych. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*kontrabanda* — przemyt. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*bohomaz* — kiepski obraz. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*konwulsja* — mimowolny, gwałtowny ruch. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*wotywny* — podarowany jako wotum na pamiątkę cudu, zazwyczaj uzdrowienia. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*cyferblat* — tarcza zegarowa. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*blanki* — osłony na szczycie muru obronnego. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*fortalicje* (z łac.) — umocnienia, fortyfikacje. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*skonsternowany* — zakłopotany. [przypis edytorski]

— Widzicie — krzychałem do matki, do brata — zawsze mówiłem wam, że wszystko jest zatamowane, zamurowane nudą, nie wyzwolone. A teraz patrzcie, co za wylew, co za rozkwit wszystkiego, co za błogość!...

I płakałem ze szczęścia i z bezsilności.

— Obudźcie się — wołałem — pośpieszcie mi z pomocą! Czy mogę sam jeden podołać temu zalewowi, czy mogę ogarnąć ten potop? Jak mam, sam jeden, odpowiedzieć na milion olśniewających pytań, którymi Bóg mnie zalewa?

A gdy milczeli, wołałem w gniewie: — Śpieszcie się, nabierajcie pełne wiadra tej obfitości, gromadźcie zapasy!

Ale nikt mnie nie mógł wyręczyć, stali bezradni i oglądali się za siebie, cofali za plecy sąsiadów.

Wtedy zrozumiałem, co mam zrobić, i pełen zapału zacząłem z szaf wyciągać stare foliały<sup>44</sup>, wypisane i rozsypujące się księgi handlowe ojca i rzucałem je na podłogę pod ten słup ognisty, który leżał na powietrzu i pałał. Nie można mi było nastarczyć papieru. Brat i matka przybiegali wciąż z nowymi naręczami starych gazet i dzienników i rzucali je stosami na ziemię. A ja siedziałem wśród tych papierów, oślepiiony blaskiem, z oczami pełnymi eksplozji, rakiet i kolorów, i rysowałem. Rysowałem w pośpiechu, w panice, na poprzek, na ukos, poprzez zadrukowane i zapisane stronicie. Moje kolorowe ołówki latały w natchnieniu przez kolumny nieczytelnych tekstów, biegly w genialnych gryzmołach, w karkołomnych zygzakach, zwężając się raptownie w anagramy wizyj, w rebusy świetlistych objawień, i znów rozwiązując się w puste i ślepe błyskawice, szukające tropu natchnienia.

O, te rysunki świetliste, wyrastające jak pod obcą ręką, o, te przejrzyste kolory i cienie! Jakże często jeszcze dziś znajduję je w snach po tylu latach na dnie starych szuflad, lśniące i świeże jak poranek — wilgotne jeszcze pierwszą rosą dnia: figury, krajobrazy, twarze!

O, te błękity mrozące oddech zatchnieniem strachu, o, te zielenie zieleńsze od zdziwienia, o, te preludia<sup>45</sup> i świergoty kolorów dopiero przeczytanych, dopiero próbujących się nazwać!

Dlaczego roztrwonilem je wówczas w beztrosce nadmiaru z tą niepojętą lekkomyślnością? Pozwalałem sąsiadom przerzucać i płądrować te stosy rysunków. Zabierali całe ich pliki. Do jakich domów nie zawędrowały, na jakich śmietnikach nie wałęsały się wówczas! Adela wytapetowała nimi kuchnię, że stała się jasna i kolorowa, jak gdyby w nocy spadł śnieg za oknem.

Było to rysowanie pełne okrucieństwa, zasadzek i napaści. Gdy tak siedziałem napięty jak łuk, nieruchomy i czatujący, a w słońcu dookoła mnie płonęły jaskrawo papiery — wystarczyło, aby rysunek, przygwożdżony mym ołówkiem, uczynił najłżejszy ruch do ucieczki. Wówczas ręka moja, cała w drgawkach nowych odruchów i impulsów, rzucała się nań z wściekłością jak kot i już obca, zdziczała, drapieźna, w błyskawicznych ukąszeniach zagryzała dziwolągą, który chciał się jej wymknąć spod ołówka. I dopiero wtedy odluźniała się od papieru, gdy martwe już i nieruchome zwłoki rozkładały, jak w zielniku, swą kolorową i fantastyczną anatomię na zeszyście.

Było to mordercze polowanie, walka na śmierć i życie. Któż mógł odróżnić w niej atakującego od atakowanego, w tym kłębku parszającym wściekłością, w tym splątaniu pełnym pisku i przerażenia! Bywało, że ręka moja dwa i trzy razy rzucała się do skoku, ażeby gdzieś na czwartym lub piątym arkuszu dosięgnąć ofiary. Nieraz krzyczała z bólu i przerażenia w kleszczach i szczypcach tych dziwotworów, wijących się pod mym skalpelem.

Z godziny na godzinę coraz tłumniej napływały wizje, tłoczyły się, tworzyły zatory, aż pewnego dnia wszystkie drogi i ścieżki zaroily się i spływały pochodami, i kraj cały rozgałęził się wędrowkami, rozbiegł się ciągnącymi defiladami — nieskończonymi pielgrzymkami bestyj i zwierząt.

Jak za dni Noego płynęły te kolorowe pochody, te rzeki sierści i grzyw, te falujące grzbiety i ogony, te łby, potakujące bez końca w takt stąpania.

Zwierzę

<sup>44</sup>folial (daw.) — księga o dużym formacie. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>preludium (muz.) — instrumentalny wstęp do dłuższego utworu muzycznego. [przypis edytorski]

Mój pokój był granicą i rogatką. Tu zatrzymywały się, tłoczyły, becząc błagalnie. Kręciły się, dreptały w miejscu trwoźnie i dziko — garbate i rogate jestestwa, zaszyte we wszystkie kostiumy i zbroje zoologii, i przestraszone same sobą, spłoszone własną maskaradą, patrzyły trwoźnymi i zdziwionymi oczami przez otwory swych skór włochatych i myczały żałośnie, jakby zakneblowane pod swymi maskami.

Czy czekały, żebym je nazwał, rozwiązał ich zagadkę, której nie rozumiały? Czy pytały mnie o swe imię, ażeby w nie wejść i wypełnić je swoją istotą? Przychodziły dziwne maski, twory-pytania, twory-propozycje, i musiałem krzyzczeć i odpędzać je rękami.

Wycofywały się tyłem, pochylając głowę i patrząc spode łba, i gubiły się same w sobie, wracały, rozwiązując się w bezimienny chaos, w rupieciarnię form. Ile grzbietów poziomych i garbatych przeszło wówczas pod moją ręką, ile łbów przesunęło się pod nią z aksamitną pieszczotą!

Zrozumiałem wówczas, dlaczego zwierzęta mają rogi. Było to — to niezrozumiałe, które nie mogło pomieścić się w ich życiu, kaprys dziki i natrętny, nierozumny i ślepy upór. Jakaś *idée fixe*<sup>46</sup>, wyrosła poza granice ich istoty, wyżej ponad głowę, i wynurzona nagle w światło, zastygła w materię dotykalmą i twardą. Tam przybierała kształt dziki, nieobliczalny i niewiarygodny, zakręcona w fantastyczną arabeskę<sup>47</sup> niewidoczną dla ich oczu a przerażającą, w nieznaną cyfrę, pod której grozą żyły. Pojąłem, dlaczego te zwierzęta skłonne były do paniki nierozumnej i dzikiej, do spłoszonego szału: wciągnięte w swój obłąd, nie mogły się wyplątać z gmatwaniny tych rogów, spomiędzy których — pochylając głowę — patrzyły smutno i dziko, jakby szukając przejścia między ich gałęziami. Te rogate zwierzęta dalekie były od wyzwolenia i nosiły ze smutkiem i rezygnacją stygmat swego błędu na głowie.

Ale jeszcze dalsze od światła były koty. Ich doskonałość zatrważała. Zamknięte w precyzji i akuratności swych ciał, nie znały błędu ani odchylenia. Na chwilę schodziły w głąb, na dno swej istoty, i wtedy nieruchomiały w swym miękkim futrze, poważniały groźnie i uroczyście, a oczy ich zaokrąglały się jak księżycy, chłonąc wzrok w swe leje ogniste. Ale po chwili już, wyrzucone na brzeg, na powierzchnię, ziewały swą nicością rozczarowane i bez złudzeń.

W ich życiu pełnym zamkniętej w sobie gracji nie było miejsca na żadną alternatywę. I znudzone w tym więzieniu doskonałości bez wyjścia, przejęte spleenem<sup>48</sup>, sarkają<sup>49</sup> zmarszczoną wargą pełne bezprzedmiotowego okrucieństwa w krótkiej, pęgami rozszerzonej twarzy. U dołu przemykały chyłkiem kuny, tchórze i lisy, złodzieje wśród zwierząt, stworzenia o złym sumieniu. Dorwały się one podstępem, intrygą, trickiem swego miejsca w bycie, wbrew planowi stworzenia, i ścigane nienawiścią, zagrożone, wciąż na straży, wciąż w trwodze o to miejsce — kochały żarliwie swój kradziony, po norach kryjący się żywot, gotowe dać się poszarpać na sztuki w jego obronie.

Wreszcie przeszły wszystkie, i cisza zagościła w moim pokoju. Znow zacząłem rysować, zatopiony w moich szpargałach, które oddychały blaskiem. Okno było otwarte i na gzymsie okiennym drżały w wiosennym wietrze synogarlice i turkawki. Przechylając głowę, pokazywały okrągłe i szklane oko w profilu, jakby przerażone i pełne lotu. Dni pod koniec stały się miękkie, opalowe i świetliste, to znowu perłowe i pełne zamglonej słodyczy.

Nadeszły święta wielkanocne, i rodzice wyjechali na przeciąg tygodnia do mej zamężnej siostry. Pozostawiono mnie samego w mieszkaniu, na łup mych inspiracji. Adela przynosiła mi co dzień obiady i śniadania. Nie zauważałem jej obecności, gdy przystawała na progu odświętnie ubrana, pachnąc wiosną ze swoich tiulów i fularów<sup>50</sup>.

Przez otwarte okno wpływały łagodne powiewy, napełniając pokój refleksami dalekich krajobrazów. Przez chwilę utrzymywały się w powietrzu te nawiane kolory jasných dali i wnet rozplywały się, rozwiewały w cień błękitny, w tkliwość i wzruszenie. Powódź obrazów uspokoila się nieco, wylew wizyj zlagodniał i ucichł.

<sup>46</sup>*idée fixe* (fr.) — natrętnie powracająca myśl. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*arabeska* — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*spleen* (z ang.) — poczucie smutku i beznadziejności życia. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*sarkac* — wyrażać niezadowolenie, często w sposób nieuprzejmy. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*fular* — cienka jedwabna chustka. [przypis edytorski]

Siedziałem na ziemi. Dookoła mnie leżały na podłodze kredki i guziczki farb, boże kolory, lazury dyszące świeżością, zielenie zbłąkane aż na kraniec zdziwienia. I gdy brałem do ręki czerwoną kredkę — w jasny świat szły fanfary szczęśliwej czerwieni, i wszystkie balkony płynęły falami czerwonych chorągwi, i domy ustawiały się wzdłuż ulicy w tryumfalny szpaler. Defilady strażaków miejskich w malinowych uniformach paradowały na jasnych, szczęśliwych drogach i panowie kłaniali się melonikami koloru czereśni. Czereśniowa słodycz, czereśniowy świegot szczygłów napępiał powietrze pełne lawendy i łagodnych blasków.

A gdy sięgałem po błękitną barwę — szedł ulicami przez wszystkie okna odbłask kobaltowej wiosny, otwierały się, dźwięcząc, szyby, jedna za drugą, pełne błękitu i ognia niebieskiego, firanki wstawały jak na alarm i przeciąg radosny i lekki szedł tym szpalerem wśród falujących muślinów i oleandrów<sup>51</sup> na pustych balkonach, jak gdyby na drugim końcu tej długiej i jasnej alei ktoś zjawił się bardzo daleki i zbliżał się — promienny, poprzedzany przez wieść, przez przeczucie, zwiastowany przez loty jaskółek, przez wici<sup>52</sup> świetliste, rozrzucone od mili do mili.

### III

W same święta wielkanocne, z końcem marca lub z początkiem kwietnia, wychodził Szloma, syn Tobiasza, z więzienia, do którego zamykano go na zimę po awanturach i szaleństwach lata i jesieni. Pewnego popołudnia tej wiosny widziałem go przez okno, jak wychodził od fryzjera, który był w jednej osobie balwierzem, cyrulikiem<sup>53</sup> i chirurgiem miasta, otwierał z dystynkcją<sup>54</sup>, nabytą pod rygiem więziennym, szklane, błyszczące drzwi fryzjerskie i schodził z trzech drewnianych schodków, wyswieżony i odmłodzony, z wystrzyżoną dokładnie głową, w przykrótkim surduciku i podciągniętych wysoko kraciastych spodniach, szczupły i młodzieńczy mimo swoich czterdziestu lat.

Plac Św. Trójcy był o tym czasie pusty i czysty. Po roztopach wiosennych i błotach, splukanych później ulewnymi deszczami, pozostał teraz bruk umyty, wysuszony w wielu dniach cichej, dyskretnej pogody, w tych dniach wielkich już i może zbyt obszernych na tę wczesną porę, wydłużonych trochę nad miarę, zwłaszcza wieczorami, kiedy zmierzch przedłużał się bez końca, pusty jeszcze w swej głębi, daremny i jałowy w swym ogromnym oczekiwaniu.

Gdy Szloma zamknął za sobą szklane drzwi fryzjerskie, weszło w nie natychmiast niebo, jak we wszystkie małe okna tego piętrowego domu, otwartego ku czystej głębi cienistego nieboskłonu.

Zszedłszy ze schodków, znalazł się całkiem samotny na brzegu wielkiej, pustej muszli placu, przez którą przepływał błękit nieba bez słońca.

Ten wielki, czysty plac leżał owego popołudnia jak bania szklana, jak nowy nie zaczęty rok. Szloma stał na jego brzegu całkiem szary i zgaszony, zawałony błękitami, i nie śmiał łamać decyzją tej doskonałej kuli dnia nie zużytego.

Tylko raz w roku, w dniu wyjścia z więzienia, czuł się Szloma tak czystym, nieobciążonym i nowym. Dzień przyjmował go wówczas w siebie umytego z grzechów, odnowionego, pojednanego ze światem, otwierał przed nim z westchnieniem czyste kręgi swych horyzontów, uwieńczone cichą pięknnością.

Nie śpieszył się. Stał na krawędzi dnia i nie śmiał przekroczyć, przekreślić swym drobnym, młodym, lekko utykającym chodem tej łagodnie sklepionej konchy<sup>55</sup> popołudnia.

Przejrzysty cień leżał nad miastem. Milczenie tej trzeciej godziny po południu wydobywało z domów czystą biel kredy i rozkładało ją bezgłośnie, jak talię kart, dookoła placu. Obdzieliwszy go jedną turą, napoczytno już nową, czerpiąc rezerwy bieli z wielkiej, barokowej fasady Św. Trójcy, która, jak zlatująca z nieba ogromna koszula Boga, po-

<sup>51</sup>oleander — wiecznie zielony krzew o skórzastych liściach. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>wici (daw.) — wezwanie na wojnę w formie gałązek (witek). [przypis edytorski]

<sup>53</sup>cyrulik — fryzjer wykonujący również proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>dystynkcja — tu: dystygowane zachowanie. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>koncha — muszla. [przypis edytorski]

fałdowana w pilastry<sup>56</sup>, ryzality<sup>57</sup> i framugi<sup>58</sup>, rozsadzona patosem wolut<sup>59</sup> i archiwolt<sup>60</sup>, porządkowała na sobie w pośpiechu tę wielką wzburzoną szatę.

Szloma podniósł twarz, wietrząc w powietrzu. Łagodny powiew niósł zapach oleandrów, zapach świątecznych mieszkań i cynamonu. Wtedy kichnął potężnie swym sławnym, potężnym kichnięciem, od którego gołębie na odwachu<sup>61</sup> policji zerwały się przestraszone i wleciały. Szloma uśmiechnął się do siebie: Bóg dawał znać przez wstrząs jego nozdry, że wiosna nastawała. Był to znak pewniejszy niż przyłot bocianów, i odtąd dni miały być przetykane tymi detonacjami, które zagubione w szumie miasta, to bliżej, to dalej glosowały<sup>62</sup> jego zdarzenia swym dowcipnym komentarzem.

— Szloma! — zawołałem, stojąc w oknie naszego niskiego piętra.

Szloma dostrzegł mnie, uśmiechnął się swym miłym uśmiechem i zsalutował.

— Jesteśmy teraz sami w całym rynku, ja i ty — rzekłem cicho, gdyż wydęta bania nieba rezonowała jak beczka.

— Ja i ty — powtórzył ze smutnym uśmiechem — jak pusty jest dziś świat.

— Moglibyśmy podzielić go i nazwać na nowo — taki leży otwarty, bezbronny i niczyj. W taki dzień podchodzi Mesjasz aż na brzeg horyzontu i patrzy stamtąd na ziemię. I gdy ją tak widzi białą, cichą, z jej błękitami i zamyśleniem, może się zdarzyć, że mu się zgubi w oczach granica, niebieskawe pasma obłoków podłożą się przejściem i sam nie wiedząc, co czyni, zejdzie na ziemię. I ziemia nawet nie zauważy w swej zadumie tego, który zszedł na jej drogi, a ludzie obudzą się z popołudniowej drzemki i nie będą nic pamiętali. Cała historia będzie jak wymazana i będzie jak za prawieków, nim zaczęły się dzieje.

— Czy Adela jest w domu? — zapytał z uśmiechem.

— Nie ma nikogo, wejdź do mnie na chwilę, pokażę ci moje rysunki.

— Jeżeli nie ma nikogo, nie odmówię sobie tej przyjemności. Otwórz mi.

I rozglądając się w bramie na obie strony ruchem złodzieja, wszedł do środka.

#### IV

— To są kapitalne rysunki — mówił, oddalając je od siebie gestem znawcy. Jego twarz rozjaśniła się refleksami kolorów i światła. Czasami zwił dłoń dookoła oka i patrzył przez tę zaimprovizowaną lunetę, ściągając rysy w grymas pełen powagi i znawstwa.

— Można by powiedzieć — rzekł — że świat przeszedł przez twoje ręce, ażeby się odnowić, ażeby zlenić<sup>63</sup> się w nich i złuszczyć jak cudowna jaszczurka. O, czy myślisz, że byłbym kradł i popełniał tysiąc szaleństw, gdyby świat nie był tak bardzo się zużył i podupadł, gdyby rzeczy nie były w nim straciły swej pozłoty — dalekiego odbłasku rąk bożych? Cóż można począć w takim świecie? Jak nie zwątpić, jak nie upaść na duchu, gdy wszystko jest zamknięte na głucho, zamurowane nad swoim sensem, i wszędzie tylko stukasz w cegłę, jak w ścianę więzienia? Ach, Józefie, powinieneś być wcześniej się urodzić.

Staliśmy w tym na pół ciemnym, głębokim pokoju, wydłużającym się perspektywnie ku otwartemu oknu na rynek. Stamtąd dochodziły aż do nas fale powietrza w łagodnych pulsach, rozpościerając się ciszą. Każdy przyływ przynosił nowy jej ładunek zaprawiony kolorami dali, jak gdyby poprzedni już był zużyty i wyczerpany. Ciemny ten pokój żył tylko refleksami<sup>64</sup> dalekich domów za oknem, odbijał ich kolory w swej głębi, jak *camera obscura*<sup>65</sup>. Przez okno widać było, niby w rurze lunety, gołębie na odwachu policji, napuszone, spacerujące wzdłuż gzymsu attyki. Czasami zrywały się wszystkie razem i zataczały półkole nad rynkiem. Wtedy pokój rozjaśniał się na chwilę od ich otwar-

<sup>56</sup>*pilaster* — dekoracyjny płaski filar połączony ze ścianą. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*ryzalit* — wysunięta naprzód część fasady. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*framuga* — rama, do której przymocowane jest okno lub skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*woluta* — ornament architektoniczny w formie zwoju lub spirali. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*archiwolta* — dekoracyjny łuk oparty na małym gzymsie. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*odwach* — posterunek. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*glosować* — umieszczać notatki lub dopiski na marginesie. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*zlenić* — zrzucić skórę. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*refleks* — błysk światła a. odbicie. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*camera obscura* — prototyp aparatu fotograficznego: światłoszczelna skrzynka z otworkiem, rzutująca obraz na jedną ze ścian. [przypis edytorski]

tych lotek, rozszerzał się odblaskiem ich dalekiego trzepotu, a potem gasł, gdy opadając zamykały skrzydła.

— Tobie, Szloma — rzekłem — mogę zdradzić tajemnicę tych rysunków. Już od początku nachodziły mnie wątpliwości, czy jestem naprawdę ich autorem. Czasami wydają mi się mimowolnym plagiatem, czymś, co mi zostało podpowiedziane, podsunięte... Jak gdyby coś obcego posłużyło się mym natchnieniem dla nie znanych mi celów. Gdyż muszę ci wyznać — dodałem po cichu, patrząc mu w oczy — znalazłem Autentyk...

— Autentyk? — zapytał z twarzą rozjaśnioną nagłym blaskiem.

— Tak jest, sam zresztą zobacz — rzekłem, przyklękając nad szufladą komody.

Wyjąłem naprzód jedwabną suknię Adeli, pudełko ze wstążkami, jej nowe pantofelki na wysokich obcasach. Zapach pudru czy perfumy rozszedł się w powietrzu. Podniosłem jeszcze kilka książek: na dnie leżał w samej rzeczy długo nie widziany, drogi szpargał i świecił.

— Szloma — rzekłem wzruszony — popatrz, oto leży...

Ale on stał zatopiony w medytacji z pantofelkiem Adeli w ręku i przyglądał mu się z głęboką powagą.

— Tego Bóg nie powiedział — rzekł — a jednak, jak mnie to głęboko przekonywa, przypiera do ściany, odbiera ostatni argument. Te linie są nieodparte, wstrząsająco trafne, ostateczne i uderzają, jak błyskawica, w samo sedno rzeczy. Czym zasłonisz się, co im przeciwstawisz, gdy sam już jesteś przekupiony, przegłosowany i zdradzony przez najwierniejszych sprzymierzeńców? Sześć dni stworzenia było bożych i jasnych. Ale siódmego dnia uczuł On obcy watek pod rękami i, przerażony, odjął ręce od świata, choć jego zapał twórczy obliczony był na wiele jeszcze dni i nocy. O, Józefie, strzeż się siódmego dnia...

I podnosząc ze zgrozą smukły pantofelek Adeli, mówił jakby urzeczony połyskliwą, ironiczną wymową tej pustejszki z laku: — Czy rozumiesz potworny cynizm tego symbolu na nodze kobiety, prowokację jej rozwiązłego stąpania na tych wymyślnych obcasach? Jakże mógłbym cię pozostawić pod władzą tego symbolu. Broń Boże, bym to miał uczynić...

Mówiąc to, wsuwał wprawnymi ruchami pantofelki, suknię, korale Adeli w zanadrze.

— Co robisz, Szloma? — rzekłem w osłupieniu.

Ale on szybko oddalał się ku drzwiom, utykając lekko w swych przykrótkich, kra-ciastych spodniach. W drzwiach odwrócił raz jeszcze szarą, całkiem niewyraźną twarz i podniósł rękę do ust ruchem uspokajającym. Już był za drzwiami.

## Wiosna

### I

Oto jest historia pewnej wiosny, wiosny, która była prawdziwsza, bardziej olśniewająca i jaskrawsza od innych wiosen, wiosny, która po prostu wzięła serio swój tekst dosłowny, ten manifest natchniony, pisany najjaśniejszą, świąteczną czerwienią, czerwienią laku<sup>66</sup> pocztowego i kalendarza, czerwienią ołówka kolorowego i czerwienią entuzjazmu, amarantem<sup>67</sup> szczęśliwych telegramów stamtąd...

Każda wiosna tak się zaczyna, od tych horoskopów ogromnych i oszalamiających, nie na miarę jednej pory roku, w każdej — żeby to raz powiedzieć — jest to wszystko: nieskończone pochody i manifestacje, rewolucje i barykady, przez każdą przechodzi w pewnej chwili ten gorący wicher zapamiętania, ta bezgraniczność smutku i upojenia szukająca nadaremnie adekwatu<sup>68</sup> w rzeczywistości.

Ale potem te przesady i te kulminacje, te spiętrzenia i te ekstazy wstępują w kwitnienie, wchodzą całe w bujanie chłodnego listowia, we wzburzone nocą wiosenne ogrody

<sup>66</sup>lak — brązowoczerwona substancja, używana dawniej do pieczętowania listów. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>amarant — czerwień o lekko fioletowym odcieniu. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>adekwat — odpowiednik. [przypis edytorski]

i szum je pochłania. Tak wiosny sprzeniewierają się sobie — jedna za drugą, pogrążone w zdyszany szelest kwitnących parków, w ich wezbrania i przyływy — zapominają o swych przysięgach, gubią liść po liściu ze swego testamentu.

Ta jedna wiosna miała odwagę wytrwać, pozostać wierną, dotrzymać wszystkiego. Po tylu nieudanych próbach, wzlotach, inkantatach<sup>69</sup> chciała się wreszcie naprawdę ukonstytuować, wybuchnąć na świat wiosną generalną i już ostateczną.

Ten wicher zdarzeń, ten huragan wypadków: szczęśliwy zamach stanu, te dni patetyczne, górne i triumfalne! Chciałbym, by krok tej historii pochwycił ich takt porywający i natchniony, przejął bohaterski ton tej epopei, zrównał się w marszu z rytmem tej wiosennej Marsylianki<sup>70</sup>.

Tak nieobjęty jest horoskop wiosny! Kto może jej wziąć za złe, że uczy się ona czytać go naraz na sto sposobów, kombinować na oślep, sylabizować we wszystkich kierunkach, szczęśliwa, gdy jej się uda coś odcyfrować wśród mylącego zgadywania ptaków. Czyta ona ten tekst w przód i na wspak, gubiąc sens i podejmując go na nowo, we wszystkich wersjach, w tysiącnych alternatywach, trelach i świergotach. Bo tekst wiosny znaczony jest cały w domysłnikach, w niedomówieniach, w elipsach<sup>71</sup>, wykropkowany bez liter w pustym błękitcie, i w wolne luki między sylabami ptaki wstawiają kapryśnie swe domysły i swe odgadnienia. Dlatego będzie ta historia, wzorem tego tekstu, ciągnęła się na wielu rozgałęzionych torach i cała przetykana będzie wiosennymi myślnikami, westchnieniami i wielokropkami.

## II

W te noce przedwiosenne, dzikie i rozprzestrzenione, nakryte ogromnymi niebami, jeszcze surowymi i bez woni, prowadzącymi wśród wertepów i rozlogów powietrznych w gwiezdne bezdroża — ojciec zabierał mnie ze sobą na kolację do małej restauracji ogrodowej, zamkniętej między tylnymi murami ostatnich domów rynku.

Szliśmy w mokrym świetle latarni, brzęczących w podmuchach wiatru, na przelaj przez wielki sklepiony plac rynku, samotni, przywaleni ogromem labiryntów powietrznych, zagubieni i zdeorientowani w pustych przestrzeniach atmosfery. Ojciec podnosił do nieba twarz oblaną nikłą poświatą i patrzył z gorzką troską w ten żwir gwiezdny rozsiany po mieliznach szeroko rozgałęzionych i rozlanych wirów. Nieregularne ich i nieprzeliczone zagęszczenia nie porządkowały się jeszcze w żadne konstelacje, żadne figury nie opanowały tych rozległych i jałowych rozlewisk. Smutek pustkowi gwiezdnych ciążył nad miastem, latarnie przetykały dołem noc wiązkami promieni, wiążąc je obojętnie od węzła do węzła. Pod tymi latarniami przechodnie zatrzymywali się po dwóch, po trzech w kręgu światła, które stwarzało dookoła nich przelotne złudzenie pokoju w świetle lampy stołowej — w nocy obojętnej i nieprzytulnej, rozpadającej się górą w nieregularne przestrzenie, w dzikie krajobrazy powietrzne, wystrzępione przez uderzenia wiatru, żałosne i bezdomne. Rozmowy nie kleiły się, z oczyma w głębokim cieniu kapeluszy uśmiechali się, słuchając w zamyśleniu dalekiego szumu gwiazd, którym rosły jak na drożdżach przestrzenie tej nocy.

W ogrodzie restauracyjnym ścieżki były wyzirowane. Dwie latarnie na słupach syczały w zamyśleniu. Panowie w czarnych tużurkach<sup>72</sup> siedzieli, po dwóch — po trzech, zgarbieni nad biało nakrytymi stolikami, zapatrzeni bezmyślnie w lśniące talerze. Siedząc tak, obliczali w duchu ciągi i posunięcia na wielkiej czarnej szachownicy nieba, widzieli w duchu wśród gwiazd przeskakujące konie i stracone figury i konstelacje wstępujące natychmiast na ich miejsce.

Muzykanci na estradzie maczali wąsy w kufiach gorzkiego piwa, milczeli tępo, zapatrzeni w głęb siebie. Ich instrumenty, skrzypce i wiolonczele o szlachetnych konturach, leżały porzucone na boku pod bezgłośnie szumiącą ulewą gwiazd. Czasami brali je do rąk i przymierzali na próbę, stroili jęklawie na ton swych piersi, którego próbowali chrząkając. Potem znów je odkładali, jak gdyby jeszcze niedojrzałe i nie na miarę tej nocy, która płynęła obojętnie dalej. Wtedy w ciszy i odpływie myśli, podczas gdy widelce i noże cicho

<sup>69</sup>inkantat — właśc. inkantacja: zaśpiew, zaklęcie. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Marsylianka — pieśń z czasów Rewolucji Francuskiej, która stała się hymnem Francji. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>elipsa — figura retoryczna polegająca na usunięciu ze zdania jakiegoś słowa. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>tużurek — długi, ciemny surdut z przełomu XIX i XX w. [przypis edytorski]

pobrzękiwały nad biało nakrytymi stołami, wstawały nagle skrzypce same, przedwcześnie dorosłe i pełnoletnie, dopiero co jeszcze tak jęklive i niepewne, stały teraz wymowne, smukłe i wcięte w talię i zdawały sprawę ze swego pełnomocnictwa, podejmowały odroczone na chwilę sprawę ludzką i toczyły dalej ten przegrany proces przed obojętnym trybunałem gwiazd, wśród których wodnym drukiem rysowały się esownice i profile instrumentów, fragmentaryczne klucze, nie dokończone liry i łabędzie, imitacyjny<sup>73</sup>, bezmyślny komentarz gwiazdny na marginesie muzyki.

Pan fotograf, który już od pewnego czasu rzucał ku nam znad sąsiedniego stołu porozumiewawcze spojrzenia, przysiadł się wreszcie do nas, przynosząc swój kufel piwa ze stołu na stół. Uśmiechał się wieloznacznie, walczył z własnymi myślami, prztykał palcami, gubiąc wciąż na nowo nieuchwytną pointę sytuacji. Czuliśmy od początku jej paradoksalność. To zaimprovizowane obozowisko restauracyjne pod auspicjami<sup>74</sup> dalekich gwiazd bankrutowało bez ratunku, załamywało się nędznie, nie mogąc sprostać rosnącym bez miary pretensjom nocy. Cóż mogliśmy przeciwstawić tym bezdennym pustkowiom? Noc przekreślała tę ludzką imprezę, której nadaremnie próbowały bronić skrzypce, zajmowała tę lukę, zaciągała swe gwiazdozbiory na odzyskane pozycje.

Widzieliśmy rozprzęgające się obozowisko stołów, pobojowisko porzucanych serwet i obrusów, które noc przekraczała w triumfie, świetlista i nieprzeliczona. Podnieśliśmy się i my, podczas gdy wyprzedzając ciała, myśl nasza już biegła od dawna za gwarным turkotem jej wozów, za dalekim, szeroko rozsypanym turkotem gwiazdnym tych wielkich i jasných szlaków.

Tak szliśmy pod raketami jej gwiazd, antycypując<sup>75</sup> w duchu przymkniętymi oczyma jej coraz wyższe i wyższe olśnienia. Ach, ten cynizm triumfującej nocy! Objąwszy w posiadanie całe niebo, grała ona teraz w domino na jego przestrzeniach, opieszale i bez rachuby, zagarniając obojętnie milionowe wygrane. Potem, znudzona, kreśliła na pobojowisku odwróconych tabliczek przezroczyste gryzmoły, uśmiechnięte twarze, wciąż jeden i ten sam uśmiech w tysiącnych powtórzeniach, który za chwilę przechodził — już wieczny — do gwiazd, rozsypywał się w gwiazdną obojętność.

Wstąpiliśmy po drodze do cukierni na ciastka. Ledwie weszliśmy przez dźwięczne, szklane drzwi do tego białego, lukrowanego wnętrza, pełnego lśniących cukrów<sup>76</sup> — noc stanęła od razu wszystkimi gwiazdami, baczna nagle i uważna, ciekawa, czy jej się nie wymkniemy. Czekwała na nas cały czas cierpliwie, stróżując pod drzwiami, świecąc przez szyby z wysoka nieruchomymi gwiazdami, podczas gdy z głębokim namysłem wybieraliśmy ciastka. Wtedy ujrzałem po raz pierwszy Biankę. Stała profilem przy ladzie, z guwernantką<sup>77</sup>, w białej sukience, smukła i kaligraficzna, jakby wyszła z Zodiaku. Nie odwracała się, stojąc we wzorowym kontrapoście<sup>78</sup> młodych dziewcząt, i jadła ciastko z kremem. Nie widziałem jej wyraźnie, cały jeszcze poprzekreślany gzygzakami<sup>79</sup> linii gwiazdnych. Tak po raz pierwszy skrzyżowały się nasze horoskopy bardzo jeszcze zagmatwane. Spotkały się i rozwiązały obojętnie. Nie zrozumieliśmy jeszcze naszego losu w tym wczesnym gwiazdnym aspekcie i wyszliśmy obojętnie, dźwięcząc szklanymi drzwiami.

Wracaliśmy potem okrężną drogą przez odległe przedmieście. Domy stawały się coraz niższe i radsze, wreszcie rozstały się przed nami ostatecznie i wkroczyliśmy w inny klimat. Weszliśmy nagle w łagodną wiosnę, w ciepłą noc srebrzącą się po błocie młodym, dopiero co wzeszłym, fiołkowym księżycem. Ta noc przedwiosenna awansowała w pośpiesznym tempie, uprzedzała gorączkowo swe późne fazy. Powietrze, zaprawione dopiero co jeszcze zwykłą ciepkością tej pory, stało się nagle słodkie i mdłe, pełne zapachu deszczówki, wilgotnego iltu i pierwszych śnieżyczek zakwitających lunatycznie w białym świetle magicznym. I aż dziw, że pod tym szczodrym księżycem nie zaroilo się noc galaretą żabią na srebrnych błotach, nie wylęgła się ikra, nie rozgadała się tysiącem plotkujących pyszczków na tych żwirowiskach nadrzecznych, przeciekających wszystkimi porami lśniącą siał-

<sup>73</sup>imitacyjny (daw.) — naśladowczy. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>pod auspicjami — pod opieką, pod wpływem. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>antycypować — przewidywać, przeczuwać. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>cukry — dziś: cukierki, słodczyce. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>guwernantka — prywatna, domowa nauczycielka. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>kontrapost — pozycja, w której ciężar ciała opiera się głównie na jednej nodze. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>gzygzak — dziś: zygzak. [przypis edytorski]



ką słodkiej wody. I trzeba było dopowiedzieć, dorozumieć się tego rechotu w tej nocy gwarnej i źródlanej, i pełnej dreszczów podskórnych, ażeby — na chwilę wstrzymana — ruszyła dalej i księżyc kulminował, coraz bielszy i bielszy, jak gdyby przelewał swą białość z czary do czary, coraz wyższy i coraz promienniejszy, coraz bardziej magiczny i transcendentalny<sup>80</sup>.

Tak szliśmy pod przybierającą grawitacją księżycą. Ojciec i pan fotograf wzięli mnie między siebie, gdyż padałem z nóg z wielkiej senności. Nasze kroki chrzęściły w mokrym piasku. Dawno już spałem idąc i miałem już pod powiekami całą fosforescencję<sup>81</sup> nieba, pełną świetlistych znaków, sygnałów i gwiazdnych fenomenów, gdy wreszcie stanęliśmy w szczerym polu. Ojciec ułożył mnie na płaszczu rozpostartym na ziemi. Z zamkniętymi oczami widziałem jak słońce, księżyc i jedenaście gwiazd ustawiło się w paradzie na niebie, defilując przede mną. — Brawo, Józefie — zawołał ojciec z uznaniem i klasnął w dłoń. Był to oczywisty plagiat popełniony na innym Józefie<sup>82</sup>, zastosowany do innych zgoła okoliczności. Nikt nie robił mi z tego powodu zarzutu. Mój ojciec Jakub kiwał głową i cmokał językiem, a pan fotograf rozstawił swój trójnóg na piasku, rozsunął miech aparatu jak harmonię i pogrążył się cały w fałdach czarnego sukna: fotografował to osobliwe zjawisko, ten lśniący horoskop na niebie, podczas gdy ja z głową płynącą w blasku leżałem olśniony na płaszczu i podtrzymywałem bezwładnie ten sen do ekspozycji<sup>83</sup>.

### III

Dnie stały się długie, jasne i rozległe, za rozległe niemal na swą treść, jeszcze ubogą i nijaką. Były to dnie na wyrost, dnie pełne czekania, przybladłe z nudy i niecierpliwości. Jasne tchnienie, lśniący wiatr szedł przez pustkę tych dni, jeszcze nie zmacony wyziewami ogrodów nagich i pełnych słońca, wydmuchiwał do czysta ulice i stały długie i jasne, odświętnie zamiecione, jak gdyby czekały na czyjeś dalekie jeszcze i niewiadome przyjście. Słońce zmierzało powoli do punktów ekwinokcjalnych<sup>84</sup>, zwalniało w biegu, dochodziło do pozycji wzorowej, w której stanąć miało nieruchomo w idealnej równowadze, wypuszczając strumienie ognia, porcja za porcją, na pustą i chłonącą ziemię.

Jasny i nieskończony przeciąg wiał przez całą szerokość horyzontu, ustawiał szpalery i aleje pod czyste linie perspektywy, wygładzał się w wielkim i pustym wianu i stawał wreszcie, zatchniony, ogromny i lustrzany, jak gdyby chciał w swym wszechobejmującym zwierciadle zamknąć idealny obraz miasta, fatamorganę<sup>85</sup> przedłużoną w głąb jego świetlanej wklęsłości. Wtedy świat nieruchomiał na chwilę, stawał bez tchu, olśniony, chcąc wejść cały w ten złudny obraz, w tę prowizoryczną wieczność, którą mu otwierano. Ale szczęśliwa oferta mijała, wiatr łamał swe zwierciadło i czas brał nas znów w swe posiadanie.

Nadeszły ferie wielkanocne, długie i nieprzejrzane. Wolni od szkoły wałęsaliśmy się po mieście bez celu i potrzeby, nie umieliśmy korzystać ze swobody. Była to wolność całkiem pusta, nieokreślona i bez zastosowania. Sami jeszcze bez definicji, oczekiwaliśmy jej od czasu, który nie umiał jej znaleźć, gubiąc się wśród tysiąca wybiegów.

Przed kawiarnią ustawiono już stoliki na bruku. Panie siedziały przy nich w jasnych kolorowych sukienkach i połykały wiatr małymi łykami jak lody. Spódniczki furkotały, wiatr kąsał je od dołu, jak mały rozwścieczony piesek, panie dostawały wypieków, paliły je twarze od suchego wiatru i pierzchły wargi. Jeszcze trwał antrakt<sup>86</sup> i wielka nuda antraktu, świat zbliżał się powoli i z tremą do jakiejś granicy, dobijał za wcześniej do jakiejś mety i czekał.

Mieliśmy w tych dniach wszyscy wilczy apetyt. Biegliśmy wysuszeni wiatrem do domu, ażeby spożywać w tępych zamyśleniu ogromne kawały chleba z masłem, kupowaliśmy na ulicy wielkie, trzeszczące od świeżości obwarzanki, siedzieliśmy wszyscy rzędem w roz-

<sup>80</sup>transcendentalny — wykraczający poza rzeczywistość poznawalną zmysłami. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>fosforescencja — świecenie w ciemności. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Był to oczywisty plagiat popełniony na innym Józefie — nawiązanie do Biblii. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>ekspozycja — tu: naświetlenie. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>punktów ekwinokcjalny (z łac.) — punkt zrównania dnia z nocą. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>fatamorgana — złudzenie optyczne, polegające na przybliżaniu odległych widoków za sprawą warstw powietrza o różnej temperaturze. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>antrakt — przerwa między aktami spektaklu teatralnego. [przypis edytorski]

ległej sieni kamienicy w rynku — pustej i sklepionej — bez jednej myśli w głowie. Przez niskie arkady widać było biały i czysty plac rynkowy. Beczki po winie stały rzędem pod ścianą i pachniały. Siedzieliśmy na długiej ladzie, na której w dniu targowe sprzedawano kolorowe chustki chłopskie, i bębnilimy nogami w deski z bezradności i nudy.

Nagle Rudolf mając usta zapchane obwarzankami wyjął z zanadru markownik<sup>87</sup> i rozwinął go przede mną.

#### IV

Zrozumiałem wtedy, dlaczego ta wiosna była dotychczas tak pusta, wklęśła i zatchnięta. Nie wiedząc o tym, uciszała się w sobie, milkła, cofała się w głąb — robiła miejsce, otwierała się cała w czystą przestrzeń, pusty błękit bez mniemania i bez definicji — zdziwiona naga forma dla przyjęcia niewiadomej treści. Stąd ta błękitna, jakby ze snu zbudzona neutralność, ta wielka i jakby obojętna gotowość na wszystko. Ta wiosna trzymała się cała w pogotowiu — bezludna i obszerna, stawiała się cała do dyspozycji bez tchu i bez pamięci — czekała jednym słowem na objawienie. Któż mógł przewidzieć, że wyjdzie ono całkiem gotowe, w pełnym rynsztunku i olśniewające — z markownika Rudolfa.

Były to przedziwne skróty i formuły, recepty na cywilizację, poręczne amulety, w których można było ująć między dwa palce esencję klimatów i prowincji<sup>88</sup>. Były to przekazy na imperia i republiki, na archipelagi i kontynenty. Cóż więcej mogli osiąść cesarze i uzurpatorowie, zdobywcy i dyktatorzy? Poznałem nagle słodycz władzy nad ziemiami, kolec tego niedosytu, który tylko panowaniem ukoić można. Z Aleksandrem Macedońskim zapragnąłem świata całego. I ani o piędź<sup>89</sup> ziemi mniej niż świata.

#### V

Ciemny, żarliwy, pełen zapiekłej miłości odbierałem defiladę stworzenia, maszerujące kraje, lśniące pochody, które widziałem w interwałach<sup>90</sup>, poprzez purpurowe zaćmienia, ogłuszony od uderzeń krwi, bijącej do serca w takt tego uniwersalnego marsza wszystkich narodów. Rudolf przepuszczał przed moimi oczyma te bataliony i pułki, odprowadził parady, pełen gorliwości i zaafierowania. On, właściciel tego albumu, degradował się dobrowolnie jakby do roli adiutanta<sup>91</sup>, składał raport uroczyste, pełen przejęcia, jak przysięgę, zaślepiony i zdezorientowany w swej roli niejasnej i pełnej dwuznaczności. W końcu w uniesieniu, w napływie jakiejś zapamiętałej wielkoduszności przypiął mi, jak order do piersi — różową Tasmanię, pałającą jak maj, i Hajdarabad mrowiący się cygańskim bełkotem splątanych alfabetów.

#### VI

Wtedy to miało miejsce to objawienie, ta nagle ukazana wizja rozplamionej piękności świata, wtedy to przysłała ta wieść szczęśliwa, posłanie tajemne, ta misja specjalna o nieobjętych możliwościach bytu. Otworzyły się na oścież horyzonty jaskrawe, srogie i zapierające oddech, świat drżał i migotał w swych przegubach, przechylał się niebezpiecznie, grożąc wyłamaniem się z wszystkich miar i reguł.

Czym jest dla ciebie, drogi czytelniku, marka pocztowa<sup>92</sup>. Czym jest ten profil Franciszka Józefa I<sup>93</sup> z łysiną uwieńczoną wieńcem wawrzynu? Czy nie jest on symbolem codzienności, zdeterminowaniem wszystkich możliwości, rękojmią<sup>94</sup> nieprzekraczalnych granic, w których już raz na zawsze świat jest zamknięty?

Świat był naówczas objęty ze wszech stron Franciszkiem Józefem I i nie było wyjścia poza niego. Na wszystkich horyzontach wyrastał, zza wszystkich węglów<sup>95</sup> wynurzał się ten profil wszechobecny i nieunikniony, zamykał świat na klucz, jak więzienie.

<sup>87</sup>markownik (daw.) — klaser ze znaczkami. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>prowincyj — dziś popr. forma D.lm: prowincji. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>piędź — dawna miara długości. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>interwał — odległość, odstęp. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>adiutant — oficer pozostający do dyspozycji dowódcy. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>marka pocztowa — dziś: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>Franciszek Józef I (1830–1916) — cesarz cesarstwa austro-węgierskiego od 1848. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>rękojmią — gwarancja. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>węgiel — miejsce, gdzie mury stykają się pod kątem prostym. [przypis edytorski]

I oto, gdyśmy już stracili nadzieję, pełni gorzkiej rezygnacji, pogodzili się wewnętrznie z jednoznacznością świata, z tą ciasną niezmiennością, której potężnym gwarantem był Franciszek Józef I — wtedy zniemacka, jak rzecz nieważną otworzyłeś przede mną ten markownik, o Boże, pozwoliłeś rzucić mimochodem spojrzenie w tę księgę luszczącą się blaskiem, w markownik strącający swe szaty, stronica za stronicą, coraz jaskrawszy i coraz przeraźliwszy... Któż weźmie mi za złe, że stałem wówczas olśniony, bezsilny ze wzruszenia, a z oczu przepelnionych blaskiem lały mi się łzy. Co za olśniewający relatywizm<sup>96</sup>, co za czyn kopernikański, co za płynność wszystkich kategorii i pojęć.

Więc tyle dałeś sposobów istnienia, o Boże, więc taki Twój świat jest nieprzeliczony! To jest więcej, niż w najśmielszych marzeniach roilem. Więc prawdą jest ta wczesna antycypacja duszy, która wbrew oczywistości upierała się przy tym, że świat jest nieprzeliczony!

## VII

Świat był naówczas ograniczony Franciszkiem Józefem I. Na każdej marce pocztowej, na każdej monecie i na każdym stemplu stwierdzał jego wizerunek niezmienność świata, niewzruszony dogmat jego jednoznaczności. Taki jest świat i nie masz innych światów prócz tego — głosiła pieczęć z cesarsko-królewskim starcem. Wszystko inne jest urojeniem, dziką pretensją i uzurpacją. Na wszystkim położył się Franciszek Józef I i zahamował świat w jego wroście.

Skłaniamy się z głębi naszej istoty do prawomyślności, drogi czytelniku. Lojalność naszej układowej natury nie jest nieczuła na urok autorytetu. Franciszek Józef I był najwyższym autorytetem. Jeżeli ten autorytatywny starzec rzucał całą swą powagę na szalę tej prawdy — nie było rady, trzeba było zrezygnować z urojeń duszy, z żarliwych jej antycypacji — zaaranżować się, jak się da, w tym jedynie możliwym świecie, bez złudzeń i bez romantyki — i zapomnieć.

Ale gdy już więzienie zamyka się nieodwołalnie, gdy ostatni otwór jest zamurowany, gdy wszystko sprzysięgło się, ażeby cię przemilczeć, o Boże, gdy Franciszek Józef I zatarasował, zalepił ostatnią szparę, ażeby cię nie dojrzano, wtedy powstałeś w szumiącym płaszczu mórz i kontynentów i kłam mu zadałeś. Ty, Boże, wziąłeś wtedy na siebie odium herezji i wybuchnąłeś na świat tym ogromnym kolorowym i wspaniałym bluźnierstwem. O, Herezjarcho wspaniały! Uderzyłeś wtedy we mnie tą płonąca księgą, eksplodowałeś z kieszeni Rudolfa markownikiem. Nie znałem jeszcze wówczas trójkątnego kształtu markownika. Zamieniałem go w mym zaślepieniu z papierowym pistoletem, z którego strzelaliśmy w szkole pod ławką ku utrapieniu profesorów. O, jakże wystrześliłeś z niego, o Boże! To była Twoja żarliwa tyrada, to była płomienna i świetna filipika<sup>97</sup> Twoja przeciw Franciszkowi Józefowi I i jego państwu prozy, to była prawdziwa księga blasku.

Otworzyłem ją i zajaśniało przede mną kolorami światów, wiatrem nie objętych przestrzeni, panoramą wirujących horyzontów. Ty siedłeś przez nią, karta za kartą, ciągnąc za sobą ten tren utkany ze wszystkich stref i klimatów. Kanada, Honduras, Nikaragua, Abrakadabra, Hiporabundia... Zrozumiałem cię, o Boże. To były wszystko wybiegi Twojego bogactwa, to były pierwsze lepsze słowa, które Ci się nawinęły. Sięgnąłeś ręką do kieszeni i pokazałeś mi, jak garść guzików, rojące się w Tobie możliwości. Tobie nie chodziło o ścisłość, mówiłeś, co Ci ślina na język przyniosła. Mogłeś tak samo powiedzieć: Panfibras i Haleliwa, i powietrze załopotałoby wśród palm papugami do potęgi, a niebo, jak ogromna, stokrotna, szafirowa róża, rozdmuchana do dna — ukazałoby olśniewające sedno — oko Twoje pawiookie, urzęsione i przeraźliwe, i zamigotałoby jaskrawym rdzeniem Twej mądrości, załśniłoby nadkolorem, zawiałoby nadaromatem. Ty chciałeś mnie olśnić, o Boże, pochwalić się, skokietować mnie, bo i Ty masz chwile próżności, kiedy się sam sobą zachwycasz. O jakże kocham te chwile.

Jakże pograżony zostałeś, Franciszku Józefie I i twoja ewangelia prozy! Nadaremnie szukały cię moje oczy. Na koniec znalazłem cię. Byłeś także w tym tłumie, lecz jakże mały, zdezonizowany i szary. Maszerowałeś z innymi w prochu gościńca tuż za Ameryką Południową, a przed Australią, i śpiewałeś z innymi: Hosanna!

<sup>96</sup>relatywizm — względność. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>filipika — żarliwa mowa oskarżycielska. [przypis edytorski]

## VIII

Zostałem adeptem nowej ewangelii. Zaprzyjaźniłem się z Rudolfem. Podziwiałem go, przeczuwając niejasno, że jest on tylko narzędziem, że księga dla kogo innego jest przeznaczona. W istocie on zdawał się być raczej jej stróżem. Katalogował, przylepiał, odlepiał, chował na klucz do szafy. W gruncie rzeczy był smutny, jak ten, który wiedział, że jego będzie ubywać, podczas gdy ja przybierać będę. Był jak ten, który przyszedł prostować ścieżki Pańskie.

## IX

Miałem wiele powodów do przyjęcia, że księga ta była dla mnie przeznaczona. Wiele znaków wskazywało na to, że do mnie zwraca się ona jako misja specjalna, posłanie i poruczenie osobiste. Poznałem to już po tym, że nikt nie czuł się jej właścicielem. Nawet Rudolf, który ją raczej obsługiwał. Była mu w gruncie rzeczy obcą. Był on jak niechętny i leniwy sługa w pańszczyźnie obowiązku. Niekiedy zazdrość zalewała mu serce goryczą. Buntował się wewnętrznie przeciwko swej roli klucznika skarbu, który do niego nie należał. Patrzył z zazdrością na refleksy dalekich światów, wędrujących cichą gamą kolorów po mojej twarzy. Dopiero odbity od mego oblicza, dochodził go daleki odbłask tych kart, w których dusza jego nie miała udziału.

## X

Widziałem raz prestidigitatora<sup>98</sup>. Stał on na estradzie szczupły, ze wszech stron widoczny, i demonstrował swój cylinder, ukazując wszystkim puste jego i białe dno. W ten sposób zabezpieczywszy swą sztukę ponad wszelką wątpliwość przed podejrzeniem oszukańczych manipulacji, zakreślił palczką w powietrzu splątany swój znak magiczny i natychmiast zaczął z przesadną precyzją i naoecznością wywlekać laseczką z cylindra wstążki papierowe, kolorowe wstążki, lokciami, sążniami, na koniec kilometrami. Pokój napelniał się tą kolorową szeleszczącą masą, stawał się jasny od tego stokrotnego rozmnożenia, od spienionej i lekkiej bibułki, od świetlanego spiętrzenia, a on nie przestawał wywlekać tego nie kończącego się wątki<sup>99</sup>, mimo przerażonych głosów, pełnych zachwyconego protestu, okrzyków ekstazy, spazmatycznych płaczów, aż w końcu stawało się jasne, jak na dłoni, że go to nic nie kosztuje, że czerpie tę obfitość nie z własnych zasobów, że mu po prostu otworzyły się źródła nadziemskie, nie podług ludzkich miar i rachub.

Ktoś wówczas, predestynowany<sup>100</sup> do recepcji<sup>101</sup> głębszego sensu tej demonstracji, odchodził do domu zamysłony i olśniony wewnętrznie, przeniknięty do głębi prawdą, która weń weszła: Bóg jest nieprzeliczony...

## XI

Tu jest miejsce do rozwinięcia krótkiej paraleli między Aleksandrem Wielkim a moją osobą. Aleksander Wielki czuły był na aromaty krajów. Nozdrza jego przeczuwały niesłychane możliwości. Był on jednym z tych, nad których twarzą przesunął Bóg swą dłoń we śnie, tak że wiedzą, czego nie wiedzą, stają się pełni domysłów i podejrzeń, a przez zamknięte powieki przesuwają się im refleksy<sup>102</sup> dalekich światów. Wziął on jednak aluzje boskie zbyt dosłownie. Będąc człowiekiem czynu, czyli płytkiego ducha, wytłumaczył sobie misję swoją jako posłannictwo zdobywcy świata. Jego pierś napelniało to samo nienasycenie, co moją, te same westchnienia rozszerzały je, wstępując w jego duszę, horyzont za horyzontem, krajobraz za krajobrazem. Nie miał nikogo, kto by sprostował jego pomyłkę. Nawet Arystoteles go nie rozumiał. Tak umarł rozczarowany, mimo że zdobył świat cały, zwątpiwszy o Bogu, który się wciąż przed nim usuwał, i o jego cudach. Jego portret zdobył monety i marki wszystkich krajów. Za karę stał się on Franciszkiem Józefem swoich czasów.

Władza

<sup>98</sup> *prestidigitator* — sztukmistrz, iluzjonista. [przypis edytorski]

<sup>99</sup> *wątka* — dziś popr. forma D.lp: wątku. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *predestynowany* — przeznaczony. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *recepcja* — odbiór. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *refleks* — odbicie. [przypis edytorski]

## XII

Chciałbym dać czytelnikowi choć przybliżone wyobrażenie, czym była wówczas ta księga, w której kartach preliminarowały<sup>103</sup> się i układały ostateczne sprawy tej wiosny. Niewymowny, niepokojący wiatr szedł lśniącem szpalerem tych marek, udekorowaną ulicą herbów i sztandarów, rozwijając żarliwie godła i emblemy<sup>104</sup> falujące w zatchnionej ciszy, w cieniu chmur groźnie wyrosłym nad horyzontem. Potem zjawiali się nagle pierwsi heroldzi na pustej ulicy w galowych strojach, z czerwonymi opaskami na ramionach, lśniący od potu, bezradni, pełni misji i zaferowania. Dawali znaki w milczeniu, wzruszeni do głębi i pełni uroczystej powagi, i już mroczniała ulica od nadciągającej demonstracji, ciemniały ze wszystkich przecznic szpalery w chrzeście tysięcy nadchodzących nóg. Była to ogromna manifestacja krajów, uniwersalny pierwszy maj, monstr-parada światów. Świat manifestował tysiącem jak do przysięgi wzniesionych rąk, flag i sztandarów, manifestował tysiącem głosów, że nie jest za Franciszkiem Józefem I, ale za kimś o wiele, o wiele większym. Nad wszystkim falował kolor jasnoczerwony, niemal różowy, niewymowny, wyzwalający kolor entuzjazmu. Z San Domingo, z San Salvador, z Florydy nadchodziły delegacje zdyszane i gorące, całe w garniturach malinowych, i kłaniały się melonikami koloru czereśni, spod których ulatywały rozkrzyczane szczygły, po dwa, po trzy. Lśniący wiatr wyostrzał w szczęśliwych przelotach blask trąb, otrzepywał miękko i bezsilnie kanty instrumentów, roniące na wszystkich brzegach ciche motylki elektryczności. Mimo natłoku, mimo defilady tysięcy, wszystko odbywało się w porządku, ogromna rewia rozwijała się planowo i w ciszy. Są chwile, iż flagi z balkonów falujące gorąco i gwałtownie, wijące się w zrzędłym powietrzu w amarantowych<sup>105</sup> torsjach, w gwałtownych cichych trzepotach, w daremnych wzlotach entuzjazmu — wstają nieruchomo, jak na apel, i cała ulica staje się czerwona, jaskrawa i pełna milczącego alarmu, podczas gdy w pociemniałej dali odlicza się uważnie głuche saluty kanonady, czterdzieści dziewięć detonacji, w mroczniejącym powietrzu.

Potem horyzont chmurnieje raptownie jak przed wiosenną burzą, błyszczą tylko jaskrawo instrumenty orkiestr i w ciszy słychać pomruk ciemniejącego nieba, szum dalekich przestworzy, podczas gdy z pobliskich ogrodów zapach czeremchy nadpływa w skupionych ładunkach i rozładowuje się bezbrinnie w niewymownych rozprzestrzeniach.

## XIII

Aż pewnego dnia przy końcu kwietnia było przedpołudnie szare i ciepłe, ludzie szli, patrząc przed siebie w ziemię, zawsze w ten metr kwadratowy wilgotnej ziemi przed sobą, i nie czuli, że bokami mijają drzewa parku, czarno rozgałęzione, pękające w rozlicznych miejscach w słodkie jątrzące się rany.

Uwikłane w czarnej gałęzistej sieci drzew szare, duszne niebo leżało ludziom na karku — wichrowato spiętrzone, bezforemnie ciężkie i ogromne jak pierzyna. Ludzie gramolili się spod niego na rękach i nogach, jak chrabąszcze w tej ciepłej wilgoci, obwąchujące czułymi różkami słodką glinę. Świat leżał głuchy, rozwijał się i rósł gdzieś w górze, gdzieś z tyłu i w głębi — błogo bezsilny — i płynął. Chwilami zwalniał i przypominał coś mglisto, gałęził się drzewami, oczkował gęstą, lśniącą siatką ćwierkania ptasiego narzuconą na ten dzień szary i szedł w głąb, w węzowanie podziemne korzeni, w ślepe pulsowanie robaków i gąsienic, w głuche zamroczenie czarnoziemu i gliny.

A pod tym bezforemnym ogromem kucali ludzie ogłuszeni i bez myśli w głowie, kucali z głowami w dłoniach, wisieli niezgrabnie w pozie jeszcze wczorajszej i ślinili się bezwiednie.

Może ogłuszały ich te gęste grzechotki ćwierkania, te niestrudzone makówki sypiące szary śrut, którym ćmiło się powietrze. Chodzili ospale pod tym gradem ołowianym i rozmawiali na migi w tej ulewie rzęsiściej lub zrezygnowani milczeli.

Ale gdy około jedenastej godziny przed południem, gdzieś w jakimś punkcie przestrzeni przez wielkie spęczniałe ciało chmur wykuło się słońce bladym kielkiem — wtedy

Niebo

Wiosna

<sup>103</sup>preliminować — wstępnie szacować dochody i wydatki. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>emblem a. emblemat — tu: znak. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>amarantowy — czerwony o lekko fioletowym odcieniu. [przypis edytorski]

nagle w gałęzistych koszach drzew zaświeciły gęsto wszystkie pączki i szary welon ćwierkania oddzielił się powoli bladozłocistą siatką z twarzy dnia, który otworzył oczy. I to była wiosna.

Wtedy nagle, w jednej chwili, pusta przed chwilą aleja parku zasiana jest ludźmi śpieszącymi w różne strony, jakby była punktem węzłowym wszystkich ulic miasta, i zakwita strojami kobiet. Jedne z tych prędkich i zgrabnych dziewcząt spieszą do pracy, do sklepów i biur, inne na schadzki, ale przez chwil parę, podczas których przechodzą przez ażurowy<sup>106</sup> kosz alei dyszący wilgocią kwiaciarni i nakrapiany trelami ptaków — należą do tej alei i do tej godziny, są — nie wiedząc o tym — statystkami tej sceny w teatrze wiosny, jak gdyby zrodziły się na deptaku razem z tymi delikatnymi cieniami gałązek i listków, pączkującymi w oczach na ciemnozłotym tle wilgotnego żwiru, i biegną parę złotych, gorących i kosztownych pulsów, a potem nagle zbledną i zająd cieniem, wsiąkną w piasek, jak te filigrany<sup>107</sup> przezrocze, gdy słońce wejdzie w zamyślenie obłoków.

Ale przez jedną chwilę zaroily aleję swym świeżym pośpiechem i z szelestu ich bielizny zdaje się płynąć ten bezimienny odór alei. Ach, te przewiewne i świeże od krochmalu<sup>108</sup> koszulki prowadzone na spacer pod ażurowym cieniem wiosennego korytarza, koszulki z plamami mokrymi pod pachą, schnące w fiołkowych powiewach dali. Ach, te młode, rytmiczne, zgrzane od ruchu nogi w nowych, skrzypiących jedwabiem pończoszkach, pod którymi kryją się czerwone plamy i pryszczki — zdrowe, wiosenne wypryski krwi gorącej. Ach, cały ten park jest bezczelnie pryszczaty i wszystkie drzewa wysypują się pączkami pryszczki, które pękają ćwierkaniem.

Potem aleja znów pustoszeje i po sklepionym deptaku gędoli<sup>109</sup> cicho drucianymi szprychami wózek dziecinny na smukłych resorach. W małym lakierowanym czółenku pogrążone w grządkę wysokich krochmalonych szlar<sup>110</sup> fularu<sup>111</sup> śpi jak w bukiecie kwiatów coś od nich delikatniejszego. Dziewczyna, prowadząca powoli wózek, nachyla się czasem nad nim, przechyla na tylne koła, kwiląc osiami obręczy, ten bujający koszyk, rozkwitły białą świeżością, i rozdmuchuje pieścizliwie ten bukiet tiulu aż do słodkiego, uśpionego jądra, przez którego sen wędruje jak bajka, podczas gdy wózek mija smugi cienia — ten przepływ obłoków i światła.

Potem w południe wciąż jeszcze plecie się ten pączkujący wirydarz<sup>112</sup> światłem i cieniem, a przez delikatne oka tej siatki sypie się bez końca świergot ptaszeków — z gałęzi na gałązkę, sypie się perliście przez drucianą klatkę dnia, ale kobiety przechodzące brzegiem deptaku są już zmęczone i mają włosy rozluźnione od migreny i twarze znękaną wiosną, a potem już całkiem pustoszeje aleja, a przez ciszę popołudnia przechodzi powoli zapach restauracji z pawilonu parkowego.

## XIV

Codziennie o tej samej godzinie przechodzi Bianka ze swą guwernantką<sup>113</sup> przez aleję parku. Cóż powiem o Biance, jakże ją opiszę? Wiem tylko, że jest w sam raz cudownie zgodna ze sobą, że wypełnia bez reszty swój program. Z sercem ściśniętym głęboką radością widzę za każdym razem na nowo, jak — krok za krokiem — wchodzi w swą istotę, lekka jak tanecznica, jak nieświadomie trafia każdym ruchem w samo sedno.

Idzie całkiem zwyczajnie, nie z nadmierną gracją, ale z prostotą chwytającą za serce, i serce ściska się ze szczęścia, że można tak po prostu być Bianką, bez żadnych sztuk i bez żadnego natężenia.

Raz podniosła powoli swe oczy na mnie i mądrość tego spojrzenia przeniknęła mnie na wskroś, przeszła jak strzała na wylot. Odtąd wiem, że nic nie jest jej tajne, że zna wszystkie moje myśli od początku. Od tej chwili oddałem się jej do dyspozycji, bez granic

<sup>106</sup> *ażurowy* — dekorowany układem otworów. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *filigran* — rodzaj ornamentu wykonanego z cienkich drucików. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *krochmal* — mączka kartoflana gotowana w wodzie i stosowana do usztywniania tkanin. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> *gędolić* — dźwięczność (por. daw. gędźba: muzyka). [przypis edytorski]

<sup>110</sup> *szlara* — tu zapewne: coś przypominającego miękkie pióra (dosł.: pióra wokół oczu sowy). [przypis edytorski]

<sup>111</sup> *fular* — tu: delikatny jedwab. [przypis edytorski]

<sup>112</sup> *wirydarz* — ozdobny ogród. [przypis edytorski]

<sup>113</sup> *guwernantka* — prywatna nauczycielka domowa. [przypis edytorski]

Młodość

Dziecko

i niepodzielnie. Przyjęła ledwo widocznym skinieniem powiek. Stało się to bez słowa, w przejściu, w jednym spojrzeniu.

Gdy chcę ją sobie wyobrazić, mogę przywołać tylko jeden szczegół, nic nie znaczący: jej spierzchniętą skórę na kolanach, jak u chłopca, co jest głęboko wzruszające i prowadzi myśl w dręczące przesmyki sprzeczności, pomiędzy uszczęśliwiającej antynomie<sup>114</sup>. Wszystko inne, powyżej i poniżej, jest transcendentne i niewyobrażalne.

## XV

Zagłębiłem się dziś znowu w markownik<sup>115</sup> Rudolfa. Co za cudowne studium! Ten tekst jest pełen odsyłaczy, aluzji, napomknięć i pełen dwuznacznego migotania. Ale wszystkie linie zbiegają się w Bianca. Co za uszczęśliwiająca supozycja<sup>116</sup>. Od węzła do węzła biegnie moje podejrzenie, jak wzdłuż lontu, zażegniete<sup>117</sup> świetlistą nadzieją — coraz bardziej olśnione. Ach, jak mi ciężko, jak ściska się serce od tajemnic, które przeczuwam.

## XVI

W parku miejskim gra teraz codziennie wieczorem muzyka i przez aleje przesuwają się promenada<sup>118</sup> wiosenna. Krążą i nawracają, mijają i spotykają się w symetrycznych, wciąż powtarzających się arabeskach<sup>119</sup>. Młodzi ludzie noszą nowe, wiosenne kapelusze i trzymają niedbale rękawiczki w dłoni. Przez pnie drzew i żywopłoty świecą w sąsiednich alejach sukienki dziewcząt. Idą te dziewczęta parami, kołysząc się w biodrach, napuszone pianą szlar i wolantów<sup>120</sup>, noszą ze sobą, jak łabędzie, te różowe i białe napuszenia — dzwony pełne kwitnącego muślinu<sup>121</sup> i czasami osiadają nimi na ławce — jakby zmęczone ich pustą paradą — osiadają całą tą wielką różą gazy i batystu<sup>122</sup>, która pęka, przelewając się płatkami. I wtedy odsłaniają się nogi założone jedna na drugą i skrzyżowane — splecione w biały kształt pełen nieodpartej wymowy, a młodzi spacerowicze, mijając je, milkną i bledną, rażeni trafnością argumentu, do głębi przekonani i zwyciężeni.

Przychodzi chwila przed samym zmierzchem i kolory świata pięknieją. Wszystkie barwy wstępują na koturny, stają się odświeżone, żarliwe i smutne. Szybko napelnia się park różowym werniksem<sup>123</sup>, lśniącym lakierem, od którego rzeczy stają się naraz bardzo kolorowe i iluminowane. Ale już w tych barwach jest jakiś lazur zbyt głęboki, jakaś piękność zbyt jaskrawa i już podejrzana. Jeszcze chwila i gąszcz parku ledwie przysypany młodą zielenią, gałęzisty jeszcze i nagi, prześwieca cały na wskroś różową godziną zmierzchu, podbitą balsamem chłodu, napuszoną niewymownym smutkiem rzeczy na zawsze i śmiertelnie pięknych.

Wtedy nagle cały park staje się jak ogromna, milcząca orkiestra, uroczysta i skupiona, czekająca pod podniesioną pałeczką dyrygenta, aż muzyka w niej dojrzeje i wzbierze, i nagle nad tą ogromną, potencjalną i żarliwą symfonią zapada szybki i kolorowy zmierzch teatralny, jak gdyby pod wpływem tonów nabrzmiewających gwałtownie we wszystkich instrumentach — wysoko gdzieś przesywa młodą zielenią głos wilgi, zaszytej w gęstwinie — i nagle naokoło staje się uroczyście, samotnie i późno jak w wieczornym lesie.

Ledwo wyczuwalny powiew przypyływa przez wierzchołki drzew, z których osypuje się dreszczem suchy nalot czeremchy — niewysłowiony i gorzki. Przesypuje się wysoko pod zmierzchającym niebem i splywa bezgranicznym westchnieniem śmierci ten gorzki aromat, w który pierwsze gwiazdy ronią swe łzy, jak kwiatki bzu uszczknięte z tej nocy bladej i liliowej. (Ach, wiem: jej ojciec jest lekarzem okrętowym, jej matka była kwar-

<sup>114</sup>antynomia — sprzeczność. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>markownik — klaser ze znaczkami, wykonany przez odpowiednie zaginanie kartek zeszytu. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>supozycja — tymczasowe, niezwyfikowane założenie. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>zażegniete (daw.) — zapalony. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>promenada — tu: przechadzka. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>wolant — falbana naszyta na sukienkę lub spódnicę. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>muślin — rodzaj półprzezroczystej tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>batyst — cienka tkanina z bawełny lub z lnu. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>werniks — substancja na bazie żywicy, którą pokrywa się powierzchnię obrazów olejnych. [przypis edytorski]

teronką<sup>124</sup>. Na nią to czeka w przystani noc w noc ten mały ciemny parowiec rzeczny, z kołami po bokach, i nie zapala latami).

Wtedy w te krążące pary, w tych młodzieńców i te dziewczęta, spotykające się wciąż w regularnych nawrotach, wstępuje jakaś dziwna siła i natchnienie. Każdy z nich staje się jak Don Juan<sup>125</sup> piękny i nieodparty, wychodzi z siebie dumny i zwycięski i osiąga w spojrzeniu tę moc zabójczą, od której serca dziewczęce truchleją. A dziewczętom pogłębiają się oczy, otwierają się w nich jakieś głębokie ogrody rozgałęzione alejami, labirynty parków ciemne i szumiące. Źrenice ich rozszerzają się odświętnym blaskiem, otwierają się bez oporu i wpuszczają tych zdobywców w szpalery swych ciemnych ogrodów, rozchodzących się ścieżkami wielokrotnie i symetrycznie jak strofy kancony<sup>126</sup>, ażeby spotkać się i znaleźć, jak w smutnym rymie, na różowych placach, dookoła okrągłych klombów, albo przy fontannach płonących bardzo późnym ogniem zorzy i znów rozejść i rozlać się między czarne masy parku, wieczorne gęstwiny, coraz gęstsze i szumniejsze, w których zatracają się i gubią jak wśród zawitych kulis, aksamitnych kotar i zacisznych alkierzy<sup>127</sup>. I nie wiadomo kiedy zachodzą przez chłód tych mroczniejszych ogrodów w całkiem zapomniane, obce ustronia, w inny jakiś, ciemniejszy szum drzew, płynący żalobnym kirem<sup>128</sup>, w którym ciemność fermentuje i wyradza się, a cisza psuje się w ciągu lat milczenia i rozkłada fantastycznie, jak w starych, zapomnianych beczkach po winie.

Tak błędząc po omacku w czarnym pluszu tych parków, spotykają się wreszcie na samotnej polanie, pod ostatnią purpurą zorzy, nad sadzawką, która od wieków zarasta czarnym szlamem, i na kruszej balustradzie, gdzieś na rubieży<sup>129</sup> czasu, u tylnej furtki świata, odnajdują się z powrotem w jakimś dawno minionym życiu, w dalekiej preegzystencji, i włączeni w obcy czas, w kostiumach odległych wieków, szlochają bez końca nad muślinem jakiegoś trenu i wspinając się ku niedosięgłym przysięgom i wchodząc po stopniach zapamiętania, docierają do jakichś szczytów i granic, poza którymi już tylko śmierć jest i zdrętwienie nienazwanej rozkoszy.

## XVII

Co to jest zmierzch wiosenny.

Czy dotarliśmy do sedna rzeczy, czy dalej już ta droga nie prowadzi? Jesteśmy u końca nasyżonych słów, które już nie stają się majaczkliwe, bredzące i niepoczytalne. A jednak dopiero za ich rubieżą zaczyna się to, co w tej wiosnie jest nieogarnięte i niewypowiedziane. Misterium zmierzchu! Dopiero poza naszymi słowami, gdzie moc naszej magii już nie sięga, szumi ten ciemny, nieobjęty żywioł. Słowo rozkłada się tu na elementy i rozwiązuje, wraca w swą etymologię<sup>130</sup>, wchodzi z powrotem w głąb, w ciemny swój korzeń. Jak to w głąb. Rozumiemy to dosłownie. Oto ściemnia się, słowa nasze gubią się wśród niejasnych skojarzeń: Acheront<sup>131</sup>, Orkus<sup>132</sup>. Podziemie... Czy czujecie, jak mrocznieje od tych słów, jak sypie się kretowiskiem, jak powiało głębią, piwnicą, grobem. Co to jest zmierzch wiosenny? Raz jeszcze stawiamy to pytanie, ten refren żarliwy naszych dociekań, na który nie ma odpowiedzi.

Gdy korzenie drzew chcą mówić, gdy pod darnią<sup>133</sup> nabiera się bardzo wiele przeszłości, dawnych powieści, prastarych historii, gdy nagromadzi się pod korzeniami zbyt wiele zdyszanego szeptu, nieartykułowanej miążgi i tego ciemnego bez tchu, co jest przed wszelkim słowem — wtedy kora drzew czernieje i rozpada się chropawo w grube łuski, w głębokie skiby, otwiera się rdzeń ciemnymi porami, jak futro niedźwiedzie. Pograżać się twarzą w tym puszystym futrze zmierzchu, wtedy staje się przez chwilę całkiem ciemno, głucho i bez tchu jak pod wiekiem. Trzeba wtedy przystawić oczy jak pijawki do najczarniejszej ciemności, zadać im lekki gwałt, przeczisnąć je przez nieprzeniknio-

Wieczór

<sup>124</sup>*kwarteronka* — córka białego i mulatki. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*Don Juan* — legendarny uwodziciel, bohater licznych oper i dramatów. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>*kancona* a. *canzona* — włoska pieśń wielogłosowa. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>*alkierz* (daw.) — sypialnia w bocznym pokoju. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>*kir* — czarna tkanina, symbol żaloby. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>*rubież* — granica. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>*etymologia* — pochodzenie wyrazu a. nauka badająca tę kwestię. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*Acheront* (mit. gr.) — jedna z rzek podziemnego świata zmarłych. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*Orkus* (mit. rzym.) — demon śmierci bądź rządzona przez niego kraina zmarłych. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*darni* — warstwa gleby wraz z korzeniami roślin. [przypis edytorski]



ne, przepchać na wskroś przez głuchą glebę — i oto nagle jesteśmy u mety, po drugiej stronie rzeczy, jesteśmy w głębi, w Podziemiu. I widzimy...

Nie jest tu wcale ciemno, jak można by przypuszczać. Przeciwnie — wewnątrz pulsuje całe od światła. Jest to, rzecz oczywista, wewnętrzne światło korzeni, błędna fosforescencja<sup>134</sup>, nikłe żyłki poświaty, którymi marmurkowana jest ciemność, wędrujące świetliste majaczenie substancji. Tak samo przecież, gdy śpimy, odcięci od świata, daleko zabłąkani w głębokiej introwersji, w powrotnej wędrówce do siebie — widzimy również, widzimy wyraźnie pod zamkniętymi powiekami, gdyż wtedy myśli zapalają się w nas wewnętrznym łuczyciem i tlą się majaczkliwie wzdłuż długich lontów, zaniecając się od węzła do węzła. Tak dokonuje się w nas regresja na całej linii, cofanie się w głąb, powrotna droga do korzeni. Tak rozgałęziamy się w głębi anamnezą<sup>135</sup>, wzdrygając się od podziemnych dreszczów, które nas przebiegają, roimy podskórnice na całej majaczącej powierzchni. Bo tylko w górze, w świetle — trzeba to raz powiedzieć — jesteśmy drżącą artykułowaną wiązką melodii, świetlistym wierzchołkiem skowronkowym — w głębi rozsypujemy się z powrotem w czarne mruczenie, w gwar, w bezlik nieskończonych historii.

Teraz dopiero widzimy, na czym ta wiosna rośnie, czemu jest tak niewymownie smutna i ciężka od wiedzy. Ach, nie wierzylibyśmy, gdybyśmy na własne oczy nie widzieli. Oto są labirynty wnętrza, magazyny i spichrze rzeczy, oto są ciepłe jeszcze groby, próchno i mierzwa<sup>136</sup>. Prastare historie. Siedem warstw, jak w dawnej Troi, korytarze, komory, skarbcze. Ile złotych masek, maska przy masce, spłaszczone uśmiechy, wyżarte twarze, mumie, puste poczwarki... Tu są te kolumbaria<sup>137</sup>, te szuflady na umarłych, w których leżą zaschnięci, czarni jak korzenie i czekają na swój czas. Tu są te wielkie drogerie, gdzie stoją na sprzedaż w łzawnikach, tyglach, słojach. Stoją latami w swych regałach, w długich uroczystych porządkach, choć nikt ich nie kupuje. Może ożyli już w przegrodach swych gniazd, już całkiem ozdrowieni, czyści jak kadzidło i wonni — świegocące specyfiki, obudzone niecierpliwie leki, balsamy i maści poranne ważące swój wczesny smak na końcu języka. Te zamurowane gołębniki pełne są wykluwających się dzióbeków i najpierwszego, próbującego, świetlistego ćwierkania. Jak porannie i przed wszelkim czasem robi się nagle w tych pustych i długich szpalerach, gdzie umarli budzą się rzędem, głęboko wypoczęci — do całkiem nowego świtu!...

Zmartwychwstanie

\*

Ale nie tu koniec jeszcze, zstępujemy głębiej. Tylko bez strachu. Proszę mi podać rękę, krok jeszcze i jesteśmy u korzeni i natychmiast staje się gałęzisto, mrocznie i korzennie jak w głębokim lesie. Pachnie darnią i próchnem, korzenie wędrują w ciemności, płaczą się, wstają, soki wstępują w nich w natchnieniu, jak w pijących pompach. Jesteśmy po drugiej stronie, jesteśmy u podszewki rzeczy, w ciemności fastrygowanej płaczącą się fosforescencją. Co za krążenie, ruch i ciżba! Co za mrowie i miazga, ludy i pokolenia, tysiąckrotnie rozmnożone biblie i iliady! Co za wędrówka i tumult, płatanina i zgiełk historii! Dalej już ta droga nie prowadzi. Jesteśmy na samym dnie, u ciemnych fundamentów, jesteśmy u Matek. Tu są te nieskończone inferna, te beznadziejne obszary osjaniczne<sup>138</sup>, te oplakane nibelungi<sup>139</sup>. Tu są te wielkie wylęgarnie historii, te fabryki fabulistyczne<sup>140</sup>, mgliste fajczarnie fabuły i bajek. Teraz wreszcie rozumie się ten wielki i smutny mechanizm wiosny. Ach, ona rośnie na historiach. Ile zdarzeń, ile dziejów, ile losów! Wszystko cośmy kiedykolwiek czytali, wszystkie zasłyszane historie i wszystkie te, które się nam majaczą od dzieciństwa — nigdy nie zasłyszane — tu, nie gdzie indziej jest ich dom i ojczyzna. Skądże by pisarze brali swe koncepcje, skądże by czerpali odwagę do wymyślania, gdyby nie czuli za sobą tych rezerw, tych kapitałów, tych rozliczeń

<sup>134</sup>fosforescencja — świecenie w ciemności. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>anamneza — przypomnienie sobie tego, co wiedzieliśmy przed narodzinami. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>mierzwa — nawóz. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>kolumbarium — zbiorowy grobowiec z niszami na urny. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>osjaniczny — charakterystyczny dla klimatu *Pieśni Osjana*, poematu Jamesa Macphersona opublikowanego przezeń jako średniowieczny poemat celtycki. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>nibelungi — mityczne karły z germańskich podań, uwiecznione m.in. w twórczości operowej Richarda Wagnera. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>fabryki fabulistyczne — fabryki opowieści. [przypis edytorski]

stokrotnych, którymi wibrują Podziemia. Co za płatanina szeptów, co za mruczący gwar ziemi! O ucho twoje pulsuje niewyczerpana perswazja. Idziesz z przymkniętymi oczyma w tym ciepłe szeptów, uśmiechów i propozycji, nagabywany bez końca, nakluwany tyśiąckrotnie pytaniami, jak milionami słodkich ssawek komarzych. Chciałyby, byś wziął coś od nich, cokolwiek, szczyptę choć tych bezcielesnych, szepczących dziejów, i przyjął to w swe młode życie, w krew swoją, i ocalił i żył z tym dalej. Bo czymże jest wiosna, jeśli nie zmartwychwstaniem historyj. Ona jedna wśród tych bezcielesnych jest żywa, rzeczywista, chłodna i nic nie wiedząca. O, jakże ciągnie te widma do jej młodej zielonej krwi, do jej roślinnej niewiedzy, wszystkie te fantomy, te larwy, te farfarele<sup>141</sup>. A ona bierze je w swój sen bezbronna i naiwna, i śpi z nimi, i budzi się nieprzytomna o świecie, i nic nie pamięta. Dlatego jest tak ciężka tą całą sumą zapomnianego, i tak smutna, bo musi sama jedna żyć za tyle żywotów, za tyle odrzuconych i poniechanych być piękną... A ma na to tylko bezdenną woń czeremchy, płynącą jednym, wiecznym, nieskończonym tokiem, w którym jest wszystko... Bo cóż znaczy zapomnieć. Na starych historiach wyrosła przez noc nowa zieleń, miękki nalot zielony, jasne gęste pączkowanie wysypało się wszystkimi porami równomierną szczecinką jak czupryniki chłopców nazajutrz po ostrzyżeniu. Jak zazielenia się wiosna zapomnieniem, jak odzyskują te stare drzewa słodką i naiwną niewiedzę, jak budzą się gałązkami nie obciążone pamięcią, mając korzenie pogrążone w starych dziejach! Ta zieleń będzie je jeszcze raz czytała jak nowe i sylabizowała od początku i od tej zieleni odmłódzą się historie i zaczną się raz jeszcze, jakby się nigdy nie odbyły.

Tyle jest nie urodzonych dziejów. O, te żalosne chóry wśród korzeni, te przegadujące się nawzajem gawędy, te niewyczerpane monologi wśród nagle wybuchających improwizacji! Czy starczy cierpliwości, by ich wysłuchać. Przed najstarszą zasłyszaną historią były inne, których nie słyszeliście, byli bezimienni poprzednicy, powieści bez nazwy, epepeje ogromne, blade i monotonne, bezkształtne byliny<sup>142</sup>, bezforemne kadłuby, giganci bez twarzy zalegający horyzont, ciemne teksty pod wieczorne dramaty chmur, a dalej jeszcze — książki-legendy, książki nigdy nie napisane, książki-wieczni pretendenci, błędne i stracone książki *in partibus infidelium*<sup>143</sup>...

\*

Między wszystkimi historiami, które się tłoczą nie wypłatane u korzeni wiosny, jest jedna, która już dawno przeszła na własność nocy, osiadła na zawsze na dnie firmamentów — wieczny akompaniament i tło gwiazdzistych przestworzy. Przez każdą noc wiosenną, cokolwiek by się w niej działo, przechodzi ta historia wielkimi krokami ponad ogromny rechot żab i nieskończony bieg młynów. Idzie ten mąż pod mlewem<sup>144</sup> gwiazdzistym sypiącym się z żaren<sup>145</sup> nocy, idzie wielkimi krokami przez niebo, tuląc dzieciątko w fałdach płaszcza, ciągle w drodze, w nieustannej wędrówce przez nieskończone przestrzenie nocy. O, żalność ogromna samotności, o, niezmierzone sieroctwo w przestrzeniach nocy, o, blaski dalekich gwiazd! W tej historii czas nic już nie zmienia. W każdym momencie przechodzi ona właśnie przez gwiazdne horyzonty, właśnie mija nas wielkimi krokami i tak już będzie zawsze, wciąż na nowo, gdyż raz wykolejona z torów czasu już stała się niezgruntowana, bezdenna, przez żadne powtarzanie nie wyczerpana. Idzie ten mąż i tuli dziecko w ramionach — rozmyślnie powtarzamy ten refren, to motto żalosne nocy, ażeby wyrazić tę intermitującą<sup>146</sup> ciągłość przechodzenia, chwilami przesłanianą płataniną gwiazd, chwilami całkiem niewidoczną przez długie, nieme interwały<sup>147</sup>, przez które przewiewa wieczność. Dalekie światy podchodzą całkiem blisko — straszliwie jaskrawe, przesyłają przez wieczność gwałtowne sygnały w niemych, niewymownych raportach — a on idzie i uspokaja bez końca dziewczynkę, monotonna i bez nadziei, bezsilny wobec

<sup>141</sup>farfarele — psotne, nieszkodliwe diabelfki. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>bylina — rosyjska pieśń ludowa opiewająca losy bohatera. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>in partibus infidelium (łac.) — w krajach niewiernych. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>mlewo — zboże w trakcie mielenia. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>żarna — kamienie dawniej używane do mielenia zboża. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>intermitujący (z łac.) — przerywany. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>interwał — przerwa, odstęp. [przypis edytorski]

tamtego szeptu, tych straszliwie słodkich perswazyj nocy, tego jedyne go słowa, w które formują się usta ciszy, gdy nikt jej nie słucha...

To jest historia o porwanej i zamienionej księżniczce.

## XVIII

A gdy późną nocą wracają cicho do rozległej willi wśród ogrodów, do białego, niskiego pokoju, w którym stoi długi, czarny, lśniący fortepian i milczy wszystkimi strunami, a przez wielką szklaną ścianę, jakby przez szyby oranżerii, cała noc wiosenna się nachyla — blada i mżąca gwiazdami — z wszystkich flakonów i naczyń pachnie gorzko czeremcha nad chłodną pościelą białego łóżka — wtedy przez wielką i bezsenną noc biegną niepokoje i nasłuchiwanie i serce przez sen gada, i leci, i potyka się, i szlocha przez rozległą i rośną, ćmami zarojoną noc, gorzką od czeremchy i świetlistą... Ach to ta gorzka czeremcha rozszerza tak noc bezdenną i serce znękaną od lotów, zbiegane od gonitw szczęśliwych, chciałoby usnąć na chwilę na jakiejś napowietrznej granicy, na jakiejś najcieńszej krawędzi, ale z tej bladej nocy bez końca wciąż nowa noc się wyprzestrzenia, coraz bledsza i bardziej bezcielesna, porysowana w świetliste linie i gzygzaki<sup>148</sup>, w spirale gwiazd i białych lotów, tysiącrotnie nakłuta od ssawek niewidzialnych komarów, bezszelestnych i słodkich od krwi dziewczęcej, i serce niestrudzone już znów plecie przez sen, niepoczytalne, zaplątane w gwieździste i zawile afery, w zdyszane pośpiechy, w księżycowe popłochy, wniebowzięte i stokrotne, wplecione w blade fascynacje, w drętwe, lunatyczne sny i dreszcze letargiczne.

Ach, te wszystkie porwania i gonitwy tej nocy, zdrady i szeptu, Murzyni i sternicy, kraty balkonów i nocne żaluzje, muślinowe sukienki i welony wiejące za zdyszaną ucieczką!... Aż wreszcie poprzez nagłe zmroczenie, głuchą i czarną pauzę, przychodzi ta chwila — wszystkie marionetki leżą w swych pudełkach, wszystkie firanki zasunięte i wszystkie oddechy dawno przesądzone idą spokojnie tam i sam przez całą szerokość tej sceny, podczas gdy na uspokojonym rozległym niebie świt buduje bezgłośnie swe dalekie miasta różowe i białe, swe jasne, wydęte pagody<sup>149</sup> i minarety<sup>150</sup>.

## XIX

Dopiero dla uważnego czytelnika Księgi staje się natura tej wiosny jasną i czytelną. Te wszystkie poranne przygotowania dnia, cała jego wczesna toaleta, wszystkie te wahania, wątpliwości i skrupuły wyboru — odsłaniają swe sedno wtajemniczonemu w marki<sup>151</sup>. Marki wprowadzają w tę zawiłą grę dyplomacji porannej, w te przewlekłe rokowania, lawirowania atmosferyczne, które poprzedzają ostateczną redakcję dnia. Z rudych mgieł tej dziewiątej godziny — widać to wyraźnie — chciałby wysypać się pstry i plamisty Meksyk z wężem wijącym się w dziobie kondora, gorący i spierzchły jaskrawym wypryskiem, ale w przerwie błękitu, w wysokiej zieleni drzew papuga powtarza wciąż: „Gwatemala”, uparcie, w równych odstępach, z tą samą intonacją, i od tego zielonego słowa staje się powoli czereśniowo, świeżo i liściasto. I tak powoli wśród trudności i konfliktów odbywa się głosowanie, ustala się tok ceremonii, lista parady, protokół dyplomatyczny dnia.

W maju były dni różowe jak Egipt. Na rynku blask wylewał się ze wszystkich granic i falował. Na niebie spiętrzenia letnich obłoków kłęzczały skłębione pod szczelinami blasku, wulkaniczne, obrysowane jaskrawo, i — Barbados, Labrador, Trinidad — wszystko zachodziło w czerwień, jakby widziane przez rubinowe okulary, i przez te dwa, trzy pulsy, zmroczenia, przez to czerwone zaćmienie krwi, uderzającej do głowy, przepływała przez całe niebo wielka korweta Gujany, eksplodując wszystkimi żaglami. Sunęła wzdęta, prychając płótnem, holowana ciężko wśród wypiętych lin i krzyku holowników, przez wzburzenia mew i czerwony blask morza. Wtedy wyrastał na całe niebo i rozbudowywał się szeroko ogromny, pogmatwany takielunek<sup>152</sup> sznurów, drabin i żerdzi, i grzmiąc wysoko rozpiętym płótnem, rozbił się wielokrotny, wielopiętrowy spektakl napowietrzny

<sup>148</sup>gzygzak — dziś popr.: zygzak. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>pagoda — buddyjska świątynia w formie wieży, której każde piętro posiada wygięty dekoracyjny daszek. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>minaret — wieża przy meczecie, z której muzeini nawołuje do modlitwy. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>takielunek — olinowanie statku. [przypis edytorski]

żagli, rejów<sup>153</sup> i brasów<sup>154</sup>, w którego lukach ukazywali się przez chwilę mali zwinni Murzynkowie i rozbiegali się w tym płóciennym labiryncie, gubiąc się wśród znaków i figur fantastycznego nieba zwrotników.

Potem sceneria zmienia się, na niebie, w masywach chmur kulminowały aż trzy na raz różowe zaćmienia, dymiła lśniąca lawa, obrysowując świetlistą linią groźne kontury obłoków, i — Kuba, Haiti, Jamajka — rdzeń świata szedł w głąb, dojrzewał coraz jaskrawiej, docierał do sedna i nagle wylewała się czysta esencja tych dni: szumiąca oceaniczność zwrotników, archipelagijskich lazurów, szczęśliwych roztoczy i wirów, ekwatorialnych<sup>155</sup> i słonych monsunów<sup>156</sup>.

Z markownikami w ręku czytałem tę wiosnę. Czyż nie był on wielkim komentarzem czasów, gramatyką ich dni i nocy. Ta wiosna deklinowała się<sup>157</sup> przez wszystkie Kolumbie, Kostaryki i Wenezuele, bo czymże jest w istocie Meksyk i Ekwador, i Sierra Leone, jeśli nie jakimś wymyślnym specyfikiem, jakimś zaostreniem smaku świata, jakąś krańcową i wyszukaną ostatecznością, ślepą uliczką aromatu, w którą zapędza się świat w swych poszukiwaniach, próbując się i ćwicząc na wszystkich klawiszach.

Główna rzecz, ażeby nie zapomnieć — jak Aleksander Wielki — że żaden Meksyk nie jest ostateczny, że jest on punktem przejścia, który świat przekracza, że za każdym Meksykiem otwiera się nowy Meksyk, jeszcze jaskrawszy — nadkolory i nadaromaty...

## XX

Bianka jest cała szara. Jej śniada<sup>158</sup> cera ma w sobie jakby rozpuszczoną ingrediencję<sup>159</sup> wygasłego popiołu. Myślę, że dotknięcie jej dłoni musi przekraczać wszystko wyobrażalne.

Całe pokolenia tresury tkwią w jej zdyscyplinowanej krwi. Wzruszające jest to zrezygnowane poddanie pod nakazy taktu, świadczące o przewyżnionej przekorze, o buntach przełamanych, o cichych szlochach po nocy i gwałtach zadanych jej dumie. Każdym swym ruchem wkłada się ona, pełna dobrej woli i smutnego wdzięku, w formy przepisane. Nie robi nic ponad konieczność, każdy gest jej jest skąpo odmierzony, ledwo wypełniający formę, wchodzący w nią bez entuzjazmu, jakby tylko z biernego poczucia obowiązku. Z głębi tych przewyżnień czerpie Bianka swe przedwczesne doświadczenie, swą wiedzę wszystkich rzeczy. Bianka wie wszystko. I nie uśmiecha się nad tą wiedzą, jej wiedza jest poważna i pełna smutku, a usta przymknięte nad nią w linię skończonej piękności — brwi zarysowane z surową akuratnością<sup>160</sup>. Nie, z wiedzy swej nie czerpie ona żadnego asumptu<sup>161</sup> do pobłażliwego rozluźnienia, do miękkości i rozwiązłości. Wprost przeciwnie. Jak gdyby tej prawdzie, w którą wpatrzone są jej smutne oczy, można było sprostać tylko natężoną bacnością<sup>162</sup>, tylko najściślejszym przestrzeganiem formy. I jest w tym niechybnym takcie, w tej lojalności wobec formy całe morze smutku i z trudem przewyżnionego cierpienia.

A jednak, choć złamana formą, wyszła spod niej zwycięsko. Lecz jakąż ofiarą okupiła ten triumf.

Gdy idzie — smukła i prosta — nie wiadomo, czyją dumę nosi z prostotą na niewyszukanym rytmie swego chodu, czy pokonaną dumę własną, czy triumf zasad, którym uległa.

Ale za to, gdy spojrzy prostym, smutnym podniesieniem oczu — nagle wie wszystko. Młodość nie uchroniła jej przed odgadnięciem rzeczy najtajniejszych. Cicha jej pogoda jest ukojeniem po długich dniach płaczu i szlochania. Dlatego oczy jej są podkrążone

Kobieta, Grzeczność

<sup>153</sup>rejów — dziś popr.: rej; reja — poziome drzewce, do którego umocowany jest żagiel. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>bras — lina, za której pomocą manipuluje się żaglami w płaszczyźnie poziomej. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>ekwatorialny — równikowy. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>monsun — wiatr sezonowo zmieniający kierunek, występujący u południowych i wschodnich wybrzeży Azji, w Zatoce Gwinejskiej i w Ameryce Środkowej. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>deklinować się — odmieniać się przez przypadki i liczby. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>śniady — opalony a. o naturalnie ciemnej karnacji. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>ingredienca — składnik. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>akuratność — dokładność. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>asumpt — zachęta, powód. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>bacność — uważność ostrożność. [przypis edytorski]

i mają wilgotny gorący żar w sobie i tę nieskorą<sup>163</sup> do rozrzutności celowość spojrzeń, która nie chybia.

## XXI

Bianka, cudowna Bianka jest dla mnie zagadką. Studiuję ją z uporem, z zacięłością — i rozpaczą — na podstawie markownika. Jak to? Czy markownik traktuje także o psychologii? Naiwne pytanie! Markownik jest księgą uniwersalną, jest kompendium wszelkiej wiedzy o ludzkim. Naturalnie w aluzjach, potrąceniach, w niedomówieniach. Trzeba pewnej domyślności, pewnej odwagi serca, pewnego polotu, ażeby znaleźć wątek, ten ślad ognisty, tę błyskawicę przebiegającą stronicie książki.

Jednej rzeczy trzeba się wystrzegać w tych sprawach: ciasnej małostkowości, pedanterii, tępej dosłowności. Wszystkie rzeczy są powiązane, wszystkie nici uchodzą do jednego kłębka. Czy zauważyliście, że między wierszami pewnych książek przelatują tłumnie jaskółki, całe wersety drgających, spiczastych jaskółek? Należy czytać z lotu tych ptaków...

Ale powracam do Bianki. Jakże wzruszająco piękne są jej ruchy. Każdy z nich uczyniony jest z rozważą, od wieków zadecydowany, podjęty z rezygnacją, jak gdyby z góry znała wszystkie przebiegi, nieuchronną kolejność swych losów. Zdarza się, że chcę ją o coś zapytać wzrokiem, poprosić o coś w myśli — siedząc naprzeciw niej w alei parku — i próbuję sformułować mą pretensję. I zanim mi się to udało, ona już odpowiedziała. Odpowiedziała ze smutkiem, jednym głębokim, zwięzłym spojrzeniem.

Dlaczego trzyma głowę pochyloną? W co wpatrzone są jej oczy z uwagą, z zamysleniem? Czy tak bezdennie smutne jest dno jej losu? A jednak, mimo wszystko, czy nie niesie ona tej rezygnacji z godnością, z dumą, jak gdyby tak właśnie być miało, jak gdyby ta wiedza, pozbawiając ją radości, obdarzała za to jakąś nietykalnością, jakąś wyższą wolnością znalezioną na dnie dobrowolnego posłuszeństwa? To nadaje jej uległości wdzięk triumfu i to ją przewycięża.

Siedzi naprzeciw mnie na ławce obok guwernantki, obie czytają. Jej biała sukienka — nigdy nie widziałem jej w innym kolorze — leży jak rozchylony kwiat na ławce. Wysmukłe nogi o śniadej karnacji przełożone są z niewymownym wdziękiem przez siebie. Dotknięcie jej ciała musi być aż bolesne od skupionej świętości kontaktu.

Potem wstają obie, złożywszy książki. W jednym krótkim spojrzeniu Bianka bierze i oddaje moje żarliwe pozdrowienie i jakby nie obciążona oddała się meandrycznym<sup>164</sup> przeplatańcem swych nóg, wpadających melodyjnie w rytm wielkich elastycznych kroków guwernantki.

## XXII

Zbadałem cały obszar majoratu<sup>165</sup> dookoła. Okrążyłem kilkakrotnie cały ten rozległy teren obwarowany wysokim parkanem. Białe ściany willi z jej tarasami, rozległymi werandami ukazywały mi się wciąż w nowych aspektach. Za willą rozciąga się park, przechodzący potem w bezdrzewną równinę. Stoją tam dziwne zabudowania, na wpół fabryki, na wpół budynki folwarczne. Przyłożyłem oczy do szpary w parkanie, to, co ujrzałem, musiało polegać na złudzeniu. W tej rozrzedzonej od upału aurze wiosennej przywidują się nieraz rzeczy odległe, zwierciedlone poprzez całe mile drgającego powietrza. A jednak głowa pęka mi od najsprzeczniejszych myśli. Muszę poradzić się markownika.

## XXIII

Czy to możliwe? Willa Bianki terenem eksterytorialnym. Jej dom pod ochroną traktatów międzynarodowych? Do jakich zdumiewających odkryć doprowadza mnie studium<sup>166</sup> markownika! Czy jestem sam jeden tylko w posiadaniu tej zadziwiającej prawdy? A jednak nie można zlekceważyć wszystkich poszlak i argumentów, które markownik gromadzi dookoła tego punktu.

<sup>163</sup>nieskory (daw.) — tu: niechętny. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>meandryczny — kręty, ciągle zmieniający kierunek. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>majorat — majątek dziedziczony w ten sposób, że całość przechodzi na najstarszego syna. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>studium — tu: badanie, studiowanie. [przypis edytorski]

Zbadałem dziś z bliska całą willę. Od tygodni krążyłem dookoła wielkiej kunsztownie kutej bramy z herbem. Skorzystałem z chwili, gdy dwa wielkie ekwipaże<sup>167</sup> wyjechały z ogrodu willi. Skrzydła bramy stały szeroko rozwarte. Nikt ich nie zamykał. Wszedłem niedbałym krokiem, dobytełm szkicownika z kieszeni, udając, że rysuję, oparty o filar bramy, jakiś szczegół architektoniczny. Stałem na zwirowanej ścieżce, którą tylekroć przechodziła lekka nóżka Bianki. Serce stawało mi bezgłośnie z szczęśliwego strachu na myśl, że z którychś drzwi balkonowych wyjdzie jej smukła postać w lekkiej sukience białej. Ale wszystkie okna i drzwi zaciągnięte były zielonymi storami<sup>168</sup>. Najmniejszy szelest nie zdradzał życia utajonego w tym domu. Niebo chmurniało na horyzoncie, w oddali błyskało. W ciepłym, rozrzedzonym powietrzu nie było najłżejszego powiewu. W ciszy tego szarego dnia tylko kredowobiałe ściany willi przemawiały bezgłośnie a wymowną elokwencją bogato rozczłonkowanej architektury. Jej lekka swada<sup>169</sup> rozchodziła się w pleonazmach<sup>170</sup>, w tysiącnych wariantach tego samego motywu. Wzdłuż jaskrawobiałego fryzu<sup>171</sup> biegingy w rytmicznych kadencjach płasko rzeźbione girlandy, na lewo i prawo, i zatrzymywały się na rogach niezdecydowane. Z wysokości środkowej terasy<sup>172</sup> zbiegały marmurowe schody — patetyczne i ceremonialne, wśród prędko rozstępujących się balustrad i waz architektonicznych — i spłynąwszy szeroko na ziemię, zdawały się zbierać i cofać swą wzburzoną szatę w głębokim rewersanie<sup>173</sup>.

Mam dziwnie wyczulony zmysł stylu. Ten styl drażnił mnie i niepokoił czymś niewytłumaczonym. Poza jego, z trudem opanowanym, żarliwym klasycyzmem, poza tą pozornie chłodną elegancją kryły się nieuchwytnie dreszczyki. Ten styl był za gorący, zbyt ostro pointowany, pełny niespodzianych pieprzyków. Jakaś kropla nieznanego trucizny wpuszczona w żyły tego stylu czyniła jego krew ciemną, eksplozywną i niebezpieczną.

Zdezorientowany wewnątrz, drżąc od sprzecznych impulsów, obchodziłem na palcach front willi, plosząc uspione na schodach jaszczurki.

Dookoła wyschłego, okrągłego basenu ziemia była spękana od słońca i jeszcze naga. Tu i ówdzie tylko wystrzelało ze szpary gruntu trochę żarliwej, fanatycznej zieleni. Wyrwałem kępkę tego zielska i schowałem do szkicownika. Drżałem cały z wewnętrznego wzburzenia. Nad tym basenem stało powietrze szare, nadmiernie przezroczyste i połyskliwe, falując z gorąca. Barometr na pobliskim słupie wskazywał katastrofalną zniżkę. Cisza zalegała dokoła. Żadna gałązka nie poruszyła się od wietrzyka. Willa spała z zapuszczonymi żaluzjami, świecąc kredową białością w bezgranicznej martwocie szarej aury. Nagle, jakby ten zastój osiągnął punkt krytyczny, strąciło się powietrze kolorowym fermentem, rozpadło się na płatki barwne, na migotliwe łopoty.

Były to ogromne, ociążałe motyle zajęte parami miłosną igraszką. Niedoleżny, drgający trzepot utrzymywał się przez chwilę w martwej aurze. Wyprzedzały się na przemian o piędź<sup>174</sup> i znów łączyły w locie, tasując w pociemniałym powietrzu całą talię barwnych rozbłysków. Czy był to tylko szybki rozkład wybujałej aury, fatamorgana<sup>175</sup> powietrza pełnego haszyszu i fanaberii? Uderzyłem czapką i ciężki, pluszowy motyl opadł na ziemię, trzepocąc skrzydłami. Podniosłem go i schowałem. Jeden dowód więcej.

## XXIV

Odgadłem tajemnicę tego stylu. Tak długo linie tej architektury w swej natarczywej swadzie powtarzały ten sam niezrozumiały frazes, aż pojąłem ten szyfr zdradliwy, to perskie oko, tę łaskotliwą mistyfikację. Była to zaprawdę zbyt przejrzysta maskarada. W tych wyszukanych i ruchliwych liniach oprzesadnej wytworności była jakaś papryka nazbyt ostra, jakiś nadmiar gorącej pikanterii, było coś fertycznego<sup>176</sup>, żarliwego, zbyt jaskrawo

<sup>167</sup>ekwipaż — luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>story — zasłony. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>swada — łatwość i płynność w mówieniu. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>pleonazm — błędne wyrażenie składające się ze słów znaczących to samo. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>fryz — dekoracyjny pas pod gzymssem budynku. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>terasa — tu: płaski element wyniesiony ponad średnią wysokość budowli. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>rewersans (z fr.) — głęboki ukłon a. przesadna grzeczność. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>piędź — dawna miara długości. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>fatamorgana — złudzenie optyczne, polegające na przybliżeniu odległych widoków za sprawą warstw powietrza o różnej temperaturze. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>fertyczny — zwinny i ruchliwy. [przypis edytorski]

gestykulującego — coś, jednym słowem, kolorowego, kolonialnego i hypiącego oczyma... Tak jest, styl ten miał na dnie swym coś niesłychanie odrażającego — był rozpustny, wymyślny, tropikalny i niesłychanie cyniczny.

## XXV

Nie potrzebuję wyjaśniać, jak mną to odkrycie wstrząsnęło. Odległe linie zbliżają się i łączą, zestrzelają się nie spodzianie raporty i paralele. Pełen wzburzenia podzieliłem się z Rudolfem moim odkryciem. Okazał się mało wzruszony. Żachnął się<sup>177</sup> nawet niechętnie, zarzucając mi przesadę i zmyślanie. Coraz częściej zarzuca mi błagę, umyślną mistyfikację. Jeżeli miałem dla niego, jako właściciela albumu, jeszcze pewien sentyment, to jego zawistne, pełne niepohamowanej goryczy wybuchy odstręczają mnie coraz bardziej od niego. Nie okazuję mu jednak urazy, jestem niestety od niego zależny. Cóż zrobiłbym bez markownika? On wie o tym i wykorzystuje tę przewagę.

## XXVI

Zbyt wiele dzieje się w tej wiosnie. Zbyt wiele aspiracji, bezgranicznych pretensyj, wezbranych i nie objętych ambicji rozpiera te ciemne głębie. Ekspansja jej nie zna granic. Administracja tej ogromnej, rozgałęzionej i rozrosłej imprezy jest ponad moje siły. Chcąc przerzucić część ciężaru na Rudolfa, zamianowałem go współregentem. Naturalnie anonimowo. Wraz z markownikiem jego stanowimy we troje razem triumwirat nieoficjalny, na którym spoczywa ciężar odpowiedzialności za całą tę niezgłębną i nieogarniętą aferę.

Władza, Tajemnica

## XXVII

Nie miałem odwagi obejść willi i dostać się na drugą stronę. Zostałbym niechybnie dostrzeżony. Dlaczego mimo to mam uczucie, jak gdybym już tam kiedyś był — bardzo dawno? Czy w gruncie rzeczy nie znamy już z góry wszystkich krajobrazów, które napotkamy w naszym życiu? Czy może w ogóle coś zająć jeszcze całkiem nowego, czego byśmy w najgłębszych naszych rezerwach od dawna nie przeczuli.

Wiem, że kiedyś o jakiejś późnej godzinie stanę tam na progu ogrodów, ręka w rękę z Bianką. Wejdziemy w te zapomniane zakątki, gdzie między starymi murami zamknięte są zatrute parki, te sztuczne raje Poego<sup>178</sup>, pełne szaleju<sup>179</sup>, maku i opiatycznych powoi, płonących pod burym niebem bardzo starych fresków. Zbudzimy biały marmur statuy śpiącej z pustymi oczyma w tym zamarginesowym świecie, za rubieżą zwiędłego popołudnia. Spłoszymy jej jedyne kochanka, czerwonego wampira uspiętego na jej łonie ze złożonymi skrzydłami. Uleci bezgłośnie, miękki, płynny i falujący bezsilnym, bezcielesnym, jaskrawoczerwonym ochłapem bez szkieletu i substancji, zawiruje, rozlopoce się, rozkłóci<sup>180</sup> bez śladu w zmartwiałym powietrzu. Przez małą furtkę wkroczymy na całkiem pustą polanę. Roślinność będzie tam spalona jak tytoń, jak preria w późne lato indiańskie<sup>181</sup>. Będzie to może w stanie New Orleans albo Luizjana — kraje wszak są tylko pretekstami. Siądziemy na kamiennym ocembrowaniu kwadratowej sadzawki. Bianka zamoczy białe palce w ciepłej wodzie pełnej żółtych liści i nie podniesie oczu. Po drugiej stronie siedzieć będzie czarna, smukła postać cała zakwefiona. Zapytam o nią szeptem, a Bianka potrząśnie głową i powie cicho: — Nie bój się, ona nie słucha, to jest moja zmarła matka, która tu mieszka. — Potem powie mi rzeczy najślodsze, najcichsze i najsmutniejsze. Nie będzie już żadnej pociechy. Zmierch będzie zapadał...

Duch

## XXVIII

Wypadki przeganiają się w oszalałym tempie. Przyjechał ojciec Bianki. Stałem dziś u zbiegu ulicy Fontann i Skarabeusza, gdy nadjechała lśniąca, otwarta landara<sup>182</sup> z pudłem sze-

<sup>177</sup>zachnąć się — wyrazić oburzenie a. niezadowolenie. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>Poe, Edgar Allan (1809–1849) — amer. poeta i prozaik, krytyk literacki; przedstawiciel romantyzmu. W swojej twórczości nie stronił od elementów fantastyki, makabry i horroru. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>szalej — roślina z trującymi kłęczkami, których spożycie powoduje halucynacje. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>rozkłócić — tu: rozmieszać. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>lato indiańskie — wczesna jesień. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>landara — duży, ciężki i niezgrabny pojazd konny. [przypis edytorski]

rokiem i płytkim jak koncha. W białej tej, jedwabnej muszli ujrzałem Biankę na wpół leżącą w tiulowej sukience. Łagodny jej profil ocieniony był kryzą kapelusza, która, opuszczona w dół, przytrzymana była wstążką pod brodą. Tonęła niemal cała w szlarach<sup>183</sup> białego fularu<sup>184</sup>, siedząc obok pana w czarnym tużurku<sup>185</sup> i białej pikowej kamizelce, na której złocił się ciężki łańcuch z mnóstwem breloków. Pod czarnym, głęboko zasuniętym melonikiem szarzała zamknięta, ponura twarz z bokobrodami. Zadrzałem do głębi na ten widok. Nie mogło być wątpliwości. Był to pan de V...

Gdy elegancki pojazd mijał mnie, dudniąc dyskretnie elastycznym pudłem — Bianka powiedziała coś do ojca, który odwrócił się i skierował na mnie spojrzenie swych wielkich czarnych okularów. Miał twarz szarego lwa bez grzywy.

W uniesieniu, nieprzytomny niemal od najsprzeczniejszych uczuć, zawołałem: — licz na mnie!... — i — do ostatniej kropli krwi... — i wypaliłem w powietrze z pistoletu dobytego z zanadru.

## XXIX

Wiele przemawia za tym, że Franciszek Józef I był w gruncie rzeczy potężnym i smutnym demiurgiem<sup>186</sup>. Jego oczy wąskie, tępe jak guziczki, siedzące w trójkątnych deltach zmarszczek, nie były oczyma człowieka. Twarz jego uwłosiona białymi jak mleko, w tył zaczesanymi bokobrodami, jak u japońskich demonów, była twarzą starego, osowiałego lisa. Z daleka, z wysokości terasy Schönbrunn<sup>187</sup> twarz ta dzięki pewnemu układowi zmarszczek zdawała się uśmiechać. Z bliska ten uśmiech demaskował się jako grymas gorzycy i przyziemnej rzeczowości nie rozjaśnionej błyskiem żadnej idei. W chwili gdy pojawił się na widowni świata w generalskim zielonym pióropuszu, w turkusowym płaszczu do ziemi, lekko zgarbiony i salutujący, świat doszedł był w swym rozwoju do jakiejś szczęśliwej granicy. Formy wszystkie, wyczerpawszy swą treść w nieskończonych metamorfozach, wisiały już luźno na rzeczach, na wpół złuszczone, gotowe do strącenia. Świat przepoczwarczał się gwałtownie, wylęgał się w młodych, szczebiotliwych i niesłychanych kolorach, rozwiązywał się szczęśliwie we wszystkich węzłach i przegubach. Mało brakowało, a mapa świata, ta płachta pełna lat i kolorów, byłaby, falując, pełna natchnienia uleciała w powietrze. Franciszek Józef I odczuł to jako osobiste niebezpieczeństwo. Jego żywiołem był świat ujęty jako osobiste niebezpieczeństwo. Jego żywiołem był świat ujęty w regulaminy prozy, w pragmatykę nudy. Duch kancelaryj i cyrkulów<sup>188</sup> był jego duchem. I rzecz dziwna. Ten starzec oschły i stępały, nie posiadający nic ujmującego w swej istocie — zdołał przeciągnąć wielką część kreatury<sup>189</sup> na swoją stronę. Wszyscy lojalni i przewidujący ojcowie rodzin uczyli się wraz z nim zagrożeni i odetchnęli z ulgą, gdy potężny ten demon położył się swym ciężarem na rzeczach i zahamował wzlot świata. Franciszek Józef I pokratkował świat na rubryki, uregulował jego bieg przy pomocy patentów, ujął go w karby proceduralne i zabezpieczył przed wykołajeniem w nieprzewidziane, awanturnicze i zgoła nieobliczalne.

Franciszek Józef I nie był nieprzyjacielem godziwej i bogobojnej radości. On to wymyślił w pewnego rodzaju przewidującej dobrotliwości ck<sup>190</sup> loterię dla ludu, senniki egipskie, kalendarze ilustrowane oraz ck tabak-trafiki<sup>191</sup>. Ujednostajnił on służbę niebieską, odział ją w symboliczne niebieskie uniformy i wypuścił na świat podzielony na dykasterie<sup>192</sup> i rangi, personel zastępów anielskich w postaci listonoszy, konduktorów i finansów. Najlichszy z tych gońców niebieskich miał jeszcze na twarzy zapożyczony

<sup>183</sup>szlara — tu zapewne: coś przypominającego miękkie pióra (dosł.: pióra wokół oczu sowy). [przypis edytorski]

<sup>184</sup>fular — cienki jedwab. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>tużurek — długi, ciemny surdut z przełomu XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>demiurg — w niektórych systemach religijnych twórca świata, który nie jest jednak tożsamy z najwyższym bogiem. Ponieważ demiurg nie jest ani wszechwiedzący, ani wszechmocny a dokonany przez niego akt kreacji był aktem samowolnym, stworzony przez niego świat jest niedoskonały i pełen zła. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>Schönbrunn — pałac we Wiedniu, powstały na przełomie XVII i XVIII w., zaprojektowany przez Johanna Bernharda Fischera von Erlacha. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>cyrkuł (daw.) — posterunek policji. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>kreatura — tu: to, co stworzone. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>ck — cesarsko-królewski (skrót określający urzędy i instytucje Austro-Węgier). [przypis edytorski]

<sup>191</sup>tabak-trafika (daw.) — sklep z wyrobami tytoniowymi. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>dykasteria — oddział sądu bądź urzędu. [przypis edytorski]



od Stwórcy odblask mądrości przedwiecznej i jowialny<sup>193</sup> uśmiech łaski ujęty w ramę bokobrodów, nawet gdy nogi jego na skutek wydatnych ziemskich wędrówek cuchnęły potem.

Ale czy słyszał ktoś o udaremnionym spisku u samego podnóża tronu, o wielkiej rewolucji pałacowej stłumionej w zarodku na samym wstępie pełnych chwały rządów Wszechwładnego? Trony więdną nie zasilane krwią, żywotność ich rośnie tą masą krzywdy, zaprzeczonego życia, tego wiecznie innego, co zostało przez nie wyparte i zanegowane. Odsłaniamy tu rzeczy tajne i zakazane, dotykamy tajemnic stanu, tysiącrotnie zamkniętych i zapieczętowanych na tysiąc pieczęci milczenia. Demiurgos miał brata młodszego, zgoła innego ducha i innej idei. Któż go nie ma w tej lub innej formie, komuż nie towarzyszy jak cień, jak antyteza, jak partner wiecznego dialogu? Według pewnej wersji był to tylko kuzyn, według innej nie urodził się on nawet wcale. Wysnuto go tylko z obaw, z majaczeń Demiurga podsłuchanych we śnie. Być może, że sfingował<sup>194</sup> go byle jak, podstawił zań byle kogo, ażeby tylko symbolicznie odegrać ten dramat, powtórzyć raz jeszcze, po raz nie wiedzieć który, ceremonialnie i obrzędowo ten akt przedustawny i fatalny, którego wyczerpać nie mógł w tysiącrotnych powtórzeniach. Ten warunkowo urodzony, profesjonalnie niejako pokrzywdzony z racji swej roli, nieszczęśliwy antagonistą nosił imię arcyksięcia Maksymiliana. Już samo imię to, wypowiedziane szeptem, odnawia krew w naszych żyłach, czyni ją jaśniejszą i czerwienią, tętniącą pośpiesznie tym jaskrawym kolorem entuzjazmu, laku pocztowego i czerwonego ołówka, którym znaczone są szczęśliwe telegramy stamtąd. Miał on różowe policzki i promienne lazurowe oczy, wszystkie serca biegły ku niemu, jaskółki, skwirząc z radości, przecinały mu drogę, ujmowały go wciąż na nowo w drgający cudzysłów — cytata szczęśliwy, pisany świąteczną kursywą i rozświegotany. Sam Demiurgos kochał go potajemnie, choć przemyślał nad jego zgubą. Zamianował go najpierw komandorem eskadry lewantyńskiej, w nadziei, że awanturując się na morzach południowych nędznie zatonie. Wkrótce jednak potem zawarł tajną konwencję z Napoleonem III<sup>195</sup>, który wciągnął go podstępnie w awanturę meksykańską. Wszystko było ukartowane. Ten pełen fantazji i polotu młodzieniec, znęcony nadzieją ukonstytuowania nowego, szczęśliwszego świata nad Pacyfikiem, zrezygnował ze wszystkich praw agnata<sup>196</sup> do korony i dziedzictwa Habsburgów. Na francuskim okręcie liniowym „Le Cid” wyjechał prosto w przygotowaną nań zasadzkę. Akta owego tajnego spisku nie ujrzały nigdy światła dziennego.

Akta owego tajnego spisku nie ujrzały nigdy światła dziennego. Tak rozwiła się ostatnia nadzieja malkontentów. Po jego tragicznej śmierci Franciszek Józef I pod pozorem żałoby dworskiej zakazał koloru czerwonego. Czarno-żółta żałoba stała się kolorem oficjalnym. Kolor amarantu — falujący sztandar entuzjazmu łopotał odtąd tylko tajnie w piersiach jego wyznawców. Nie zdołał go wszakże Demiurgos wypłenić całkiem z natury. Wszak zawiera go potencjalnie światło słoneczne. Wystarczy zamknąć oczy w słońcu wiosennym, ażeby go chłonać pod powiekami na gorąco, fala za falą. Papier fotograficzny spala się tą właśnie czerwienią w blasku wiosennym, przelewającym się poza wszystkie granice. Byki, prowadzone z płachtą na rogach słoneczną ulicą miasta, widzą ją w jaskrawych płatach i pochylają głowę, gotowe do ataku na imaginacyjnych toreadorów uchodzących w popłochu na płomiennych arenach.

Czasem przebiega dzień cały jaskrawy w wybuchach słońca, w spiętrzeniach obłoków obwiedzionych na brzegach świetliście i chromatycznie, pełen na wszystkich krawędziach wyłamującej się czerwieni. Ludzie chodzą odurzeni światłem, z zamkniętymi oczyma, eksplodując wewnątrz od rakiet, rac rzymskich i baryłek prochu. Potem pod wieczór łagodnieje ten ogień huraganowy światła, horyzont zaokrągla się, pięknieje i napętnia lazurem jak ogrodowa kula szklana z miniaturową i świetlaną panoramą świata, z szczęśliwie uporządkowanymi planami, nad którymi jak ostateczne uwięzienie szeregują się obłoki nad widnokrzem, roztoczone długim rzędem jak rulony złotych medali albo dźwięki dzwonów dopełniające się w różnych litaniach.

<sup>193</sup>jowialny — pogodny, o nieco rubasznym poczuciu humoru. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>sfingować — upozorować, sfalszować. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>Napoleon III Bonaparte (1808–1873) — cesarz Francuzów w latach 1852–1870. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>agnat — krewny w linii męskiej. [przypis edytorski]

Ludzie gromadzą się na rynku, milcząc pod tą ogromną, świetlaną kopułą, grupują się mimo woli i uzupełniają w wielki, nieruchomy finał, w skupioną scenę czekania, obłoki spiętrzają się różowo i coraz różowiej, na dnie wszystkich oczu jest głęboki spokój i refleks świetlanej dali i nagle — gdy tak czekają — świat osiąga swój zenit, dojrzewa w dwóch, trzech ostatnich pulsach do najwyższej doskonałości. Ogrody aranżują się już ostatecznie na kryształowej czaszy horyzontu, majowa zieleń spienia się i kipi lśniącym winem, ażeby za chwilę przelać się przez brzegi, wzgórza formują się na wzór obłoków: przekroczywszy szczyt najwyższy, piękność świata oddziela się i wzlatuje — wstępuje ogromnym aromatem w wieczność.

I podczas gdy ludzie stoją jeszcze nieruchomo, spuściwszy głowy pełne jeszcze jasnych i ogromnych wizyj, urzeczeni tym wielkim, świetlanym wzlotem świata, wybiega z tłumu niespodzianie ten, na którego czekano bezwiednie, goniec zdyszany, cały różowy w pięknych malinowych trykotach, obwieszony dzwoneczkami, medalami i orderami, biegnie przez czysty plac rynku obrzeżony cichym tłumem, pełen jeszcze lotu i zwiastowania — nadprogramowy naddatek, czysty zysk odrzucony przez dzień ten, który go zaoszczędził szczęśliwie z całego blasku. Sześć i siedem razy obiega on rynek w pięknych kręgach mitologicznych, w kręgach pięknie zagiętych i zatoczonych. Biegnie wolno na wszystkich oczach, ze spuszczonej powiekami, jak gdyby zawstydzony, z rękoma na biodrach. Nieco ciężki brzuch obwisa wstrząsany rytmicznym biegiem. Twarz purpurowa z natężenia błyszczy od potu pod czarnym bośniackim wąsem, a medale, ordery i dzwoneczki skaczą miarowo na brązowym dekolcie, jak uprząż weselna. Widać go z daleka, jak skręcając na rogu paraboliczną natężoną linią zbliża się z janczarską kapelą swych dzwoneczków, piękny jak Bóg, nieprawdopodobnie różowy, z nieruchomym torsem, opędzając się z bocznym błyskiem oczu ciosami harapa<sup>197</sup> od sfory psów, która go obszczekuje. Wtedy Franciszek Józef I, rozbrojony powszechną harmonią, proklamuje milczącą amnestię, konceduje<sup>198</sup> czerwień, konceduje ją na ten jeden wieczór majowy w rozwodnionej i słodkiej, w karmelkowej postaci i, pogodzony ze światem i swą antytezą, staje w otwartym oknie Schönbrunnu i widać go w tej chwili na całym świecie, na wszystkich horyzontach, pod którymi na czystych placach rynkowych, obrzeżonych milczącym tłumem, bieżną różowi szybkobiegacze, widać go jako ogromną ck apoteozę na tle obłoków, wspartego urękawicznionymi rękami o balustradę okna w turkusowobłękitnym surducie, z wstęgą komtura<sup>199</sup> zakonu maltańskiego — oczy zwężone niby w uśmiechu w deltach zmarszczek, guziki błękitne bez dobroci i bez łaski. Stoi tak z przyglądnionymi w tył, śnieżnymi bokobrodami, ucharakteryzowany na dobroć — zgorzkniały lis i imituje z daleka uśmiech swą twarzą bez humoru i bez genialności.

### XXX

Opowiedziałem po długich wahaniach Rudolfowi wypadki ostatnich dni. Nie mogłem w sobie dłużej zatrzymać tajemnicy, która mnie rozpierała. Pociemniał na twarzy, krzyknął, zarzucił mi kłamstwo, wybuchnął wreszcie otwarcie zazdrością. Wszystko błaga, wierutna błaga, wołał, biegnąc z podniesionymi rękami. Eksterytorialność! Maksymilian! Meksyk! Cha, cha! Plantacje bawełny! Dość tego, skończyło się, nie myśli więcej używać swego markownika do takich zdrożności. Koniec spółki. Wypowiedzenie kontraktu. Chwycił się za włosy ze wzburzenia. Był wyprowadzony z wszystkich granic, zdecydowany na wszystko.

Zacząłem mu tłumaczyć uspokajając go — bardzo przestraszony. Przyznałem, że sprawa jest na pierwszy rzut oka w istocie nieprawdopodobna, wręcz niewiarygodna. Ja sam — przyznawałem — nie mogę wyjść ze zdumienia. Nic dziwnego, że trudno mu ją, nie przygotowanemu, od razu zaakceptować. Apelowałem do jego serca i honoru. Czy może pogodzić ze swoim sumieniem, by teraz właśnie, gdy sprawa wkracza w stadium decydujące — odmówić mi swej pomocy i zniweczyć ją przez cofnięcie swego udziału? W końcu podjąłem się udowodnić na podstawie markownika, że wszystko jest, słowo w słowo, prawdą.

<sup>197</sup>harap — krótki bicz, używany przeciw psom. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>koncedować (z łac.) — ustępować przed czymś. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>komtur — godność w zakonach rycerskich. [przypis edytorski]

Nieco ułagodzony rozłożył album. Nigdy nie mówiłem z taką swadą i ogniem, przęścignąłem sam siebie. Argumentując na podstawie marek, nie tylko odparłem wszystkie zarzuty, rozwiąłem wszystkie wątpliwości, ale poza to wychodząc, doszedłem do tak rewelacyjnych wprost wniosków, że sam stanąłem olśniony wobec perspektyw, które się otwierały. Rudolf milczał pokonany, nie było już mowy o rozwiązaniu spółki.

### XXXI

Czy można to uznać za przypadek, że w tych dniach właśnie zjechał wielki teatr iluzji, wspaniałe panoptikum<sup>200</sup> rozbiło swój obóz na placu Św. Trójcy? Od dawna to przewidywałem i pełen triumfu obwieściłem to Rudolfowi.

Był wieczór wietrzny i spłoszony. Zbierało się na deszcz. Na żółtych i mdłych horyzontach porządkował się już dzień do odjazdu, zaciągał w pośpiechu nieprzemakalne i szare pokrowce nad taborem swych wozów ciągnących szeregiem ku późnym i chłodnym zaświatom. Pod na wpół już zapuszczoną, ciemniejącą kurtyną ukazały się jeszcze na moment dalekie i ostatnie szlaki zorzy, opadające wielką i płaską, nieskończoną równiną, pełną rozległych pojezierzy i zwierciedleń. Żółty i przerażony, już przesądzony odbłask szedł od tych jasnych szlaków ukośnie przez pół nieba, kurtyna zapadała szybko, dachy błyszcząły blado mokrym refleksem, ściemniało się i za chwilę zaczęły rynny monotonicznie śpiewać.

Panoptikum było już jasno oświetlone. W tym spłoszonym i pośpiesznym zmierzchu tłoczyli się ludzie ciemnymi sylwetkami, nakryci parasolami, w płowym świetle zapadającego dnia do oświetlonego przedsionka namiotu, gdzie z szacunkiem uiszczali opłatę przed wydekoltowaną, kolorową damą błyszczącą klejnotami i złotą plombą w zębach — żywy biust zesznurowany i umalowany, dołem zaś ginący niepojętym sposobem w cieniu aksamitnych zasłon.

Weszliśmy przez uchyloną kotarę do jasno oświetlonej przestrzeni. Była ona już zaludniona. Grupy w płaszczach zmoczonych deszczem, z nastawionymi kołnierzami snuły się w milczeniu z miejsca na miejsce, przystawały w skupionych półkolach. Wśród nich poznałem bez trudu tamtych, którzy już tylko pozornie należeli do tego samego świata, w istocie zaś prowadzili oddzielone, reprezentatywne i zabalsamowane życie na piedestale, życie wystawione na pokaz i odświętnie puste. Stali w straszliwym milczeniu, ubrani w uroczyste tużurki, angielczy<sup>201</sup> i żakiety z dobrego sukna, uszyte dla nich na miarę, bardzo bladzi, z wypiekami ich ostatnich chorób, na które umarli, i błyszczeli oczyma. W głowach ich nie było już od dawna żadnej myśli, tylko nawyk pokazywania się ze wszęch stron, nałóg reprezentowania swej pustej egzystencji, który ich podtrzymywał ostatnim wysiłkiem. Dawno powinni byli już leżeć w łózkach, zażywszy łyżeczkę lekarstwa, zawińnięci w swe chłodne prześcieradła, z zamkniętymi oczyma. Było nadużyciem trzymać ich jeszcze tak późno w noc na ich wąskich postumentach i krzesłach, na których sztywnie siedzieli, w ciasnym lakierowanym obuwiu, dalekich o mile od swej dawnej egzystencji, błyszczących oczami i całkiem zbytych<sup>202</sup> pamięci.

Każdemu z nich wisiał z ust, już martwy, jak język uduszonego, ich krzyk ostatni, odkąd opuścili dom obłąkanych, gdzie przebywali czas jakiś, jak w czyścicu, uchodząc za maniaków, zanim wstąpili w te ostateczne progi. Tak, nie byli to w samej rzeczy całkiem autentyczni Dreyfusi<sup>203</sup>, Edisonowie<sup>204</sup> i Luccheniowie<sup>205</sup>, byli do pewnego stopnia symulantami. Może byli w samej rzeczy obłąkanymi, przyłapanymi *in flagranti*<sup>206</sup> w chwili, gdy wstąpiła na nich ta olśniewająca *idée fixe*<sup>207</sup>, w momencie, kiedy ich obłąd był przez chwilę prawdą i — wypreparowany umiejętnie — stał się trzonem ich nowej egzystencji,

<sup>200</sup>panoptikum — wystawa osobliwości. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>angiel — rodzaj długiego surduta. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>zbyty (daw.) — pozbawiony. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>Dreyfus, Alfred (1859–1935) — oficer francuski, niesłusznie skazany za zdradę państwa w roku 1894, zrehabilitowany w 1906. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>Edison, Thomas Alva (1847–1931) — amerykański wynalazca, opatentował m. in. żarówkę elektryczną (1879). [przypis edytorski]

<sup>205</sup>Luccheni, Luigi (1873–1910) — włoski anarchista, morderca cesarzowej austriackiej Elżbiety (10 września 1898). [przypis edytorski]

<sup>206</sup>in flagranti (łac.) — na gorącym uczynku. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>idée fixe (fr.) — powracająca, natrętna myśl. [przypis edytorski]

czysty jak element, rzucony w całości na tę jedną kartę i już niezmienny. Mieli już odtąd tę jedną myśl w głowie, jak wykrzyknik, i stali na niej, na jednej nodze, jak w locie, w pół ruchu zatrzymani.

Szukałem go w tym tłumie oczyma, pełen niepokoju, idąc od grupy do grupy. Wreszcie znalazłem go, wcale nie w świetnym uniformie admirała eskadry lewantyńskiej, w jakim wypłynął był na okręcie flagowym „Le Cid” z Tulonu owego roku, gdy miał objąć tron meksykański, ani też w zielonym fraku generała kawalerii, który tak chętnie nosił w swych dniach ostatnich. Był w zwykłym surducie o długich fałdzistych połach i jasnych pantoflach, wysoki kołnierz z plastronem<sup>208</sup> podpierał mu brodę. Z czcią i wzruszeniem przystanęliśmy obaj z Rudolfem w grupie ludzi, która go otaczała półkolem. Wtem zdrętwiałem do głębi. O trzy kroki od nas, w pierwszym rzędzie, patrzących stała Bianka w białej sukience, ze swą guwernantką. Stała i patrzyła. Jej twarzyczka zbladła i zmizerniała w ostatnich dniach, a jej oczy podkrążone i pełne cienia patrzyły smutne aż do śmierci.

Tak stała nieruchomo ze splecionymi rączkami ukrytymi w fałdach sukienki, spoglądając spod swych poważnych brwi oczyma pełnymi głębokiej żałoby. Serce ścisnęło mi się boleśnie na ten widok. Mimo woli powiodłem wzrokiem za jej śmiertelnie smutnym spojrzeniem i oto, co ujrzałem: twarz jego poruszyła się, jakby obudzona, kąciki ust podniosły się w uśmiechu, oczy błysnęły i zaczęły toczyć się w swych orbitach, pierś, błyszcząca od orderów, wezbrała westchnieniem. Nie był to cud, był to zwykły trick mechaniczny. Nakręcony odpowiednio, odbywał arcyksiążę *cercle* według zasad mechanizmu, kunsztownie i ceremonialnie, jak był przywykł za życia. Toczył wzrokiem po kolei po obecnych, zatrzymując go przez chwilę uważnie na każdym.

Tak zetknęły się w pewnej chwili ich spojrzenia. Drgnął, zawahał się, przelknął ślinę, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili już, posłuszny mechanizmowi, biegł dalej wzrokiem, wodził nim po dalszych twarzach z tym samym ośmielającym i promiennym uśmiechem. Czy przyjął obecność Bianki do wiadomości, czy doszła ona do jego serca? Któż mógł to wiedzieć? Nie był przecież nawet w pełnym tego słowa znaczeniu sobą, był zaledwie dalekim sobowtórem własnym, bardzo zredukowanym i w stanie głębokiej prostracji<sup>209</sup>. Ale stojąc na gruncie faktów, trzeba było przyjąć, że był niejako swoim najbliższym agnatem<sup>210</sup>, był może nawet sobą samym w tym stopniu, w jakim to w ogóle jeszcze było możliwe w tym stanie rzeczy, tyle lat po swojej śmierci. Trudno było zapewne w tym woskowym zmartwychwstaniu wejść dokładnie w siebie samego. Mimo woli musiało się przy tej sposobności wkraść weń coś nowego i groźnego, coś obcego musiało się przymieszać z obłędu tego genialnego maniaka, który go wykoncypował<sup>211</sup> w swej megalomanii<sup>212</sup>, a co Biankę napełniać musiało grozą i przerażeniem. Już przecież ten, kto jest bardzo chory, odsuwa się i oddala od siebie dawnego, a co dopiero tak niewłaściwie zmartwychwstały. Jakże zachowywał się teraz wobec swojej najbliższej krwi? Pełen sztucznej wesołości i brawury grał swą bladeńsko-cesarską komedię, uśmiechnięty i świetny. Czy musiał tak bardzo się maskować, czy tak bardzo bał się dozorców, którzy go zewsząd śledzili wystawionego na pokaz w tym szpitalu figur woskowych, gdzie żyli oni wszyscy pod grozą — rygorów szpitalnych? Czy wydestylowany z trudem z czyjegoś obłędu, czysty, wyleczony i ocalały wreszcie, nie musiał drżeć, że mogli go z powrotem wtrącić w rozwichrzenie i chaos.

Gdy wzrok mój znów odszukał Biankę, ujrzałem, że ukryła twarz w chusteczce. Guwernantka otoczyła ją ramieniem, błyszcząc pusto emaliowanymi oczyma. Nie mogłem dłużej patrzeć na ból Bianki, czułem, że chwytą mnie spazm płaczu i pociągnąłem Rudolfa za rękaw. Skierowaliśmy się ku wyjściu.

Za naszymi plecami ten uszminkowany przodek, ten dziadek w kwiecie wieku rozsyłał dalej naokół swe promienne, monarsze pozdrowienia, w nadmiarze gorliwości podniósł nawet rękę, rzucał niemal pocałunki za nami w tej nieruchomej ciszy, wśród syczenia

Sobowtór,  
Zmartwychwstanie,  
Szaleństwo

<sup>208</sup> *plastron* — szeroki krawat noszony do fraka bądź skórzany napierśnik do nauki szermierki. [przypis edytorski]

<sup>209</sup> *prostracja* — głębokie wyczerpanie nerwowe. [przypis edytorski]

<sup>210</sup> *agnat* — krewny w linii męskiej. [przypis edytorski]

<sup>211</sup> *wykoncypować* — wymyślić. [przypis edytorski]

<sup>212</sup> *megalomania* — mania wielkości. [przypis edytorski]

lamp acetylenowych i cichego szmeru deszczu na płótnach namiotu, wspinał się na palce ostatkiem sił, do cna chory i, jak wszyscy oni, tęskniący do śmiertelnego truchła.

W przedśionku uszmkowany biust kasjerki zagadał do nas, błyszcząc brylantami i złotą plombą na czarnym tle magicznych draperyj. Wyszliliśmy w noc rośną i ciepłą od deszczu. Dachy lśniły, spływając wodą, rynny płakały monotennie. Biegliśmy przez pluszczącą ulewę, rozjaśnioną płonącymi latarniami brzęczącymi w deszczu.

### XXXII

O, przepaście ludzkiej przewrotności, o, isticie piekielna intrygo! W czym umyśle mogła się zadzierzgnąć ta myśl jadowita i szatańska, dystansująca swą śmiałością najwyszukańsze wymysły fantazji? Im głębiej wnikam w jej otchłanną nikczemność, tym większy zdejmuję mnie podziw dla bezgranicznej perfidii, dla błysku genialnego zła w jądrze tej zbrodniczej idei.

Więc przecucie mnie nie myliło. Tu, pod bokiem naszym, wśród pozornej praworządności, wśród powszechnego pokoju i pełnej mocy traktatów dokonywała się zbrodnia, od której włosy stawały dębem na głowie. Ponury dramat dokonywał się tu w doskonałej ciszy, tak zamaskowany i zakonspirowany, że nikt nie mógł się domyślić go iwyszedzić wśród niewinnych pozorów tej wiosny. Któż mógł podejrzewać, że między tym zakneblowanym, niemym, toczącym oczyma manekinem a delikatną, tak starannie wychowaną, tak dobrze ułożoną Bianką rozgrywała się tragedia rodzinna? Kim była wreszcie Bianka? Czy mamy w końcu uchylić rąbka tajemnicy? Cóż z tego, że nie wywodziła się ona ani od prawowitej cesarzowej Meksyku, ani nawet od owej małżonki po lewej ręce, morganatycznej<sup>213</sup> Izabeli d'Orgaz, która ze sceny wędrownej opery podbiła arcyksięcia swą pięknnością.

Cóż z tego, że matką jej była owa mała Kreolka, której nadawał pieścizotliwe imię Conchity i która pod tym imieniem weszła do historii — niejako przez kuchenne schody. Wiadomości o niej, które zdołałem zebrać na podstawie markownika, dadzą się streścić w paru słowach.

Po upadku cesarza Conchita wyjechała ze swą małą córeczką do Paryża, gdzie żyła z renty wdowiej, dochowując niezłomnie wierności cesarskiemu oblubieńcowi. Historia traci tu dalszy ślad tej wzruszającej postaci, odstępując słowo domniemaniom i intuicjom. O małżeństwie jej córeczki i o jej dalszych losach nic nie wiemy. Natomiast w r. 1900 wyjeżdża niejaka pani de V., osoba niezwyklej i egzotycznej piękności, z małą córeczką i z mężem za fałszywym paszportem z Francji do Austrii. W Salzburgu, na granicy bawarskiej, w chwili przesiadania do pociągu wiedeńskiego, zostaje cała rodzina zatrzymana przez żandarmerię austriacką i aresztowana. Zastanawiające jest, że po zbadaniu jego fałszywych dokumentów pan de V. zostaje zwolniony, nie czyni jednak żadnych starań o zwolnienie żony i córeczki. Wyjeżdża tego samego dnia z powrotem do Francji i ślad za nim ginie. Tu gubią się wszystkie nici w zupełnym zmroczeniu. Z jakimż olśnieniem odnalazłem ich ślad z powrotem, wystrzelający płomienną linią w markowniku. Moją zasługą, moim odkryciem pozostanie na zawsze zidentyfikowanie wymienionego pana de V. z pewną wysoce podejrzaną osobistością występującą pod zgoła innym nazwiskiem i w innym kraju. Ale cyt!... O tym jeszcze ani słowa. Dość, że rodowód Bianki stwierdzony jest ponad wszelką wątpliwość.

### XXXIII

Tyle kanoniczne dzieje. Ale oficjalna historia jest niezupełna. Są w niej umyślne luki, długie pauzy i przemilczenia, w których prędko instaluje się wiosna. Zarasta ona te luki szybko swymi marginaliami, przeplaca listowiem sypiącym się bez liku, rosnącym na wyścigi, bałamuci<sup>214</sup> niedorzecznościami ptaków, kontrowersją tych skrzydlaczy, pełną sprzeczności i kłamstw, naiwnych zapytań bez odpowiedzi, upartych, pretensjonalnych powtarzań. Trzeba wiele cierpliwości, ażeby poza tą płataniną odnaleźć tekst właściwy. Do tego prowadzi uważna analiza wiosny, rozbiór gramatyczny jej zdań i okresów. Kto,

<sup>213</sup>morganatyczny — funkcjonujący w małżeństwie zawartym przez członka rodziny królewskiej z osobą niższego stanu, która wraz z dziećmi nie dziedziczy majątku ani uprawnień do tronu. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>bałamucić (daw.) — wprowadzać w błąd. [przypis edytorski]

co? kogo, czego? Trzeba wyeliminować bałamutne przegadywania ptaków, ich spiczaste przysłówki i przyimki, ich płochliwe zaimki zwrotne, ażeby powoli wydzielić zdrowe ziarno sensu. Markownik jest mi w tym nie lada drogowskazem. Głupia, niewybredna wiosna! Zarasta wszystko bez wyboru, płacze sens z bezsensem, wiecznie błaznująca — z głupia frant, bezdennie lekkomyślna. Czyżby i ona sprzymierzona była z Franciszkiem Józefem I, czy złączona jest z nim węzłami wspólnego spisku? Trzeba pamiętać, że każdy lut sensu wykluwający się w tej wiosnie zagadywany jest natychmiast przez stokrotną błagę, przez paplający byle co nonsens. Ptaki zacierają tu ślady, myślą szyki przez fałszywą interpunkcję. Tak prawda wypierana jest zewsząd przez tę bujną wiosnę, która każdą pięćdziesiątą, każdą szczelinę zarasta natychmiast swym listnym rozkwitem. Gdzież ma schronić się wykleta, gdzie znaleźć azylum, jeśli nie tam, gdzie jej nikt nie szuka — w tych jarmarcznych kalendarzach i komeniuszach, w tych żebraczych i dziadowskich kantyczkach, które w prostej linii wywodzą się z markownika?

#### XXXIV

Po wielu słonecznych tygodniach przyszła seria dni chmurnych i gorących. Niebo pociemniało, jak na starych freskach, skłębilo się w dusznej ciszy spiętrzenie chmur, jak tragiczne pobożowiska na obrazach szkoły neapolitańskiej. Na tle tych ołowianych i burzych skłębień świeciły jaskrawo domy, kredową, gorącą białością, uwydatnioną jeszcze bardziej ostrymi cieniami gzymsów i pilastrów. Ludzie chodzili ze spuszczonej głowami, pełni wewnątrz ciemności, która się gromadziła w nich, jak przed burzą, wśród cichych wyładowań elektrycznych.

Bianka nie pokazuje się więcej w parku. Strzegą jej widocznie, nie pozwalają wyjść. Zwietrzyli niebezpieczeństwo.

Widziałem dziś w mieście grupę panów w czarnych frakach i cylindrach, sunących miarowym krokiem dyplomatów przez rynek. Białe gorsy świeciły jaskrawo w ołowianym powietrzu. Oglądali w milczeniu domy, jak gdyby je oceniali. Szli zgodnym, powolnym, rytmicznym krokiem. Mają czarne jak węgiel wąsy w gładko wygolonych twarzach i lśniące oczy, toczące się gładko w orbitach, jakby naoliwione i pełne wymowy. Chwilami zdejmowali cylindry i ocierali pot z czoła. Są wszyscy wysocy, szczupli, średniego wieku i mają śniade twarze gangsterów.

#### XXXV

Dni stały się ciemne, chmurne i szare. Daleka, potencjalna burza leży dniem i nocą na dalekich horyzontach, nie wyładowując się ulewą. W wielkiej ciszy przechodzi czasem przez stalowe powietrze tchnienie ozonu, zapach deszczu, bryza wilgotna i świeża.

Ale potem znów tylko ogrody rozpierają ogromnymi westchnieniami powietrze i rosną tysiącrotnie listowiem na wyścigi, dniem i nocą, na akord. Wszystkie flagi wiszą ciężko, pociemniałe, i leją bezsilnie ostatnie fale kolorów w zgęstniałą aurę. Czasem w wyłomie ulicy zwraca ktoś ku niebu jaskrawą, wyciętą z ciemności połowę twarzy, z okiem przerażonym i świecącym — nasłuchuje szumu przestworzy, elektrycznego milczenia sunących obłoków, i głąb powietrza przecinają jak strzały, drżące i spiczaste, czarno-białe jaskółki.

Ekwador i Kolumbia mobilizują. W groźnym milczeniu tłoczą się na molo szeregi piechoty, białe spodnie, białe, skrzyżowane rzemienie na piersiach. Jednorożec chilijski stanął dęba. Widzi się go wieczorami na tle nieba, patetyczne zwierzę, znieruchomione grozą, z kopytami w powietrzu.

#### XXXVI

Dni schodzą coraz głębiej w cień i zadumę. Niebo zamknęło się, zatarasowało, wzbierając coraz ciemniejszą stalową burzą i milczy nisko skłębione. Ziemia spalona i pstra przestała oddychać. Tylko ogrody rosną bez tchu, sypią się listowiem nieprzytomne i pijane i zarastają każdą wolną szczelinę chłodną substancją listną. (Pryszcze pąków były lepkie, jak wyprysk świerzbiący, bolesne i jątrzące się — teraz goją się chłodną zielenią, zablizniają wielokrotnie liść na liściu, kompensują stokrotnym zdrowiem, na zapas, ponad miarę

i bez rachuby. Już nakryły i zgłuszyły pod ciemną zielenią zgubione wołanie kukulki, slychać już tylko daleki i stłumiony jej głos zaszyty w głębokie wirydarze<sup>215</sup>, zatracony pod zalewem szczęśliwego rozkwitu).

Czemu domy tak świecą w tym pociemniałym krajobrazie? Im bardziej chmurnieje szum parków, tym ostrzejsza staje się wapienna biel domów i świeci bez słońca gorącym refleksiem spalonej ziemi, coraz jaskrawiej, jak gdyby za chwilę popstrzyć się miała czarnymi plamami jakiejś jaskrawej i pstrej choroby.

Psy biegną upojone, z nosami w powietrzu. Wietrzą coś, nieprzytomne i wzburzone, buszując w puszystej zieleni.

Coś chce się sfermentować ze zgęszczonego szumu tych dni spochmumiałych — coś rewelacyjnego, coś ponad wszelką miarę ogromnego.

Próbuję i przymierzam, jakie zdarzenie mogłoby sprostać tej negatywnej sumie oczekiwania, która zbiera się w ogromny ładunek ujemnej elektryczności, co mogłoby dorównać tej katastrofalnej niższe barometrycznej<sup>216</sup>.

Gdzieś już rośnie i potężnieje to, na co w całej naturze naszej gotuje się ta zakłęśłość, ta forma, ten rozziw bez tchu, którego parki nie mogą wypełnić upojnym zapachem bzów.

### XXXVII

Murzyni, Murzyni, tłumy Murzynów w mieście! Widziano ich tu i tam, równocześnie w kilku punktach miasta. Biegają przez ulice wielką, hałaśliwą, obdartą hałastrą, wpadają do sklepów żywnościowych, plądrują je. Żarty, szturchańce, śmiechy, toczące się szeroko białka oczu, gardłowe dźwięki i białe, błyszczące zęby. Nim zmobilizowano milicję, zniknęli jak kamfora.

Przeżuwałem to, nie mogło być inaczej. Było to naturalną konsekwencją meteorologicznego napięcia. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że od początku czułem: ta wiosna jest podszyta Murzynami.

Skąd wzięli się w tej strefie Murzyni, skąd przywędrowały te hordy Negrów w pasiastych bawełnianych piżamach? Czy wielki Barnum<sup>217</sup> rozbił w pobliżu swój obóz, ciągnąc z niezliczonym trenem ludzi, zwierząt i demonów, czy w pobliżu stanęły gdzieś jego pociągi natłoczone nieskończonym gwarem aniołów, bestyj i akrobatów? Nigdy w świecie. Barnum był daleko. Moje podejrzenie zmierza w całkiem innym kierunku. Nie powiem nic. Dla ciebie milczę, Bianco, i żadna tortura nie wydobędzie ze mnie wyznania.

### XXXVIII

Ubierałem się tego dnia długo i starannie. W końcu już gotowy, stojąc przed lustrem, ułożyłem twarz moją w wyraz spokojnej i nieubłaganej stanowczości. Troskliwie opatrzyłem<sup>218</sup> pistolet, zanim włożyłem go do tylnej kieszeni spodni. Jeszcze raz rzuciłem okiem w zwierciadło, dotknąłem ręką surduta, za którym na piersi ukryte były dokumenty. Byłem gotów stawić mu czoło.

Czułem się do głębi spokojny i zdeterminowany. Chodziło wszak o Biankę, a czegoż nie byłbym zdolny dla niej uczynić! Rudolfowi postanowiłem z niczego się nie zwierzać. Im bliżej go poznawałem, tym silniej ustalało się we mnie przekonanie, że był to ptak niskiego lotu, niezdolny wznieść się ponad pospolitość. Miałem już dość tej twarzy martwiącej z konsternacji<sup>219</sup> i blednącej z zawiści, którą witał każdą moją nową rewelację.

W zamyśleniu przebyłem szybko niedaleką drogę. Gdy wielka żelazna brama zatrzasnęła się za mną, drżąc stłumioną wibracją, wkroczyłem od razu w inny klimat, w inne wianie powietrza, w obcą i chłodną okolicę wielkiego roku. Czarne gałęzie drzew gałęziły się w odrębny i oderwany czas, ich bezlistne jeszcze wierzchołki widły się czarną wikliną w płynące wysoko białe niebo jakiejś innej i obcej strefy, zamknięte ze wszech stron alejami — odcięte i zapomniane jak zatoka bez odpływu. Głosy ptaków, zagubione

<sup>215</sup>wirydarz — ozdobny ogród. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>barometryczny — tu: dotyczący ciśnienia atmosferycznego. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>Barnum, Phineas Taylor (1810–1891) — amerykański przedsiębiorca cyrkowy. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>opatrzyć (daw.) — tu: przygotować. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>konsternacja — zakłopotanie. [przypis edytorski]

i przycichłe w dalekich przestrzeniach tego rozległego nieba, przykrawywały inaczej ciszę, brały ją na warsztat w zamyśleniu, ciężką, szarą, zwierciadloną na opak w cichej sadzawce, i świat leciał w to zwierciadlenie bez pamięci, grawitował na oślep, pełen impetu, w to wielkie, uniwersalne, szare zamyślenie, w te odwrócone korkociągi drzew uciekające bez końca, w tę wielką rozchwianą bladeść bez kresu i mety.

Z podniesioną głową, zimny i spokojny do głębi, kazałem się zameldować. Wprowadzono mnie do hallu na wpół ciemnego. Panował tam półmrok wibrujący od cichego przepychu. Przez otwarte wysokie okno niby przez szczelinę fletu wpływało powietrze z ogrodu w łagodnych falach, balsamiczne i powściągliwe, jak do pokoju, w którym leży ktoś nieuleczalnie chory. Od tych cichych influencyj<sup>220</sup>, wnikających niewidzialnie przez łagodnie respirujące filtry firanek, lekko wezbranych aurą ogrodu, ożywały przedmioty, budziły się z westchnieniem, lśniąca przeczucie przebiegało w trwożnych pasażach przez rzędy szklanek weneckich w głębokiej witrynie, liście tapet szeleściły spłoszone i srebrzyste.

Potem tapety gasły, zachodziły w cień i natężone ich zamyślenie, od lat stłoczone w tych gęstwinach pełnych ciemnej spekulacji, uwalniało się, imaginując gwałtownie ślepyim majaczeniem aromatów jak stare herbariusze<sup>221</sup>, przez których wyschłe prerie przelatują klucze kolibrów i stada bizonów, pożary stepów i pościgi wicjacje skalpami u siodła.

Rzecz dziwna, jak te stare wnętrza nie mogą znaleźć spokoju nad wzburzoną swą, ciemną przeszłością, jak w ciszy ich wciąż próbują się inscenizować na nowo przesądzone i przypadłe dzieje, układają się te same sytuacje w nieskończonych wariantach, nicowane na wszystkie strony przez bezpłodną dialektykę tapet. Tak rozkłada się ta cisza do cna zepsuta i zdemoralizowana w tysiącrotnych przemyśleniach, w samotnych delibercjach<sup>222</sup>, obiegając obłudnie tapety w bezświetlnych błyskawicach. Czemuż ukrywać? Czy nie musiano tu noc w noc uśmierzać te nadmierne wzburzenia, te spiętrzone paroksyzmy gorączki, rozwiązywać je zastrzykami sekretnych drogów<sup>223</sup>, które je przeprowadzały w rozległe, kojące i łagodne krajobrazy, pełne — wśród rozstępujących się tapet — dalekich wód i zwierciadeł.

Usłyszałem jakiś szelest. Poprzedzany przez lokaja, schodził ze schodów, krępy<sup>224</sup> i zwięzły, oszczędny w ruchach, oślepiiony refleksiem wielkich rogowych okularów. Pierwszy raz stanąłem przed nim twarzą w twarz. Był nieprzenikniony, ale nie bez satysfakcji dostrzegłem już po pierwszych moich słowach wgłębiające się w jego rysy dwie bruzdy zgrzyoty i goryczy. Podczas gdy poza ślepyim błyskiem swych okularów drapował<sup>225</sup> twarz swą w maskę wspaniałej niedosięgłości — widziałem między fałdami tej maski chyłkiem przemykający błąd popłoch. Stopniowo nabierał zainteresowania, widać było z uważniejszej miny, że dopiero teraz zaczyna mnie doceniać. Zaprosił mnie do swego gabinetu położonego obok. Przy naszym wejściu jakaś postać kobieca w białej sukni odskoczyła ode drzwi, spłoszona, jak gdyby podsłuchiwała, i oddaliła się w głąb mieszkania. Czy była to guwernantka Bianki? Zdawało mi się, przestępując próg tego pokoju, że wchodzę w dżunglę. Mętnozielony półmrok tego pokoju pręgowany był wodnisto cieniami deszczulkowych żaluzji zapuszczonych w oknach. Ściany obwieszane były tablicami botanicznymi, w wielkich klatkach fruwały małe kolorowe ptaszki. Chcąc zyskać widocznie na czasie, objaśniał mi okazy broni pierwotnej, dziryty, bumerangi i tomahawki rozwieszane po ścianach. Moje wyostrzone powonienie zwietrzyło zapach kurary<sup>226</sup>. Podczas gdy manipulował pewnego rodzaju barbarzyńską halabardą, zaleciłem mu daleko idącą ostrożność i opanowanie swych ruchów i poparłem moje ostrzeżenie nagle wydobytym pistoletem. Uśmiechnął się przykro, nieco zdetonowany<sup>227</sup>, i położył broń na swym miejscu. Zasiadliśmy przy potężnym hebanowym biurku. Podziękowałem za cygaro, które mi ofiarował, zasłaniając się abstynencją. Tyle ostrożności zjednało mi jednak jego uzna-

<sup>220</sup>influenca (z łac.) — wpływ. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>herbariusz — zielnik. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>deliberacja — rozważanie. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>drog — (z ang. *drug*) narkotyk. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>krępy — niski i mocno zbudowany. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>drapować — dosł. układać tkaninę w dekoracyjne fałdy, przen. uwznioślać a. ubierać. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>kurara — trucizna używana do zatrucia strzał. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>zdetonowany — pozbawiony pewności siebie. [przypis edytorski]



nie. Z cygarem w kącie obwisłych ust przypatrywał mi się z groźną, nie budzącą zaufania życzliwością. Potem, jakby w roztargnieniu kartkując niedbale w książce czekowej, zaproponował mi zniecka kompromis, wymieniając wielozerową cyfrę, podczas gdy źrenice jego uciekły w kąt oczu. Mój ironiczny uśmiech skłonił go do szybkiego porzucenia tematu. Z westchnieniem rozłożył księgi handlowe. Zaczął mi tłumaczyć stan interesów. Imię Bianki nie padło ani razu między nami, choć w każdym naszym słowie była ona obecna. Patrzyłem na niego bez drgnienia, z ust moich nie schodził ironiczny uśmiech. Wreszcie oparł się bezsilnie o poręcz. — Pan jest nieprzejednany — rzekł, jakby do siebie — czego pan chce właściwie? — Zacząłem znów mówić. Mówiłem stłumionym głosem, z zahamowanym ogniem. Na policzki moje wystąpiły wypieki. Kilkakrotnie wymówiłem z drżeniem imię Maksymiliana, wymieniłem je z naciskiem, obserwując za każdym razem, jak twarz mego przeciwnika stawała się o odcień bledsza. Wreszcie skończyłem, dysząc ciężko. Siedział zdruzgotany. Już nie panował nad swą twarzą, która stała się nagle stara i zmęczona. — Decyzje pańskie pokażą mi — kończyłem — czy pan dojrzał do zrozumienia nowego stanu rzeczy i czy pan gotów jest uznać go w czynach. Żądam faktów i jeszcze raz faktów...

Drżącą ręką chciał sięgnąć po dzwonek. Zatrzymałem go ruchem dłoni i z palcem na cynglu pistoletu wycofałem się tyłem z pokoju. U wyjścia służący podał mi kapelusz. Znalazłem się na terasie zalanej słońcem, pełen jeszcze w oczach wirującego mroku i wibracji. Schodziłem ze schodów, nie odwracając się, pełen triumfu i pewny, że teraz już przez żadną ze spuszczonej okiennic pałacu nie wysunie się za mną skrytobójcza lufa dubeltówki.

### XXXIX

Ważne sprawy, najwyższej wagi sprawy stanu zmuszają mnie teraz często do odbywania poufnych konferencji z Bianką. Przygotowuję się do nich skrupulatnie, siedząc późno w noc przy biurku nad tymi sprawami dynastycznymi najdrażliwszej natury. Czas upływa, noc przystaje cicho w otwartym oknie nad lampą stołową, coraz bardziej późna i uroczyta, napocyna coraz późniejsze i ciemniejsze warstwy, przekracza coraz głębsze stopnie wtajemniczenia i rozbraja się bezsilna w oknie w niewymownych westchnieniach. W długich, powolnych haustach wchłania ciemny pokój ostępy parku w swe głębie, wymienia w chłodnych transfuzjach swą treść z wielką nocą, która nadciąga wezbrana ciemnością, z posiewem pierzastych nasion, ciemnych pyłków i bezgłośnych ciem pluszowych, oblatujących ściany w cichych popłochach. Gęstwiny tapet zjeżdżają się strachem w ciemności, nasrożone srebrzyście, przesiewając przez sypiące się listowie te dreszcze błędne i letargiczne, te chłodne ekstazy i wzloty, te transcendentalne<sup>228</sup> trwogi i nieopamiętania, których pełna jest noc majowa za swymi marginesami, daleko po północy. Przezroczysta i szklana jej fauna, lekki plankton komarów, obsiada mnie schylonego nad papierami, zarastając przestrzeń coraz wyżej i wyżej tym spienionym, misternym, białym haftem, którym haftuje się noc daleko po północy. Siadają na papierach pasikoniki i moskity zrobione niemal z przezroczystej tkanki spekulacji nocnych, farfarele<sup>229</sup> szklane, cienkie monogramy<sup>230</sup>, arabeski<sup>231</sup> wymyślone przez noc, coraz większe i fantastyczniejsze, tak wielkie jak nietoperze, jak wampiry, zrobione z samej kaligrafii i z powietrza. Firanka roi się cała od tej wędrującej koronki, od cichej inwazji tej imaginacyjnej, białej fauny.

W taką noc zamarginesową, nie znającą granic, przestrzeń traci swój sens. Obtańczony tym jasnym wirowaniem komarów, z plikiem papierów nareszcie gotowych, robię parę kroków w nieokreślonym kierunku, w ślepy zaułek nocy, który musi się kończyć drzwiami, właśnie białymi drzwiami Bianki. Naciskam klamkę i wchodzę do niej, jakby z pokoju do pokoju. Mimo to czarny mój kapelusz karbonariusza<sup>232</sup> łopocze jakby wiatrem dalekiej wędrowni, gdy przekraczam próg, mój krawat splątany fantastycznie

<sup>228</sup>transcendentalny — wykraczający poza rzeczywistość poznawalną za pomocą zmysłów. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>farfarele — psotne, nieszkodliwe diabełki. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>monogram — ozdobny znak wykorzystujący kształty liter. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>karbonariusz — osoba należąca do XIX-wiecznego tajnego ruchu politycznego, sprzeciwiającego się absolutyzmowi. [przypis edytorski]

szeleści w przeciągu, przyciskam do piersi teczkę pełną najtajniejszych dokumentów. Jak gdybym z przedśionka nocy wszedł w noc właściwą. Jak głęboko oddycha się tym nocnym ozonem<sup>233</sup>! Tu jest matecznik, tu jest sedno nocy wezbranej jaśminem. Tu dopiero rozpoczyna ona swą właściwą historię. Wielka lampa z różowym abażurem płonie w głowach łóżka. W jej różowym półmroku Bianka spoczywa wśród ogromnych poduszek, niesiona wezbraną pościelą jak przyplływem nocy, pod oknem szeroko otwartym i transpirującym. Bianka czyta wsparta na bladym ramieniu. Na mój głęboki ukłon odpowiada krótkim spojrzeniem znad książki. Z bliska widziana jej piękność jak gdyby miarkuje się<sup>234</sup>, wchodzi w siebie jak skręcona lampa. Z świętokradczą radością obserwuję, że nossek jej nie jest wcale tak szlachetnie skrojony, a cera daleka od idealnej doskonałości. Obserwuję to z pewną ulgą, choć wiem, że to powściągnięcie jej blasku jest jak gdyby tylko z litości i po to tylko, żeby nie zapierało tchu i nie odbierało mowy. Ta piękność regeneruje się potem szybko poprzez medium oddalenia i staje się bolesna, nie do zniesienia i ponad wszelką miarę.

Ośmielony jej skinieniem siadam przy łóżku i zaczynam ją relację, posługując się przygotowanymi dokumentami. Przez otwarte okno za głową Bianki płynie nieprzytomny szum parku. Las cały stłoczony za oknem płynie korowodami drzew, przenika przez ściany, rozprzestrzenia się, wszechobecny i wszechobejmujący. Bianka słucha z pewnym roztargnieniem. Jest właściwie irytujące, że nie przestaje podczas tego czytać. Pozwala, bym każdą sprawę oświetlił ze wszech stron, ukazał wszystkie *pro*<sup>235</sup> i *contra*<sup>236</sup>, potem, podnosząc oczy znad książki i trzepocąc nimi trochę nieprzytomnie, rozstrzyga ją prędko, pobieżnie i z zadziwiającą trafnością. Baczny i uważny na każde jej słowo, podchwytuję gorliwie ton głosu, ażeby wnikać w ukrytą intencję. Potem przedkładam jej pokornie dekrety do podpisu i Bianka podpisuje, ze spuszczonej rzesami, rzucającymi długi cień, i obserwuje spod nich z lekką ironią, jak kładę ją kontrasygnaturę<sup>237</sup>.

Być może, że późna godzina, dawno przekroczona północ, nie sprzyja koncentracji nad sprawami stanu. Noc wyszedłszy poza ostatnią granicę skłania się do pewnej rozwiązłości. Podczas gdy tak rozmawiamy, iluzja pokoju rozpręga się coraz bardziej, jesteśmy właściwie w lesie, kępy paproci zarastają wszystkie kąty, tuż za łóżkiem przesuwają się ściana zarośli ruchliwa i pełna splątania. Z tej ściany listnej wynikają w świetle lampy wielkookie wiewiórki, dzięcioły i żyjotka nocne i patrzą nieruchomo w światło lśniącymi, wypukłymi oczyma. Począwszy od pewnej pory wkraczamy w czas nielegalny, w noc pozbawioną kontroli, podległą wszelkim wybrykom i fanaberiom nocnym. To, co się jeszcze dzieje, jest już niejako poza rachubą, nie liczy się, pełne błahości, nieobliczalnych wykroczeń i figlowania nocnego. Temu tylko przypisać mogę dziwne zmiany, jakie zachodzą w usposobieniu Bianki. Ona, tak zawsze opanowana i poważna, samo uosobienie karności i pięknej dyscypliny, staje się teraz pełna kaprysów, przekory i nieobliczalności. Papiery leżą rozłożone na wielkiej równinie jej kołdry, Bianka bierze je niedbale do ręki, rzuca w nie od niechcenia okiem i wypuszcza obojętnie spomiędzy luźnych palców. Z nabrzmiałymi ustami, podłożywszy blade ramię pod głowę, odwleka swą decyzję i daje mi czekać. Albo odwraca się plecami do mnie, zatyka sobie uszy rękami, głucha na moje prośby i perswazje. Nagle bez słowa, jednym wstrząśnięciem nóżki pod kołdrą strąca wszystkie papiery na ziemię i patrzy przez ramię z wysokości swych poduszek rozszerzonymi zagadkowo oczyma, jak nisko schylony zbieram je gorliwie z ziemi, zdmuchując z nich igliwie. Te pełne zresztą wdzięku kaprysy nie ułatwiają mi i tak już trudnej i odpowiedzialnej roli regenta<sup>238</sup>.

Podczas naszych rozmów szum lasu wezbrany chłodnym jaśminem wędruje przez pokój całymi milami krajobrazów. Coraz nowe odcinki lasu przesuwają się i wędrują, korowody drzew i krzewów, całe scenerie leśne płyną, rozprzestrzeniając się, przez pokój.

<sup>233</sup>ozon — gaz złożony z trójatomowych cząsteczek tlenu, powstających pod wpływem wylądowań elektrycznych (np. piorunów), charakteryzuje się orzeźwiającym zapachem i ma własności dezynfekujące. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>miarkować się (daw.) — hamować się, ograniczać. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>pro (łac.) — za. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>contra (łac.) — przeciw. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>kontrasygnatura — kontrasygnata, drugi podpis wymagany na dokumencie. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>regent — osoba sprawująca władzę podczas niepełnoletności bądź choroby prawowitego władcy. [przypis edytorski]

Wtedy staje się jasne, że jesteśmy właściwie od początku w pewnego rodzaju pociągu, w lesnym pociągu nocnym, toczącym się wolno brzegiem parowu<sup>239</sup> po lesistej okolicy miasta. Stąd ten przeciąg upojny i głęboki, który przepływa na wskroś te przedziały coraz nowym wątkiem, wydłużającym się nieskończoną perspektywą przeczuć. Nawet konduktor z latarką nawija się skądś, wychodzi spomiędzy drzew i przebija nam bilety swymi kleszczami. Tak wjeżdżamy w coraz głębszą noc, otwieramy całkiem nowe jej amfilady<sup>240</sup>, pełne zatraskujących się drzwi i przeciągów. Oczy Bianki pogłębiają się, policzki jej płoną, uroczy uśmiech rozchyła jej usteczka. Czy chce mi coś zwierzyć? Coś najsekretniejszego? Bianka mówi o zdradzie i twarzą jej płonie ekstazą, oczy zwięzają się od napływu rozkoszy, gdy, wijąc się jak jaszczurka pod koldrą, insynuuje mi zdradę najświętszej misji. Sonduje z uporem moją pobladłą twarz słodkimi oczyma, które wchodzi w zez. — Uczyn to — szepce natarczywie — uczyn to. Staniesz się jednym z nich, z tych czarnych Murzynów... — A gdy zaklinającym gestem przykładam palec do ust, pełen rozpaczony — twarzą jej staje się nagle zła i jadowita. — Jesteś śmieszny ze swoją niezłomną wiernością i z całą twoją misją. Bóg wie, co sobie wyobrażasz o swej nieodzowności. A gdybym wybrała Rudolfa! Wolę go tysiąc razy od ciebie, nudnego pedanta. Ach, on byłby posłuszny, posłuszny aż do zbrodni, aż do wymazania swej istoty, aż do samounicestwienia... — Potem nagle z triumfującą miną pyta: — Czy pamiętasz Lonkę, córka Antosi praczki, z którą bawiłeś się, będąc mały? — Spojrzałem na nią zdziwiony. — To byłam ja — rzekła, chichocząc — tylko że byłam jeszcze wówczas chłopcem. Czy podobałam ci się wtedy?

Ach, w samym sednie wiosny coś psuje się i rozprzega. Bianco, Bianco, czy i ty mnie zawodzisz?

## XL

Boję się przedwcześnie odsłonić atuty. Gram o zbyt wielką stawkę, ażebym mógł to zaryzykować. Rudolfowi od dawna przestałem składać sprawozdania z biegu wypadków. Jego zachowanie zresztą zmieniło się od pewnego czasu. Zazdrość, która była dominującą cechą jego charakteru, ustąpiła miejsca pewnej wielkoduszności. Jakaś skwapliwa<sup>241</sup> życzliwość zmieszana z zakłopotaniem objawia się w jego gestach i niezręcznych słowach, ile razy spotykam się przypadkiem. Dawniej pod jego mrukliwą miną milczka, pod jego wyczekującą rezerwą, kryła się jednak pożerająca go ciekawość, głodna każdego nowego szczegółu, każdej nowej wersji o sprawie. Obecnie jest dziwnie uspokojony, nie pragnie już nic ode mnie się dowiedzieć. Jest mi to teraz właściwie bardzo na rękę, gdy noc w noc odbywam te niezmiernie ważne posiedzenia w Panoptikum, które muszą do czasu pozostać w najgłębszej tajemnicy. Dozorcy zmorzeni wódką, której im nie żałuję, śpią w swoich komórkach snem sprawiedliwych, gdy ja przy świetle kilku kopających świec konferuję w tym dostojnym gronie. Są tam przecież wśród nich i koronowane głowy i pertraktowanie z nimi nie należy do łatwych rzeczy. Z dawniejszych czasów zachowali ten bezprzedmiotowy heroizm, pusty teraz i bez tekstu, ten płomień, to spalanie się w ogniu jakiejś koncepcji, to postawienie całego życia na jedną kartę. Ich idee, dla których żyli, zdyskredytowały się, jedna za drugą, w prozie dnia codziennego, ich lonty wypaliły się, stoją oni puści i pełni niewyżytej dynamiki i, błyszcząc oczyma nieprzytomnie, czekają na ostatnie słowo swej roli. Jak łatwo jest sfalszować w tym momencie to słowo, podsunąć im pierwszą lepszą ideę — gdy są tak bezkrytyczni i bezbronni! To ułatwia mi znakomicie zadanie. Z drugiej strony jednak trudno jest niezmiernie dotrzeć do ich umysłu, zapalić w nich światło jakiejś myśli, taki przeciąg jest w ich duchu, tak pusty wiatr przewiewa ich na wskroś. Już samo obudzenie ich ze snu kosztowało wiele trudu. Leżeli wszyscy w łóżkach, bładzi śmiertelnie i bez oddechu. Nachylałem się nad nimi, wymawiając szeptem słowa dla nich najistotniejsze, słowa, które powinny były jak prąd elektryczny ich przeniknąć. Otwierali jedno oko. Bali się dozorców, udawali martwych i głuchych. Dopiero gdy upewnili się, że jesteśmy sami, przypodnosili się na swych posłaniach, obandażowani, złożeni z kawałków, przyciskając drewniane protezy, imitowane,

<sup>239</sup> parów — wąwóz. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> amfilada — ciąg pomieszczeń z drzwiami ustawionymi na jednej osi. [przypis edytorski]

<sup>241</sup> skwapliwy — chętny, ostentacyjnie okazujący gotowość. [przypis edytorski]

falszywe płuca i wątroby. Byli z początku bardzo nieufni i chcieli recytować wyuczone role. Nie mogli pojąć, że można od nich czegoś innego żądać. I tak siedzieli tępo, postępując czasem, ci świetni mężowie, kwiat ludzkości, Dreyfus<sup>242</sup> i Garibaldi<sup>243</sup>, Bismarck<sup>244</sup> i Wiktor Emanuel I<sup>245</sup>, Gambetta<sup>246</sup> i Mazzini<sup>247</sup> i wielu innych. Najtrudniej pojmuwał sam arcyksiążę Maksymilian. Gdy żarliwym szeptem przy jego uchu powtarzałem wciąż na nowo imię Bianki, mrugał nieprzytomnie oczyma, niesłychane zdziwienie odmalowało się na jego twarzy i żaden błysk zrozumienia nie przeniknął jego rysów. Jedyne gdy wymówiłem powoli i dobitnie imię Franciszka Józefa I, przez twarz jego przeleciał dziki grymas, czysty odruch, nie mający już odpowiednika w jego duszy. Ten kompleks był od dawna wyparty z jego świadomości, jakże mógłby z nim żyć, z tym rozsadzającym napięciem nienawiści, on, z trudem złożony i zablizniony po owym krwawym rozstrzelaniu w Vera Cruz. Musiałem go na nowo uczyć jego życia od początku. Anamneza<sup>248</sup> była niezmiernie słaba, nawiązywałem do podświadomych błysków uczucia. Wszczepiałem węń elementy miłości i nienawiści. Ale następnej nocy okazywało się, że zapomniał. Jego koledzy, pojętniejsi od niego, pomagali mi, podpowiadali mu reakcje, którymi powinien był odpowiadać, i tak edukacja posuwała się powolnym krokiem naprzód. Był bardzo zaniedbany, po prostu spustoszony wewnętrznie przez dozorców, mimo to doprowadziłem do tego, że na dźwięk imienia Franciszka Józefa dobywał szabli z pochwy. O mało co nie przebił nawet Wiktora Emanuela I, który nie dość prędko usunął mu się z drogi.

Tak stało się, że reszta tego świetnego kolegium o wiele prędzej zapaliła się i przejęła ideą niż z trudem nadążający, nieszczęśliwy arcyksiążę. Zapał ich nie znał granic. Z wszystkich sił musiałem ich hamować. Niepodobna<sup>249</sup> powiedzieć, czy pojęli w całość rozciągłości ideę, za którą walczyć mieli. Merytoryczna strona nie była ich rzeczą. Predestynowani<sup>250</sup> do spalenia się w ogniu jakiegoś dogmatu, byli pełni zachwyty, że zyskali dzięki mnie parolę, w imię której mogli umrzeć w walce, w wirze uniesienia. Uspokajałem ich hipnozą, wdrażałem im z trudem zachowanie tajemnicy. Byłem z nich dumny. Jakież wódz miał kiedyś pod swoimi rozkazami sztab tak świetny, generalicję złożoną z duchów tak płomiennych, gwardię — inwalidów wprawdzie tylko, lecz jakże genialnych.

Wreszcie przyszła ta noc, burzliwa i wezbrana wichurą, wstrząśnięta w głębiach swych aż do dna przez to, co się w niej przygotowywało, ogromne i bezgraniczne. Błyskawice rozdzierały raz po raz ciemności, świat otwierał się rozdarty aż do najgłębszych trzewi, ukazywał swe wnętrza jaskrawe, przeraźliwe i bez tchu i zatrząskiwiał je z powrotem. I płynął dalej, z szumem parków, z pochodem lasów, z korowodem krążących horyzontów. Pod osłoną ciemności opuściliśmy muzeum. Szedłem na czele tej natchnionej kohorty<sup>251</sup>, posuwającej się wśród gwałtownych utykań, zamachów, klekotu szczudeł i drewna. Błyskawice przelatywały po obnażonych klingach szabel. Tak dobiliśmy w ciemności do bramy willi. Zastaliśmy ją otwartą. Zaniepokojony, przeczuwając jakiś podstęp, kazałem zapalić pochodnie. Powietrze zacerwieniło się od smolnego łuczywa, ptaki spłoszone wzbily się wysoko w czerwonym blasku, w tym bengalskim świetle ujrzeliśmy wyraźnie willę, jej tarasy i balkony jakby w lunie pożaru stojące. Z dachu powiewała biała flaga. Tknięty złym przecuciem wkroczyłem na podwórze na czele moich walecznych. Na tarasie ukazał się majordomus<sup>252</sup>. Schodził, kłaniając się, z monumentalnych schodów i zbliżał się z wahaniem, błady i niepewny w ruchach, coraz wyraźniejszy w żarze

<sup>242</sup>Dreyfus, Alfred (1859–1935) — oficer francuski, niesłusznie skazany za zdradę państwa w roku 1894, zrehabilitowany w 1906. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>Garibaldi, Giuseppe (1807–1882) — rewolucjonista włoski, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>Bismarck (1815–1898) — kanclerz Rzeszy Niemieckiej, przywódca obszarników pruskich, dokonał zjednoczenia Niemiec (1871); zwalczał ruch socjalistyczny; prowadził politykę antypolską. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>Wiktor Emanuel I (1759–1824) — król Sardynii, abdykował w 1821 na rzecz młodszego brata, Karola Feliksa. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>Gambetta, Leon (1838–1882) — wybitny polityk francuski; należał do umiarkowanego skrzydła partii republikańskiej; proklamował w r. 1870 republikę. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>Mazzini, Giuseppe (1805–1872) — rewolucjonista włoski, przywódca demokratycznej organizacji Młode Włochy, walczącej o niepodległość i zjednoczenie Włoch. [przypis edytorski]

<sup>248</sup>anamneza — przypomnienie sobie tego, co wiedzieliśmy przed narodzinami. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>predestynowany — przeznaczony. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>kohorta — tu ogólnie: oddział. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>majordomus — przełożony nad służbą. [przypis edytorski]

luczywa. Skierowałem w jego pierś ostrze mej klingi. Moi wierni stali nieruchomo, podnosząc wysoko dymiące pochodnie, słychać było w milczeniu szum płynących poziomo płomieni.

— Gdzie jest pan de V.? — spytałem.

Rozłożył nieokreślonym ruchem rękę.

— Wyjechał, panie — powiedział.

— Zaraz przekonamy się o prawdzie tego. A gdzie jest Infantka?

— Jej Wysokość wyjechała także, wszyscy wyjechali...

Nie miałem powodu o tym wątpić. Ktoś musiał mnie zdradzić. Nie było czasu do stracenia.

— Do koni! — zawołałem. — Musimy odciąć im drogę.

Wyłamaliśmy drzwi stajni, w ciemności tchnęło na nas ciepłem i zapachem zwierząt. Za chwilę wszyscy siedzieliśmy na wspinających się pod nami i rżących rumakach. Niesieni ich galopem, wypadliśmy wśród szczęku kopyt na bruku wyciągniętą kawalkadą w nocną ulicę. — Lasem ku rzece — rzuciłem za siebie i skręciłem w aleję leśną. Dookoła nas rozszalały się głębie kniei. W ciemności otworzyły się jak gdyby spiętrzone krajobrazy katastrof i potopów. Lecieliśmy wśród wodospadów szumu, wśród wzburzonych mas leśnych, płomienie pochodni odrywały się wielkimi płatami za naszym wyciągniętym galopem. Przez głowę moją przelatywał huragan myśli. Czy Bianka została porwana, czy też zwyciężyło w niej niskie dziedzictwo ojca nad krwią matki i nad posłannictwem, które nadaremnie usiłowałem jej zaszczyć? Aleja stawała się ciasniejsza, zmieniła się w wąwóz, u którego wylotu otwierała się wielka leśna polana. Tam dopadliśmy ich wreszcie. Dostrzegli nas już z daleka i zatrzymali powozy. Pan de V. wysiadł i skrzyżował ręce na piersiach. Szedł ku nam wolno, ponury, błyszcząc okularami, purpurowy w blasku pochodni. Dwanaście lśniących kling skierowało się ku jego piersi. Zbliżyliśmy się wielkim półkolem w milczeniu, konie szły stępą<sup>253</sup>, osłoniłem ręką oczy, ażeby lepiej zobaczyć. Blask pochodni padł na powóz i ujrzałem w głębi siedzenia Biankę śmiertelnie bladą, a obok niej — Rudolfa. Trzymał jej rękę i przyciskał ją do piersi. Wolno opuściłem się z konia i chwiejnym krokiem szedłem ku powozowi. Rudolf podniósł się powoli, jak gdyby chciał mi wyjść na spotkanie.

Stanąwszy przy powozie, odwróciłem się do kawalkady następującej z wolna szerokim frontem, ze szpadami gotowymi do sztychu, i rzekłem: — Panowie, fatygowałem was niepotrzebnie. Ci państwo są wolni i odjadą swobodnie, nie zaczepieni przez nikogo. Włos im z głowy nie spadnie. Spełniliście waszą powinność. Schowajcie szable do pochew. Nie wiem, do jakiego stopnia pojęliście ideę, w służbę której was zaprząłem, do jakiego stopnia wstąpiła ona w was i stała się krwią z waszej krwi. Ta idea, jak widzicie, bankrutuje, bankrutuje na całej linii. Sądzę, że co do was, to przeżyjecie to bankructwo własnej waszej idei. Jesteście już niezniszczalni. Co do mnie... ale mniejsza o moją osobę. Chciałbym tylko — tu zwróciłem się do tamtych w powozie — ażebyście nie sądzili, że to, co się stało, zastaje mnie całkiem nie przygotowanego. Tak nie jest. Od dawna przewidywałem to wszystko. Jeżeli tak długo trwałem pozornie w mym błędzie, nie dopuszczałem do siebie lepszej wiedzy, to jedynie dlatego, że nie przysługiwało mi wiedzieć rzeczy, które przekraczają mój zakres, nie przysługiwało mi uprzedzać wypadków. Chciałem wytrwać na posterunku, na którym mnie los mój postawił, chciałem do końca spełnić mój program, pozostać wiernym roli, którą sam sobie uzurpowałem. Bo, wyznaję to teraz ze skrucą, byłem wbrew podszeptom mej ambicji tylko uzurpatorem. W zaślepieniu moim podjąłem się wykładu pisma, chciałem być tłumaczem woli boskiej, w fałszywym natchnieniu chwytałem przemykające przez markownik ślepe poszlaki i kontury. Łączyłem je niestety tylko w dowolną figurę. Narzuciłem tej wiośni moją reżyserię, podłożyłem pod jej nie objęty rozkwit własny program i chciałem ją nagiąć, pokierować według własnych planów. Niosła mnie ona czas jakiś na swym rozkwicie, cierpliwa i obojętna, zaledwie mnie czując. Jej niewrażliwość wziąłem za tolerancję, ba, za solidarność, za zgodę. Myślałem, że odgaduję z jej rysów, lepiej od niej samej, jej najgłębsze intencje, że czytam w jej duszy, że antycypuję, czego ona, zbalamucona swą nieobjętością, nie umie wyrazić. Ignorowałem wszystkie oznaki jej dzikiej i nieokielzanej niezawisłości,

<sup>253</sup>stępa — określenie powolnego, regularnego chodu końskiego. [przypis edytorski]

przeoczałem gwałtowne perturbacje wzbudzające ją do głębi i nieobliczalne. Posunąłem się tak daleko w mej megalomanii, że odważyłem się wkroczyć w sprawy dynastyczne najwyższych potęg, zmobilizowałem was, panowie, przeciwko Demiurgowi, nadużyłem waszej nieodporności na idee, waszej szlachetnej bezkrytyczności, ażeby wam zaszczepić fałszywą i światoburczą doktrynę, porwać wasz płomienny idealizm do czynów szalonych. Nie chcę rozstrzygać, czy byłem powołany do rzeczy najwyższych, po które sięgnęła moja ambicja. Byłem snadź<sup>254</sup> powołany tylko do zainicjowania, zostałem napoczęty, a potem porzucony. Przekroczyłem moje granice, ale i to było przewidziane. W gruncie rzeczy znałem od początku mój los. Jak los tego oto nieszczęśliwego Maksymiliana, los mój był losem Abla. Była chwila, kiedy ofiara moja wonna była Bogu i miła, a twój dym szedł dołem, Rudolffie. Ale Kain zawsze zwycięża. Ta gra była z góry ukartowana.

W tej chwili daleka detonacja wstrząsnęła powietrzem, słup ognia podniósł się nad lasami. Wszyscy obrócili głowy. — Bądźcie spokojni — rzekłem — to płonie Panoptikum, zostawiłem tam, opuszczając muzeum, baryłkę prochu z zapalonym lontem. Nie macie już domu, szlachetni panowie, jesteście bezdomni. Mam nadzieję, że nie wzrusza was to zbyt.

Ale te potężne indywidualności, ten wybór ludzkości milczał i polyskiwał bezradnie oczyma, stojąc nieprzytomnie w bojowym szyku w dalekiej lunie pożaru. Spoglądali na siebie — całkiem bez mniemania, trzepocąc powiekami. — Ty, Sire — tu zwróciłem się do arcyksięcia — nie miałeś racji. Była to i po twojej stronie może megalomania. Niesłusznie w twoim imieniu chciałem zreformować świat. A zresztą może to wcale nawet nie było twoją intencją. Kolor czerwony jest takim samym kolorem jak inne, dopiero wszystkie razem tworzą pełnię światła. Daruj mi, że nadużyłem twego imienia do obcych ci celów. Niech żyje Franciszek Józef I.

Arcyksiążę drgnął na to imię, sięgnął do szabli, ale po chwili jakby opamiętał się, żywsza czerwień zabarwiła jego uszmiokowane policzki, kąciki ust podniosły się jakby w uśmiechu, oczy zaczęły się toczyć w orbitach, miarowo i dostojnie odbywał *cercle*, posuwał się od jednego do drugiego z promiennym uśmiechem. Odsuwali się od niego zgorzseni. Ta recydywa cesarskości w okolicznościach tak niestosownych zrobiła jak najgorsze wrażenie.

— Zaniechaj tego, Sire — rzekłem — nie wątpię, że znasz na wylot ceremonial twego dworu, ale nie pora teraz na to.

— Chciałem wam odczytać, dostojni panowie i ty, Infantko, akt mojej abdykacji. Abdykuję na całej linii. Rozwiązuję triumwirat. Składam rezygnację w ręce Rudolffa. I wy, szlachetni panowie — tu zwróciłem się do mego sztabu — jesteście wolni. Mieliście jak najlepsze chęci i dziękuję wam gorąco w imieniu idei, naszej zdetronizowanej idei — lzy zakręciły mi się w oczach — która mimo wszystko...

W tej chwili rozległ się gdzieś blisko huk wystrzału. Zwróciliśmy wszyscy głowy w tę stronę. Pan de V. stał z dymiącym pistoletem w dłoni, dziwnie sztywny i ukośnie wydłużony. Skrzywił się brzydko. Nagle zachwiał się i runął na twarz. — Ojczy, ojczy! — zawołała Bianka i rzuciła się na leżącego. Nastąpiło zamieszanie. Garibaldi, który znał się, jako stary praktyk, na ranach, obejrzał nieszczęśliwego. Kula przebiła serce. Król Piemontu i Mazzini wzięli go ostrożnie pod ramiona i położyli na noszach. Bianka szlochała podtrzymywana przez Rudolffa. Murzyni, którzy dopiero teraz zgromadzili się pod drzewami, obstąpili swego pana. — *Massa, massa*, nasz dobry *massa* — zawodzili chórem.

— Ta noc jest zaiste fatalna! — zawołałem. — Nie będzie to w jej pamiętnych dziejach ostatnia tragedia. Wyznaję atoli, że tego nie przewidziałem. Uczyniłem mu krzywdę. W gruncie rzeczy biło w jego piersi serce szlachetne. Odwołuję mój sąd o nim, krótkowzroczny i zaślepiony. Był snadź dobrym ojcem, dobrym panem dla swych niewolników. Moja koncepcja i tu doznaje bankructwa. Ale poświęcam ją bez żalu. Do ciebie, Rudolffie, należy utulić ból Bianki, kochać ją podwójną miłością, zastąpić jej ojca. Zechcecie go zapewne zabrać ze sobą na pokład, uformujmy się w pochód i ruszajmy do przystani. Parowiec od dawna nawołuje was wołaniem syreny.

Bianka wsiadła z powrotem do powozu, dosiedliśmy koni. Murzyni wzięli nosze na ramiona i ruszyliśmy ku przystani. Kawalkada jeźdźców zamykała ten smutny pochód.

<sup>254</sup>snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

Burza uspokoiła się podczas mojej przemowy, światło pochodni otwierało w głąb lasu głębokie szczeliny, wydłużone, czarne cienie przemykały setkami bokiem i górą, zachodząc wielkim półkolem za nasze plecy. Wreszcie wyjechaliśmy z lasu. Już widniał w dali parowiec ze swymi kołami.

Już niewiele pozostaje do dodania, historia nasza się kończy. Wśród płaczu Bianki i Murzynów wniesiono ciało zmarłego na pokład. Ostatni raz uformowaliśmy się na brzegu. — Jeszcze jedna rzecz, Rudolfe — rzekłem, biorąc go za guzik surduta. — Odjeżdżasz jako dziedzic olbrzymiej fortuny — nie chcę ci niczego narzucać, to do mnie raczej należałoby zaopatrzyć starość tych oto bezdomnych bohaterów ludzkości — niestety jestem nędzarzem.

Rudolf sięgnął natychmiast po książeczkę czekową. Naradziliśmy się krótko na boku i doszliśmy prędko do porozumienia.

— Panowie — zawolałem, zwracając się do mojej gwardii — ten oto wspaniałomyślny mój przyjaciel zdecydował się naprawić mój czyn, pozbawiający was chleba i dachu nad głową. Po tym, co się stało, żadne panoptikum was nie przyjmie, tym bardziej że konkurencja jest wielka. Będziecie musieli zrezygnować nieco z waszych ambicji. Staniecie się za to wolnymi ludźmi, a wiem, że umiecie to cenić. Ponieważ nie nauczono was niestety żadnych praktycznych zawodów, was, predestynowanych do czystej reprezentacji, ufundował mój przyjaciel kwotę, wystarczającą na zakupienie dwunastu katarynek ze Szwarcwaldu. Rozejdziecie się po świecie grając ludowi ku pokrzepieniu serc. Dobór aryj do was należy. Po cóż tracić wiele słów — nie jesteście całkiem prawdziwymi Dreyfusami, Edisonami i Napoleonami. Jesteście nimi, żeby tak rzec — tylko w braku lepszych. Powiększycie teraz grono waszych poprzedników, tych anonimowych Garibaldich, Bismarcków i Mac-Mahonów, którzy tułają się tysiącami, zapoznani, po świecie. W głębi waszych serc pozostaniecie nimi na zawsze. A teraz, drodzy przyjaciele i dostojni panowie, wzniescie wraz ze mną okrzyk: Niech żyją szczęśliwi nowożeńcy, Rudolf i Bianka! — Niech żyją! — zawołali chórem. Murzyni zaintonowali song murzyński. Gdy się uciszyło, ugrupowałem ich znowu ruchem ręki, po czym stanąwszy na środku, dobyłem pistoletu i zawolałem: — A teraz żegnajcie, panowie, i z tego, co za chwilę ujrzycie, wysnujcie przestrożę, by nikt nie porywał się na odgadywanie zamiarów boskich. Nikt nigdy nie zgłębił zamysłów wiosny. *Ignorabimus*<sup>255</sup>, moi panowie, *ignorabimus*.

Przyłożyłem pistolet do skroni i strzeliłem, gdy w tej chwili ktoś podbił mi broń. Obok mnie stał oficer feldjegrów<sup>256</sup> i trzymając w rękę papiery pytał: — Czy pan jest Józef N.?

— Tak — odpowiedziałem zdziwiony.

— Czy pan przed pewnym czasem — rzekł oficer — śnił sen standardowy Józefa biblijnego?

— Być może...

— Zgadza się — rzekł oficer, patrząc na papier. — Czy pan wie, że ten sen został zauważony w najwyższym miejscu i surowo skrytykowany?

— Nie odpowiadam za moje sny — rzekłem.

— Owszem, odpowiada pan. W imieniu Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości jest pan aresztowany.

Uśmiechnąłem się.

— Jak powolna jest machina sprawiedliwości. Biurokracja Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości jest nieco ociężała. Zdystansowałem dawno ten wczesny sen czynami o wiele cięższego kalibru, za które sam chciałem wymierzyć sobie sprawiedliwość, a oto ten przedawniony sen ratuje mi życie. Jestem do pańskiej dyspozycji.

Ujrzałem zbliżającą się kolumnę feldjegrów. Sam wyciągnąłem ręce, ażeby mi nałożono kajdany. Jeszcze raz odwróciłem oczy. Ujrzałem po raz ostatni Biankę. Powiewała chusteczką, stojąc na pokładzie. Gwardia inwalidów salutowała mnie w milczeniu.

<sup>255</sup>*ignorabimus* (łac.) — nie będziemy wiedzieli. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>*feldjeger* — żołnierz austro-węgierskiej formacji strzelców. [przypis edytorski]

# Noc lipcowa

Noce letnie poznałem po raz pierwszy w roku mej matury, podczas wakacyj. Dom nasz, przez który dzień cały przewiewały poprzez otwarte okna powiewy, szумы, połyski gorących dni letnich, zamieszkał nowy lokator, małeńkie, dąsające się, kwilące stworzonko, synek mej siostry. Sprowadził on na dom nasz pewien powrót do stosunków prymitywnych, cofnął rozwój socjologiczny do koczowniczej i haremowej atmosfery matriarchatu<sup>257</sup> z obozowiskiem pościeli, pieluszek, bielizny wiecznie pranej i suszonej, z nie dbalstwem toalety kobiecej dążącej do obfitych obnażeń o charakterze wegetatywnie<sup>258</sup> niewinnym, z kwaskowym zapachem niemowlęctwa i piersi mlekiem nabrzmiałych.

Siostra po ciężkim połogu wyjechała do kąpieli, szwagier pojawiał się tylko w porach posiłków, a rodzice przebywali do późnej nocy w sklepie. Nad domem roztoczyła swe panowanie mamka<sup>259</sup> dzieciątka, której ekspansywna kobiecość zwielokrotniała się jeszcze i czerpała sankcję<sup>260</sup> ze swej roli matki-żywicielki. W majestacie tego dostojenstwa wyciskała ona swym szerokim i ważkim istnieniem piętno gynokracji<sup>261</sup> na całym domu, będącej zarazem przewagą sytej i bujnej cielesności rozłożonej w mądrym stopniowaniu między nią samą i dwoje dziewcząt służebnych, którym każda czynność pozwalała rozwinąć, jak pawi wachlarz, całą skalę samowystarczalnej kobiecości. Na ciche kwitnienie i dojrzewanie ogrodu pełnego listnych szelestów, srebrnych lśnień i cienistych zamyśleń — odpowiadał nasz dom aromatem kobiecości i macierzyństwa unoszącym się nad białą bielizną i kwitnącym mięsem i gdy o straszliwie jaskrawej godzinie południa podnosiły się w przerażeniu wszystkie firanki u okien otwartych na przestrzał i wszystkie pieluszki rozpięte na sznurkach wstawiały lśniącym szpalerem — płynęły przez ten biały alarm fularów<sup>262</sup> i płócien na wskroś pierzaste nasiona, pyłki, zgubione płatki i ogród z przepływem swych światel i cieni, z wędrówką szumów i zamyśleń szedł wolno przez pokój, jak gdyby o tej godzinie Pana uniosły się wszystkie przegrody i ściany i przez świat cały przechodził w odpływie myśli i czucia dreszcz wszechobejmującej jedności.

Wieczory tego lata spędzałem w kinoteatrze miasteczka. Opuszczałem go po ostatnim przedstawieniu.

Z czerności sali kinowej, rozdartej popłochem latających światel i cieni, wchodziło się do cichego, jasnego westybulu<sup>263</sup>, jak z bezmiar nocy burzliwej do zacisznej gospody.

Po fantastycznej gonitwie po wertepach filmu uspokajało się zgonione serce po ekscesach ekranu w tej poczekalni jasnej, zamkniętej ścianami od naporu wielkiej patetycznej nocy, w tej przystani bezpiecznej, gdzie czas ustał od dawna, a żarówki wypuszczały nadaremnie jałowe światło, fala po fali, w rytmie raz na zawsze ustalonym przez głuchy tupot motoru, od którego lekko drżała budka kasjerki.

Ten westybul zanurzony w nudę późnych godzin, jak poczekalnie kolejowe dawno po odejściu pociągów, zdawał się chwilami ostatecznym tłem bytu, tym, co pozostanie, gdy przeminą wszystkie zdarzenia, gdy wyczerpie się zgłęb wielości. Na wielkim kolorowym afiszu Asta Nielsen<sup>264</sup> ślaniała się już na zawsze z czarnym stygmatem śmiertelnym na czole, raz na zawsze usta jej były otwarte w ostatnim krzyku, a oczy wyjęzione nadludzko i ostatecznie piękne.

Kasjerka dawno powędrowała do domu. Krzątała się teraz zapewne w swym pokoiku koło rozścielonego łóżka, które czekało na nią, jak łódka, by unieść ją między czarne laguny<sup>265</sup> snu, w zawikłania sennych przygód i awantur. Ta, co siedziała w budce, to tylko powłoka jej, fantom złudny patrzący znużonymi, jaskrawo malowanymi oczyma w pustkę światła, trzepocący bezmyślnie rzęsami dla strącenia złotego pyłu sennaści, sypiącego się

<sup>257</sup> *matriarchat* — władza kobiet, zwł. w obrębie rodziny. [przypis edytorski]

<sup>258</sup> *wegetatywnie* — tu: w sposób typowy dla roślin. [przypis edytorski]

<sup>259</sup> *mamka* — kobieta karmiąca piersią nie swoje dziecko. [przypis edytorski]

<sup>260</sup> *sankcja* — tu: uprawnienie. [przypis edytorski]

<sup>261</sup> *gynokracja* (z gr.) — władza kobiet. [przypis edytorski]

<sup>262</sup> *fular* — jedwabna chustka na szyję, noszona zamiast krawata. [przypis edytorski]

<sup>263</sup> *westybul* — reprezentacyjny przedpokój. [przypis edytorski]

<sup>264</sup> *Asta Nielsen* (1881–1972) — duńska gwiazda kina niemego. [przypis edytorski]

<sup>265</sup> *laguna* — płytka zatoka odcięta od otwartego morza. [przypis edytorski]



bez końca z lamp elektrycznych. Czasem uśmiechała się blade do sierżanta straży ognio-  
wej, który sam dawno opuszczony przez swą realność stał oparty o ścianę, na zawsze  
nieruchomy w swym lśniącym kasku, w jałowej świetności epoletów<sup>266</sup>, sznurów srebr-  
nych i medali. Z daleka brzęczały w rytmie motoru szyby szklanych drzwi prowadzących  
w późną noc lipcową, ale refleks elektrycznego pająka<sup>267</sup> oślepił szkło, negował noc, la-  
tał, jak mógł, złudzenie bezpiecznej przystani nie zagrożonej żywiołem ogromnej nocy.  
W końcu przecież czar poczekalni musiał prysnąć, drzwi szklane otwierały się, czerwona  
portiera<sup>268</sup> wzbierała tchem nocy, która nagle stawała się wszystkim.

Czy czujecie tajemny, głęboki sens tej przygody, gdy wąty i blade maturzysta wy-  
chodzi przez szklane drzwi z bezpiecznej przystani sam jeden w bezmiar nocy lipcowej?  
Czy przebrnie kiedyś te czarne moczary, trzęsawiska i przepaście nieskończonej nocy,  
czy wyląduje jakiegos poranku w bezpiecznym porcie? Ile dziesiątek lat trwać będzie ta  
czarna odyseja?

Nikt jeszcze nie napisał topografii nocy lipcowej. W geografii wewnętrznego kosmosu  
te karty są nie zapisane.

Noc lipcowa! Z czym by ją porównać, jak opisać? Czy porównam ją do wnętrza  
ogromnej czarnej róży nakrywającej nas snem stokrotnym tysiąca aksamitnych płatków?  
Wiatr nocny rozdmuchuje do głębi jej puszystość i na dnie wonnym dosięga nas spoj-  
rzenie gwiazd.

Czy porównam ją do czarnego firmamentu<sup>269</sup> naszych przymkniętych powiek, peł-  
nego wędrujących pyłów, białego maku gwiazd, rakiet i meteorów?

A może porównać ją do długiego jak świat, nocnego pociągu, jadącego nieskończo-  
nym czarnym tunelem? Iść przez noc lipcową, to przedzierać się z trudem z wagonu do  
wagonu, pomiędzy sennymi pasażerami, wśród ciasnych korytarzy, dusznych przedziałów  
i krzyżujących się przeciagów.

Noc lipcowa! Tajemny fluid<sup>270</sup> mroku, żywa, czujna i ruchliwa materia ciemności,  
nieustannie kształtująca coś z chaosu i każdy kształt natychmiast zarzucająca! Budulec  
czarny piętrzący dookoła sennego wędrowca pieczary, sklepienia, wnęki i nyże<sup>271</sup>! Jak na-  
trętny gaduła towarzyszy ona samotnemu wędrowcowi, zamykając go w kręgu swych wi-  
dziadeł, niezmordowana w wymyślaniu, bredzeniu, fantazjowaniu — halucynując przed  
nim gwiazdne dale, białe drogi mleczne, labirynty nieskończonych koloseów i forów. Po-  
wietrze nocy, ten czamy Proteusz<sup>272</sup> formujący dla zabawy aksamitne zgęszczenia, pasma  
jaśminowej woni, kaskady ozonu, nagle bezpowietrzne głuźce rosnące jak czarne banie  
w nieskończoność, potworne winogrona ciemności, wezbrane ciemnym sokiem. Przepy-  
cham się wśród tych ciasnych framug<sup>273</sup>, pochylam głowę pod te łuki i sklepienia nisko  
nawisie i oto nagle sufit urywa się, z gwiazdnym westchnieniem otwiera się na chwilę  
kopuła bezdenna, aby wnet zaprowadzić mnie znów między ciasne ściany, przejścia i fra-  
mugi. W tych zaciszach bez tchu, w tych zatokach ciemności stoją jeszcze urywki rozmów  
zostawione przez nocnych wędrowców, fragmenty napisów na plakatach, zgubione tak-  
ty śmiechu, pasma szepcót, których powiew nocy nie rozprószył. Czasem zamyka mnie  
noc, jakby w ciasnym pokoju bez wyjścia. Opanowuje mnie senność, nie zdaję sobie  
sprawy, czy nogi idą jeszcze, czy też od dawna spoczywam w tym hotelowym pokoiku  
nocy. Ale oto czuję aksamitny gorący pocałunek zgubiony w przestrzeni przez usta pach-  
nące, otwierają się jakieś żaluzje, przekraczam wysokim krokiem parapet okna i wędruję  
dalej pod parabolami gwiazd spadających. Z labiryntu nocy wychodzą dwaj wędrowcy.  
Plotą wspólnie, wyciągają z ciemności jakiś długi, beznadziejny warkocz rozmowy. Stu-  
ka monotonicznie parasol jednego z nich o bruk (takie parasole nosi się na deszcz gwiazd  
i meteorów), wałęsają się, jak pijane, wielkie głowy w baniastych melonikach. Kiedy in-  
dziej zatrzymuje mnie przez chwilę konspiracyjne spojrzenie czarnego zezowatego oka

<sup>266</sup>epolety — sukienne naramienniki, element munduru wojskowego. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>pająk — rozgałęziony żyrandol. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>portiera — zasłona z grubego materiału, umieszczana przy drzwiach. [przypis edytorski]

<sup>269</sup>firmament — sklepienie niebieskie, niebo, zwł. rozgwieżdżone. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>fluid — energia psychiczna. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>nyża (daw.) — nisza, wgłębienie. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>Proteusz (mit. gr.) — syn Posejdona, posiadający zdolność przybierania różnych kształtów. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>framuga — rama, do której umocowane jest okno bądź skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

i wielka koścista dłoń o wydatnych węzłach sztykuta przez noc na szczudle laski, zacięta dookoła rękojeści z rogu jeleniego (w takich laskach bywają ukryte długie, cienkie szpady).

Wreszcie na końcu miasta noc rezygnuje ze swych igraszek, zrzuca zasłonę, odsłania swą poważną i wieczną twarz. Już nie zabudowuje nas w złudnym labiryncie halucynacyj i majaków, otwiera przed nami gwiazdzistą swą wieczność. Firmament rośnie w nieskończoność, gwiazdozbiory płoną w swej świetności w pozycjach odwiecznych, rysując magiczne figury na niebie, jak gdyby chciały coś zwiastować, obwieścić coś ostatecznego swym przeraźliwym milczeniem. Od migotania dalekich tych światów płynie rechot żab, srebrny gwar gwiazdny. Lipcowe niebiosa sięją niesłyszalny mak meteorów, wsiąkający cicho w wszechświat.

O którejś godzinie nocy — konstelacje śniły na niebie swój sen odwieczny — znalazłem się znowu na mojej ulicy. Jakaś gwiazda stała u jej wylotu, pachnąc obcą wonią. Przeciąg szedł przez nią jak przez ciemny korytarz, gdy otwierałem bramę domu. W stołowym pokoju jeszcze świeciło się, kopciły cztery świece w brązowym kandelabrze. Szwagra jeszcze nie było. Od czasu wyjazdu siostry spóźniał się na kolację, przychodził późną nocą. Budząc się ze snu, widziałem go nieraz rozbierającego się ze wzrokiem tępym i zamyślnym. Potem gasił świecę, rozbierał się do naga i leżał długo bezsenny na chłodnym łóżku. Nie od razu zstępował nań niespokojny półsen, obezwładniający stopniowo jego wielkie ciało. Jeszcze mruczał coś, sapał, wzdychał ciężko, szamotał się z jakimś ciężarem, który przywalał mu piersi. Bywało czasem, że wybuchał nagle cichym, suchym szlochem. Przestraszony pytałem w ciemności: — Co ci jest, Karolu? — Ale on tymczasem już wędrował dalej na swej ciężkiej drodze sennej, pnąc się pracowicie na jakąś stromą górę chrapania.

Sen

Przez otwarte okno oddychała noc w wolnych pulsach. W jej wielkiej, nie uformowanej masie przelewał się chłodny pachnący fluid, w ciemnych jej bryłach rozluźniały się spojenia, przeciekały wąskie strużki woni. Martwa materia ciemności szukała wyzwolenia w natchnionych wzlotach woni jaśminowej, ale nieobjęte masy w głębi nocy leżały wciąż jeszcze nie wyzwolone i martwe.

Szpara drzwi do przyległego pokoju świeciła złotą struną, dźwięczną i czułą jak sen niemowlęcia, które tam kaprysiło w kołysce. Stamtąd dochodził szczebiot pieszczot, idylla<sup>274</sup> między mamką i dzieckiem, sielanka pierwszej miłości, cierpień i dąsów miłosnych, napierana zewsząd przez demony nocy, które zagęszczały ciemność za oknem, zwabione tą ciepłą iskierką życia, które tam tlało.

Miłość, Dziecko

Z drugiej strony przytykał pokój pusty i ciemny do naszego pokoju, a za nim sypialnia rodziców. Natężając ucho, słyszałem, jak ojciec mój uwisły u piersi snu dawał się ponosić w ekstazie w jego napowietrzne szlaki, całą istotą oddany temu dalekiemu lotowi. Śpiewne jego i dalekie chrapanie opowiadało dzieje tej wędrowki po niewiadomych wertepach snu.

Tak wchodziły dusze powoli w ciemne apohelium<sup>275</sup>, w bezsłoneczną stronę życia, której kształtów nikt żywy nie ujrzał. Leżeli jak umarli, rżąc strasznie i płacząc, podczas gdy czarne zaćmienie leżało głuchym ołowiem na ich duchu. A gdy mijali wreszcie czarny Nadir<sup>276</sup>, sam najgłębszy Orkus<sup>277</sup> dusz, gdy przewalczyli się w śmiertelnym pocie przez jego przedziwne przylądki, zaczynały znów miechy płuc wzbierać inną melodię, rosnąc natchnionym chrapaniem ku świtowi.

Głucha, gęsta ciemność tłoczyła ziemię, cielska jej leżały zabite jak czarne, bezwładne bydłeta z wywalonymi ozorami, lejąc ślinę z bezsilnych pysków. Ale jakaś inna woń, jakiś inny kolor ciemności zwiastował dalekie zbliżanie się świtu. Od zatrutych fermentów nowego dnia puchła ciemność, rosło jak na drożdżach fantastyczne jej ciasto, bujało w kształty obłądu, przelewało się przez wszystkie koryta i dzieże<sup>278</sup>, kiśło w pośpiechu, w panice, ażeby świt nie zaskoczył jej na tej rozpustnej płodności i nie przygwoździł na wieki tych wybujałości chorych, tych potwornych dzieci samoródtwa, wyrosłych z ce-

Noc

<sup>274</sup>idylla — sielanka. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>apohelium — najbardziej oddalony od słońca punkt orbity. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>Nadir — kierunek sfery niebieskiej przeciwległy do zenitu. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>Orkus (mit. rzym.) — demon śmierci a. kraina umarłych. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>dzieża — drewniane naczynie do wyrabiania ciasta. [przypis edytorski]

brów<sup>279</sup> chlebowych nocy, jak demony kąpiące się parami w dziecinnych wanienkach. To jest chwila, kiedy na najtrzeźwiejszą, na bezsenną głowę splywa przez moment zamroka senna. Chorzy, bardzo smutni i rozdarci, mają wtedy chwilę ulgi. Kto wie, jak długo trwa ten moment, przez który noc zapuszcza kurtynę na to, co się dzieje w jej głębi, ale ten krótki antrakt wystarczy do przestawienia sceny, do usunięcia ogromnej aparatury, do zlikwidowania wielkiej imprezy nocy z całą jej ciemną, fantastyczną pompą. Budzisz się, przestraszony, z uczuciem, żeś coś zapóźnił i w samej rzeczy widzisz na horyzoncie jasną smugę świtu i czarną konsolidującą się masę ziemi.

## Mój ojciec wstępuje do strażaków

W pierwszych dniach października powracaliśmy z matką z letniska, położonego w sąsiednim departamencie kraju, w lesistym dorzeczu Słotwinki, przesączonym źródlanym szmerem tysiąca strumieni. Mając jeszcze w uszach szelest olszyn przetykany świegotem praków, jechaliśmy w wielkiej starej landarze<sup>280</sup>, rozrosłej ogromną budą, jak ciemną rozłożystą gospodą, stłoczeni wśród tobołków, w głębokiej, aksamitem wyścielanej al-kowie<sup>281</sup>, w którą karta po karcie zapadały przez okno kolorowe obrazy pejzażu, jakby tasowane powoli z ręki do ręki.

Pod wieczór przyjechaliśmy na wywiany wiatrami płaskowyż, na wielkie, zdziwione rozdroże kraju. Niebo stało nad tym rozdrożem głębokie, zatchnione, obracające się w zenicie kolorową różą wiatrów. Tu była najdalsza rogatka kraju, zakręt ostatni, za którym otwierał się w dole rozległy i późny krajobraz jesieni. Tu była granica i tu stał stary, zmurszały słup graniczny z zatartym napisem i grał na wietrze.

Wielkie obręcze landary zazgrzytały i ugrzęzły w piasku, gadające, migotliwe szprychy umilkły, tylko wielka buda dudniła głucho, łopotała ciemno w krzyżowych wiatrach rozdroża jak arka osiadła na pustkowiach.

Matka płaciła myto<sup>282</sup>, żuraw rogatki podniósł się skrzypiąc, potem landara ciężko wjechała w jesień.

Wjechaliśmy w zwiędłą nudę ogromnej równiny, w spłowiełe i blade wianie, które otwierało tu nad żółtą dałą swą błogą i mdłą nieskończoność. Jakaś późna i ogromna wieczność wstawiała z wyblakłych dali i wiała.

Jak w starym romansie obracały się żółtkłe karty krajobrazu coraz bledsze i coraz bezsilniejsze, jakby się miały skończyć jakąś wielką rozwianą pustką. W tej rozwianej nicości, w tej żółtej nirwanie<sup>283</sup> mogliśmy byli zajechać poza czas i rzeczywistość i pozostać już na zawsze w tym krajobrazie, w tym ciepłym jałowym wianiu — nieruchomy dylizans na wielkich kołach, uwieźły wśród obłoków na pergaminie nieba, stara ilustracja, zapomniany drzeworyt w staroświeckim rozsypanym romansie — gdy woźnica ostatkiem sił szarpnął lejce i wyprowadził landarę ze słodkiego letargu tych wiatrów i skręcił w las.

Wjechaliśmy w gęstą i suchą puszystość, w tytoniowe więdnienie. Wnet stało się wokół nas zacisznie i brunatnie jak w skrzynce *Trabucos*. W tym cedrowym półmroku mijały nas pnie drzew suche i wonne, jak cygara. Jechaliśmy, las ciemniał coraz bardziej, pachniał coraz aromatyczniej tabaką, aż w końcu zamknął nas jak w suchym pudle wiolonczeli, którą wiatr głucho stroił. Woźnica nie miał zapalek, nie mógł zaświecić latarni. Konie, sapiąc w ciemności, instynktem znajdowały drogę. Klekot szprych zwolnił i przycichł, obręcze kół jechały miękko w pachnącym igliwiu. Matka zasnęła. Czas upływał nie liczony, tworząc dziwne węzły, abrewiatury<sup>284</sup> w swym upływie. Ciemność była nieprzenikniona, nad budą huczał jeszcze suchy szum lasu, gdy grunt zgruził się nagle pod kopytami koni w twardy bruk uliczny, wóz skręcił w miejscu i stanął. Stanął tak

<sup>279</sup> *ceber* — drewniane wiadro. [przypis edytorski]

<sup>280</sup> *landara* — ciężka karetka podróżna bądź ogólnie: niezgrabny pojazd. [przypis edytorski]

<sup>281</sup> *alkowa* (daw.) — pokój sypialny. [przypis edytorski]

<sup>282</sup> *myto* — opłata za przejazd bądź za przewóz towarów. [przypis edytorski]

<sup>283</sup> *nirwana* — w buddyzmie stan wyzwolenia się z cyklu narodzin i śmierci (reinkarnacji), wyzwalający duszę od cierpienia; przen. nicość, zatracenie. [przypis edytorski]

<sup>284</sup> *abrewiatura* — skrót, zwł. w dawnym piśmie odręcznym. [przypis edytorski]

blisko ściany, że otarł się o nią prawie. Wprost drzwiczek landary matka zmacała brameę domu. Woźnica wyładowywał tobołki.

Weszliśmy do wielkiej, rozgałęzionej sieni. Było tam ciemno, ciepło i zacisznie jak w starej pustej piekarni nad ranem, po wygaśnięciu pieca, albo jak w łaźni późną nocą, gdy opuszczone wanny i cebry stygną w ciemności, w ciszy odmierzanej kapaniem kroppli. Świerszcz wypruwał cierpliwie z ciemności złudne szwy światła, nikły ścieg, od którego nie stawało się jaśniej. Omackiem znaleźliśmy schody.

Gdyśmy osiągnęli skrzypiący podest na zakręcie, rzekła matka: — Zbudź się, Józefie, padasz z nóg, jeszcze tylko kilka stopni. — Ale nieprzytomny z senności, przytuliłem się mocniej do niej i zasnąłem na dobre.

Nigdy potem nie mogłem się od matki dowiedzieć, ile rzeczywistego było w tym, co widziałem owej nocy przez zamknięte powieki, zmorzony ciężkim snem, wciąż zapadając w głuchą niepamięć, a ile było płodem mojej imaginacji.

Była tu jakaś wielka rozprawa między moim ojcem, matką a Adelą, protagonistką<sup>285</sup> tej sceny, rozprawa o zasadniczym znaczeniu, jak dziś się domyślam. Jeżeli na darmo próbuję odgadnąć jej wciąż wymykający się sens, to winę ponoszą tu zapewne luki mej pamięci, ślepe plamy snu, które usiłuję wypełnić domysłem, supozycją<sup>286</sup>, hipotezą. Bezładny i nieprzytomny odpływałem wciąż na nowo w głuchą niewiedzę, podczas gdy na zapadłe powieki zstępował powiew nocy gwiaździstej, rozpiętej w oknie otwartym. Noc oddychała w czystych pulsach i nagle zrzucała przejrzystą zasłonę gwiazd, zaglądała z wysoka w mój sen swym starym i wiecznym obliczem. Promień dalekiej gwiazdy uwikłany w moich rzęsach rozlewał się srebrem na ślepym białku oka i przez szczeliny powiek widziałem pokój w świetle świecy zaplątanej w gmatwaninę złotych linii i gzygzaków<sup>287</sup>.

Być może zresztą, że scena ta odbyła się kiedy indziej. Wiele wskazuje na to, że byłem jej świadkiem dopiero znacznie później, gdy wracaliśmy któregoś dnia po zamknięciu sklepu z matką i subiektami<sup>288</sup> do domu.

Na progu mieszkania matka wydała okrzyk zdumienia i zachwytu, subiecki oniemieli olśnieni. Na środku pokoju stał świetny mosiężny rycerz, prawdziwy święty Jerzy wyogromniony kirasem<sup>289</sup>, złotymi puklerzami<sup>290</sup> naramienników, całym dźwięczącym rynsztunkiem polerowanych blach złotych. Z podziwem i radością poznałem nastroszone wąsy i zjeżoną brodę mego ojca, sterczącą spod ciężkiego pretoriańskiego<sup>291</sup> hełmu. Pancierz falował na wzburzonej jego piersi, mosiężne pierścienie oddychały szparami jak ciało ogromnego owada. Wyolbrzymiony zbroją w blasku blach złotych podobny był do archistratega zastępów niebieskich.

— Niestety, Adelo — mówił, ojciec — nigdy nie miałaś zrozumienia dla spraw wyższego porządku. Wszędzie i zawsze krzyżowałaś moje poczynania wybuchami bezmyślnej złości. Ale zakuty w zbroję, drwię sobie dziś z twego łaskotania, którym doprowadzałaś bezbronnego do rozpacz. Bezsilna wściekłość ponosi dziś twój język do godnej pożalowania swady<sup>292</sup>, której prostactwo i niewybredność miesza się z tępotą. Wierz mi, że napęlnia mnie ona tylko smutkiem i politowaniem. Pozbawiona szlachetnego polotu fantazji, pałasz nieświadomą zawiścią do wszystkiego, co wznosi się ponad pospolitość.

Adela zmierzyła ojca wzrokiem pełnym bezgranicznej pogardy i zwracając się do matki rzekła wzburzonym głosem, roniąc mimowolne łzy irytacji: — Zabiera cały nasz sok! Wynosi z domu wszystkie butle z sokiem malinowym, który usmażyliśmy razem tego lata! Chce go dać tym nicponiom pompierom<sup>293</sup> do wypicia. I w dodatku obsypuje mnie impertynencjami<sup>294</sup>. — Adela zaszlochała krótko. — Kapitan straży ogniowej, kapitan

<sup>285</sup>protagonista — główny aktor, przen.: człowiek, którego działanie jest w danej sprawie najważniejsze. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>supozycja — tymczasowe założenie. [przypis edytorski]

<sup>287</sup>gzygzak — dziś popr.: zygzak. [przypis edytorski]

<sup>288</sup>subiekti (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>289</sup>kiras — właśc. kirys, pancierz osłaniający korpus. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>puklerz — rodzaj okrągłej tarczy, tu ogólnie: pancierz. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>pretoriański — charakterystyczny dla pretorian, tj. dla straży przybożnej cesarzy rzymskich. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>swada — łatwość i płynność mówienia. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>pompier — strażak obsługujący pompę. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>impertynencja — nieuprzejmość. [przypis edytorski]

urwipolciów — wołała, mierząc ojca nienawistnym spojrzeniem. — Mam ich wszędzie pełno. Rano, gdy chcę zejść po pieczywo, nie mogę otworzyć drzwi. Naturalnie dwóch z nich zasnęło na progu w sieniach i zatarasowało wyjście. Na schodach, na każdym stopniu leży jeden w mosiężnym kasku i śpi. Napraszają się do kuchni, wpychają przez szparę drzwi swe królicze twarze w mosiężnych puszkach, strzygą dwoma palcami jak uczniaki w szkole i skomlą błagalnie: cukru, cukru... Wyrrywają mi z rąk wiaderko i lecą przynieść wodę, tańczą dookoła mnie, mizdrzą się<sup>295</sup>, merdają nieledwie ogonami. Łypią przy tym raz po raz czerwonymi powiekami i oblizują się wstrętnie. Wystarczy, żebym na którego spojrzęła bystro, a zaraz puchnie mu twarz czerwonym bezwstydnym mięsem jak indykowi. I takim dawać nasz sok malinowy!...

— Twoja pospolita natura — rzekł ojciec — plugawi wszystko, czego się dotknie. Nakreśliłaś obraz tych synów ognia godny twego mialkiego umysłu. Co do mnie, to cała moja sympatia należy do tego nieszczęśliwego rodu salamander, do tych biednych wydziedziczonych istot ognistych. Całą winą tego świetnego ongi rodu było, że oddał się w służbę ludzką, że zaprzedał się ludziom za łyżkę nędznej ludzkiej stawy. Odplacono mu za to pogardą. Tępota plebsu jest bezgraniczna. Doprowadzono te delikatne istoty do najgłębszego upadku, do ostatecznego znikczemnienia. Cóż dziwnego, że nie smakuje im wikt<sup>296</sup>, ten mdły i prostacki wikt, gotowany przez tercjanową<sup>297</sup> szkoły miejskiej we wspólnym kotle dla nich i dla areztantów miejskich? Ich podniebienie, delikatne i genialne podniebienie duchów ognistych, pożąda szlachetnych i ciemnych balsamów, aromatycznych i kolorowych fluidów<sup>298</sup>. Dlatego tej nocy uroczystej, gdy siedzicie będziemy odświętnie w wielkiej sali Stauropigii<sup>299</sup> miejskiej przy biało nakrytych stołach, w tej sali o wysokich, jasno oświetlonych oknach rzucających blask swój w głąb nocy jesiennej, a dookoła miasto zaroi się tysiącnymi światłami iluminacji<sup>300</sup>, będzie każdy z nas z pietyzmem i smakoszoństwem właściwym synom ognia maczał bułkę w pucharze soku malinowego i powoli popijał szlachetny ten i gęsty likwor. W ten sposób pokrzepia się wewnętrzna istota strażaka, regeneruje się bogactwo kolorów, które ten lud wyrzuca z siebie w postaci fajerwerków, rakiet i ogni bengalskich. Dusza moja pełna jest zmiłowania nad ich nędzą, nad ich niezawinioną degradacją. Jeżeli przyjąłem z ich rąk szablę kapitańską, to jedynie w nadziei, że uda mi się podnieść z upadku to plemię, wyprowadzić je z poniżenia i rozpiąć nad nim sztandar nowej idei.

— Jesteś cały odmieniony, Jakubie — rzekła matka — jesteś wspaniały. Nie odejdziesz przecież na noc z domu. Nie zapominaj, że od mego powrotu nie mieliśmy sposobności na dobre porozmawiać ze sobą. Co do pompierów zaś — rzekła, zwracając się do Adeli — to w samej rzeczy wydaje mi się, że kierujesz się jakimś uprzedzeniem. Są to mili chłopcy, chociaż nicponie. Patrzą zawsze z przyjemnością na tych wysmukłych młodzieńców w ich zgrabnych mundurach, nieco zanadto ściągniętych w pasie. Mają wiele naturalnej elegancji i wzruszająca jest ich gorliwość i zapał, z jakim gotowi są każdej chwili usłużyć damom. Ile razy wypadnie mi na ulicy parasolka z ręki, rozwiąże się wstążka bucika, zawsze nadbiega któryś z nich pełen przejęcia i żarliwej gotowości. Nie mam serca rozczarować tych gorących chęci i czekam zawsze cierpliwie, aż przybiegnie i usłuży mi, czym zdaje się być bardzo uszczęśliwiony. Gdy oddała się po dokonaniu rycerskiego obowiązku, otacza go natychmiast gromada kolegów omawiająca z nim żywo całe zajście, przy czym bohater odtwarza mimicznie, jak wszystko się odbyło. Na twoim miejscu korzystałabym chętnie z ich galanterii<sup>301</sup>.

— Uważam ich za darmożjadów — rzekł starszy subiekt Teodor. — Przecież nie dopuszczamy ich do gaszenia pożaru dla<sup>302</sup> ich dziecinnej nieodpowiedzialności. Wystarczy zobaczyć z jaką zazdrością przystają zawsze przed grupą chłopców, bawiących się rzucaniem guzików o ścianę, ażeby ocenić dojrzałość ich króliczego umysłu. Gdy do-

<sup>295</sup>mizdrzyć się — przymilać się do kogoś w denerwujący sposób. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>wikt — wyżywienie. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>tercjanowa (daw.) — woźna. [przypis edytorski]

<sup>298</sup>fluid — tajemnicza substancja bądź energia psychiczna. [przypis edytorski]

<sup>299</sup>stauropigia (z gr.) — użycie niejasne; w Kościele wschodnim klasztor stauopigialny podlegał bezpośrednio patriarsze, z pominięciem innych przełożonych. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>iluminacja — rzęsiste, świąteczne oświetlenie. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>galanteria — uprzejme i wyrafinowane zachowanie. [przypis edytorski]

<sup>302</sup>dla (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

chodzi z ulicy dziki wrzask zabawy, można prawie na pewno, wyjrzawszy przez okno, ujrzeć wśród gromady chłopców tych dryblasów zaaferowanych i zgonionych, nieprzytomnych niemal w rozruchu gonitwy. Na widok pożarów szaleją z radości, klaszczą w ręce i tańczą jak dzicy. Nie, do gaszenia niepodobna<sup>303</sup> ich użyć. Używamy do tego kominarzy i milicjantów miejskich. Pozostają tylko zabawy i święta ludowe, przy których są nieodzowni. Na przykład przy tzw. szturmie na Kapitol o ciemnym świecie, jesienią przebierają się za Kartagińczyków i oblegają z piekielnym hałasem wzgórze Bazylińskie. Wszyscy śpiewają wówczas *Hannibal, Hannibal ante portas*<sup>304</sup>.

Przy tym pod koniec jesieni stają się leniwi i ospali, zasypiają stojąc, a gdy pierwszy śnieg spadnie, nie widać ich na lekarstwo. Opowiadał mi pewien stary zdun<sup>305</sup>, że przy naprawianiu kominów znajduje się ich wczepionych w kanał dymnika, nieruchomych jak poczwaraki, w ich szkarłatnych uniformach i lśniących kaskach. Śpią tak stojąc, upici sokiem malinowym, pełni wewnątrz lepkiej słodyczy i ognia. Wyciąga się ich wtedy za uszy i prowadzi do koszar, pijanych snem i nieprzytomnych, przez poranne jesienne ulice, kolorowe od pierwszych przymrozków, podczas gdy gawieź uliczna rzuca za nimi kamieniami, a oni uśmiechają się swym zawstydzonym uśmiechem pełnym winy i złego sumienia i ślaniają się jak pijani na nogach.

— Jakkolwiek bądź — rzekła Adela — soku im nie dam. Nie po to psułam sobie cerę przy kuchni, smażąc go, ażeby ci nicponie go wypili.

Zamiast odpowiedzi ojciec mój podniósł gwizdawkę do ust i gwizdnął przeraźliwie. Jak gdyby podsłuchiwali u dziurki od klucza, wpadli czterej wysmukli młodzieńcy i uszeregowali się pod ścianą. Pokój rozjaśnił się od blasku ich hełmów, a oni, stanąwszy w wojskowej postawie, ciemni i opaleni pod jasnymi szyszakami, czekali na rozkaz. Na znak ojca dwaj z nich pochwycili z obu stron wielką butlę w plecionce z wikliny, pełną purpurowego płynu, i nim Adela zdołała im przeszkodzić, już zbiegli z tupotem ze schodów, unosząc łup drogocenny. Dwaj pozostali, oddawszy wojskowy ukłon, oddalili się za tamtymi.

Przez chwilę zdawało się, że Adela da się porwać do czynów niepoczytalnych, takie ognie miotają jej piękne oczy. Ale ojciec nie czekał na wybuch jej gniewu. Jednym skokiem znalazł się na parapecie okna i otworzył ramiona. Pobiegliśmy za nim. Rynek zasiany rzęsiste światłami roił się od kolorowych tłumów. Pod naszym domem ośmiu strażaków rozciągało w koło wielkie płótno żaglowe. Ojciec odwrócił się raz jeszcze, zabłysnął całym przepychem rynsztunku, salutując nas w milczeniu, potem z otworzonymi ramionami, jasny jak meteor, skoczył w noc płonąca tysiącem światła. Był to tak piękny widok, że wszyscy w zachwycie klasnęliśmy w dłonie. Nawet Adela, zapominając swej urazy, przyklasnęła temu skokowi, wykonanemu z taką elegancją. Mój ojciec tymczasem zeskoczył elastycznie z prześcieradła i wstrząsnąwszy z chrzęstem blaszane skorupy, stanął na czele oddziału, który, odpadając dwójkami, rozwinął się podczas marszu w długi rząd i oddalał się powoli ciemnym szpalerem tłumu, błyszcząc się mosiężnymi puszkami kasków.

## Druga jesień

Wśród wielu prac naukowych, podejmowanych przez mego ojca w rzadkich chwilach spokoju i uciszenia wewnętrznego, pomiędzy ciosami klęsk i katastrof, w jakie obfitowało to życie awanturnicze i burzliwe — najbliższe jego sercu były studia nad meteorologią porównawczą, a zwłaszcza nad specyficznym klimatem naszej prowincji, pełnym jedy-nych w swoim rodzaju osobliwości. On to właśnie, mój ojciec, położył podstawy pod umiejętną analizę formacji klimatycznych. Jego *Zarys ogólnej systematyki jesieni* wyjaśnił raz na zawsze istotę tej pory roku, która w naszym klimacie prowincjonalnym przybiera tę przewleklą, rozgałęzioną, pasożytniczo rozrosłą formę, która pod nazwą „chińskiego lata” przeciąga się daleko w głąb naszych zim kolorowych. Cóż powiedzieć? On pierwszy

Piękno, Choroba

<sup>303</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne a. niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>*Hannibal, Hannibal ante portas* (łac.) — Hannibal, Hannibal u bram. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>zdun — rzemieślnik stawiający i naprawiający piece. [przypis edytorski]

wyjaśnił wtórny, pochodny charakter tej późnej formacji, nie będącej niczym innym, jak pewnego rodzaju zatruciem klimatu miazmatami<sup>306</sup> przejrzałej i wyradzającej się sztuki barokowej, stłoczonej w naszych muzeach. Ta rozkładająca się w nudzie i zapomnieniu sztuka muzealna przecukrza się, zamknięta bez odpływu, jak stare konfitury, przesładza nasz klimat i jest przyczyną tej pięknej, malarycznej febry, tych kolorowych delirów<sup>307</sup>, którymi agonizuje ta przewlekła jesień. Piękno jest bowiem chorobą, uczył mój ojciec, jest pewnego rodzaju dreszczem tajemniczej infekcji, ciemną zapowiedzią rozkładu, wstającą z głębi doskonałości i witaną przez doskonałość westchnieniem najgłębszego szczęścia.

Kilka rzeczowych uwag o naszym muzeum prowincjonalnym niechaj w tym miejscu posłuży do lepszego zrozumienia sprawy... Początek jego sięga XVIII wieku i wiąże się z godnym podziwu zapalem kolekcjonerskim oo. bazylianów, którzy obdarzyli miasto tą pasożytniczą naroślą, obciążającą budżet miejski nadmiernym i nieproduktywnym wydatkiem. Przez szereg lat skarb Republiki, odkupiwszy za bezcen te zbiory od zubożonego zakonu, rujnował się wielkodusznie na to mecenasostwo, godne jakiejś królewskiej rezydencji. Ale następna już generacja ojców miasta, bardziej praktycznie zorientowana i nie zamykająca oczu na konieczności gospodarcze, po bezskutecznych pertraktacjach z kuratorią arcyksiążęcych zbiorów, której usiłowała to muzeum sprzedać — zamknęła je, zlikwidowała zarząd, wyznaczywszy dla ostatniego kustosa dożywotnią emeryturę. W czasie tych pertraktacji stwierdzone zostało przez rzeczoznawców ponad wszelką wątpliwość, że wartość tych zbiorów była grubo przeceniana przez patriotów lokalnych. Poczciwi ojcowie nabyli w chwalebny zapale niejedną falsyfikat. Muzeum to nie zawierało ani jednego obrazu pierwszorzędnego mistrza, ale za to całe kolekcje trzecio — i czwartorzędnych, całe szkoły prowincjonalne, tylko fachowcom znane, zapomniane, ślepe uliczki historii sztuki.

Rzecz dziwna: poczciwi mnisi mieli upodobania militarne, większa część obrazów była treści batalistycznej. Spalony złoty mrok ciemniał na tych zetlałych od starości płótnach, na których floty galer i karaweli, stare zapomniane armady<sup>308</sup> butwiały<sup>309</sup> w zatokach bez odpływu, kołysząc na wzdętych żaglach majestat dawno zaginionych republik. Spod zadymionych i pociemniałych werniksów<sup>310</sup> majaczyły ledwo widoczne zarysy konnych potyczek. Przez pustkę spalonych kampanij, pod niebem ciemnym i tragicznym przeciągały w groźnej ciszy skłębione kawalkady<sup>311</sup>, ujęte z obu stron w spiętrzenia i wykwyty artyleryjskiego ognia.

Na obrazach neapolitańskiej szkoły starzeje się bez końca popołudnie smagłe<sup>312</sup> i wędzone, jakby widziane przez ciemną butelkę. Pociemniałe słońce zdaje się więdnąć w oczach w tych straconych krajobrazach, jak w przeddzień kosmicznej katastrofy. I dlatego tak blahe są uśmiechy i gesty złotych rybaczek, sprzedających z manierycznym wdziękiem wiązki ryb wędrownym komediantom. Cały ten świat jest dawno osądzony i dawno zamierzchły. Stąd ta słodycz bezgraniczna ostatniego gestu, który sam jeden jeszcze trwa — sobie samemu daleki i zgubiony, wdąż na nowo powtarzany, już niezmienny.

A dalej jeszcze w głębi tego kraju, zamieszkałego przez beztroski lud wesolków, arlekinów<sup>313</sup> i pataszników z klatkami, w tym kraju bez powagi i bez rzeczywistości wyplaskują małe Turczynki pulchnymi rękami miodowe placki ułożone na deskach, dwaj chłopcy w neapolitańskich kapeluszach noszą kosz pełen gwarnych gołębi na kiju, który ugina się lekko pod tym gruchającym skrzydlatym ciężarem. A jeszcze głębiej, na samej krawędzi wieczoru, na ostatnim skrawku ziemi, gdzie na granicy mętnozłotej nicości chwieje się więdnący pęk akantu<sup>314</sup> — toczy się jeszcze wciąż partia kart, ostatnia stawka ludzka przed wielką nocą, która nadciąga.

<sup>306</sup>*miazmaty* (daw.) — wyziewy rozkładającej się materii organicznej. [przypis edytorski]

<sup>307</sup>*delirium* — zaburzenia świadomości połączone z halucynacjami. [przypis edytorski]

<sup>308</sup>*armada* (daw.) — flota wojenna. [przypis edytorski]

<sup>309</sup>*butwieć* — rozkładać się wskutek oddziaływania powietrza i wilgoci. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>*werniks* — substancja na bazie żywicy, którą pokrywa się powierzchnię obrazu. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>*kawalkada* — poruszająca się razem grupa jeźdźców. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>*smagły* — ciemny, o oliwkowym odcieniu (zazw. o skórze, twarzy itp). [przypis edytorski]

<sup>313</sup>*arlekin* — postać sprytnego, zakochanego sługi z komedii dell'arte. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>*akant* — roślina ozdobna. [przypis edytorski]

Całą tę rupieciarnię starego piękna poddano bolesnej destylacji pod ciśnieniem lat całych nudy.

— Czy potraficie zrozumieć — pytał mój ojciec — rozpacz tego skazanego piękna, jego dni i noce? Ciągłe na nowo porywa się ono do złudnych licytacji, inscenizuje udane wyprzedaże, hałaśliwe i tłumne aukcje, pasjonuje się dzikim hazardem, gra na baisse<sup>315</sup>, rozrzuca gestem utracjusza, marnotrawi swe bogactwo, ażeby, trzeźwiejąc, spostrzec, że wszystko to jest daremne, że nie wyprowadza poza zamknięty krąg skazanej na siebie doskonałości i nie może ulżyć bolesnemu nadmiarowi. Nic dziwnego, że ta niecierpliwość, ta bezradność piękna musiała się w końcu wzwiercić w nasze niebo, rozgorzeć luną nad naszym horyzontem, wyrodzić się w te kuglarstwa<sup>316</sup> atmosferyczne, w te arangementy<sup>317</sup> obłoczne, ogromne i fantastyczne, które nazywam naszą drugą, naszą pseudojesienią. Ta druga jesień naszej prowincji nie jest niczym innym jak chorą fatamorganą<sup>318</sup>, wypromieniowaną w wyolbrzymionej projekcji na nasze niebo przez umierające, zamknięte piękno naszych muzeów. Jesień ta jest wielkim wędrownym teatrem kłamiącym poezją, ogromną kolorową cebulą łuszczącą się płatek po płatku coraz nową panoramą. Nigdy nie dotrzeć do żadnego sedna. Za każdą kulisą, gdy zwiędnie i zwinie się z szelestem, ukaze się nowy i promienny prospekt<sup>319</sup>, przez chwilę żywy i prawdziwy, zanim, gasnąc, nie zdradzi natury papieru. I wszystkie perspektywy są malowane i wszystkie panoramy z tektury i tylko zapach jest prawdziwy, zapach wędnących kulis, zapach wielkiej garderoby, pełen szminki i kadzidła. A o zmierzchu ten wielki nieporządek i gmatwanina kulis, ten zamęt porzuconych kostiumów, wśród których brodzi się bez końca, jak wśród szeleszczących, zwiędłych liści. I jest wielkie bezhołowie<sup>320</sup>, i każdy ciągnie za sznury kurtyn, i niebo, wielkie jesienne niebo, wisi w strzępach prospektów i pełne jest skrzywienia bloków. I ta pośpieszna gorączka, ten zdyszany i późny karnawał, ta panika nadrannych sal balowych i wieża Babel masek, które nie mogą trafić do swych szat prawdziwych.

Jesień, jesień, aleksandryjska epoka roku, gromadząca w swych ogromnych bibliotekach jałową mądrość 365 dni obiegu słonecznego. O, te poranki starcze, żółte jak pergamin, słodkie od mądrości jak późne wieczory! Te przedpołudnia uśmiechnięte chytrze jak mądre palimpsesty<sup>321</sup>, wielowarstwowe jak stare poźółkle księgi! Ach, dzień jesienny, ten stary filut-bibliotekarz, łączący w spelzłym szlafroku po drabinach i kosztujący z konfitur wszystkich wieków i kultur! Każdy krajobraz jest mu jak wstęp do starego romansu. Jakże się świetnie bawi, wypuszczając bohaterów dawnych powieści na spacer pod to zadymione i miodne niebo, w tę mętną i smutną, późną słodycz światła! Jakich nowych przygód dozna Donkiszot w Soplicowie? Jak ułoży się życie Robinsonowi po powrocie do rodzinnego Bolechowa?

W duszne, nieruchome wieczory, złote od zórz, odczytywał nam ojciec wyjątki ze swego manuskryptu. Porywający lot idei pozwalał mu chwilami zapomnieć o groźnej obecności Adeli.

Przyszły ciepłe wiatry moldawskie, nadciągnęła ta ogromna żółta monotonia, to słodkie, jałowe wianie z południa. Jesień nie chciała się skończyć. Jak bańki mydlane wstawały dni coraz piękniejsze i eteryczniejsze i każdy wydawał się tak do ostatnich granic wyszlachetniony, że każda chwila trwania była cudem przedłużonym nad miarę i niemal bolesnym.

W ciszy tych dni głębokich i pięknych zmieniała się niepostrzeżenie materia listowia, aż pewnego dnia stały drzewa w słomianym ogniu całkiem zdematerializowanych liści, w krasie lekkiej jak wykwit plewy, jak nalot kolorowych *confetti*<sup>322</sup> — wspaniałe pawie i feniksy, które wstrząsnąć się tylko muszą i zatrzepotać, ażeby strącić to świetne, lżejsze od bibułki, wylinione i niepotrzebne już pierze.

<sup>315</sup>*baisse* — *bessa*, spadek wartości akcji. [przypis edytorski]

<sup>316</sup>*kuglarstwo* — sztuczka. [przypis edytorski]

<sup>317</sup>*arangement* (z fr.) — układ, sposób zaaranżowania. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>*fatamorgana* — złudzenie optyczne, polegające na przybliżaniu odległych widoków za sprawą różnych współczynników załamania światła w warstwach powietrza o różnej temperaturze. [przypis edytorski]

<sup>319</sup>*prospekt* — tu: widok, perspektywa. [przypis edytorski]

<sup>320</sup>*bezhołowie* (reg.) — dezorganizacja. [przypis edytorski]

<sup>321</sup>*palimpsest* — papirus, którego zawartość staro, by nadpisać nową. [przypis edytorski]

<sup>322</sup>*confetti* — kolorowe kawałki papieru, którymi obsypują się uczestnicy balu. [przypis edytorski]



# Martwy sezon

## I

O piątej godzinie rano — rano jaskrawe od wczesnego słońca, dom nasz kąpał się już od dawna w żarliwym i cichym blasku porannym. O tej solennej godzinie, nie podglądany przez nikogo, wchodził on cały po cichu — podczas gdy przez pokoje w półmroku spuszczonej storów<sup>323</sup> szedł jeszcze solidarnie zgodliwy oddech śpiących — w fasadę płonąca w słońcu, w ciszę wczesnego żaru, jakby był ulepiony na całej powierzchni z błogo uśpionych powiek. Tak, korzystając z ciszy tych uroczystych godzin, chłonał najpierwszy ogień poranka twarzą uśpioną błogo, mdlejącą w blasku, lineaturą rysów drgających lekko przez sen od marzeń tej natężonej godziny. Cień akacji przed domem, falujący jaskrawo na tych gorących powiekach, powtarzał na ich powierzchni, jak na fortepianie, wciąż na nowo ten sam polyskliwy swój frazes, splukiwany przez powiew — próbując nadaremnie wnikać w głąb tego snu złotego. Płócienne story chłoneły poranny pożar, porcja za porcją, i opalały się smagło<sup>324</sup>, omdlewając w bezbrzeżnym blasku.

O tej wczesnej godzinie ojciec mój, nie mogąc już znaleźć snu, schodził ze schodów, obladowany księgami, ażeby otworzyć sklep znajdujący się w parterze kamienicy. Przez chwilę stał w bramie nieruchomy, wytrzymując z przymkniętymi oczyma potężny atak ognia słonecznego. Osłoneczniona ściana domu wciągała go słodko w swą płaskość zniwelowaną<sup>325</sup> błogo, wygładzoną do zaniku. Na chwilę stawał się ojcem płaskim, wrośniętym w fasadę, i czuł, jak ręce rozgałęzione, drżące i ciepłe zablizniają się płasko wśród złotych sztukaterij<sup>326</sup> fasady. (Iluż ojców wrosło już tak na zawsze w fasadę domu o piątej godzinie rano, w chwili gdy zstępowali z ostatniego stopnia schodów. Iluż ojców stało się w ten sposób na zawsze odźwiernymi własnej bramy, płasko rzeźbionymi na framudze<sup>327</sup>, z ręką na klamce i z twarzą rozwiązana w same równoległe i błogie bruzdy, po których potem wodzą miłośnicie palce synów, szukając ostatnich śladów ojcowskich, wtopionych już na zawsze w uniwersalny uśmiech fasady.) Ale potem odrywał się ostatkiem woli, odzyskiwał trzeci wymiar i, znów uczłowiczony, uwalniał okute drzwi sklepu od kłódek i sztab żelaznych.

Gdy otwierał to ciężkie, okute żelazem skrzydło drzwi sklepowych, mrukliwy mrok cofał się o krok od wejścia, odsuwał się o piędź<sup>328</sup> w głąb sklepu, przemieszczał się i układał leniwie w głębi. Dymiąc niewidzialnie z chłodnych jeszcze płyt chodnika, świeżość poranna stawała nieśmiało na progu nikłą, drgającą strugą powietrza. W głębi leżała ciemność wielu poprzednich dni i nocy w nie napoczętych balach sukna, ułożona warstwami, biegnącą szpalerami w głąb, w stłumionych pochodach i wędrówkach, aż ustawała bezsilnie w samym sednie sklepu, w ciemnym magazynie, gdzie rozwiązywała się, już niezróżniczkowana<sup>329</sup> i nasycona sobą, w głuchą mającą pramaterię sukienną.

Ojciec szedł wzdłuż tej wysokiej ściany szewiotów<sup>330</sup> i kortów<sup>331</sup>, wodząc ręką po sztorcach bali sukiennych jak po rozporach sukien kobiecych. Pod jego dotknięciem uspokajały się te rzędy ślepych kadłubów<sup>332</sup>, zawsze gotowe do popłochu, do przełamania ordynku<sup>333</sup>, umacniały się w swych sukiennych hierarchiach i porządkach.

Dla ojca mego był sklep nasz miejscem wiecznych udręczeń i zgryzot. Ten twór jego rąk nie od dziś zaczynał — dorastając — napierać nań z dnia na dzień coraz natarczywiej, przerastać go groźnie i niezrozumiale. Był on dla niego nadmiernym zadaniem, zadaniem nad siły, zadaniem wzniosłym i nie objętym. Ogrom tej pretensji przerażał go. Z grozą

<sup>323</sup>story — zasłony. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>smagły — (o cerze, skórze) ciemny, oliwkowy. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>zniwelowany — tu: wyrównany. [przypis edytorski]

<sup>326</sup>sztukateria — ornamenty na ścianach lub na sklepieniu wykonane z gipsu bądź stiuku. [przypis edytorski]

<sup>327</sup>framuga — rama, do której przymocowane jest okno lub skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

<sup>328</sup>piędź — dawna miara długości. [przypis edytorski]

<sup>329</sup>niezróżniczkowana — dziś popr.: niezróżnicowana. [przypis edytorski]

<sup>330</sup>szewiot — rodzaj tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>kort — ciężka tkanina wełniana. [przypis edytorski]

<sup>332</sup>kadłub — ciało, tułów. [przypis edytorski]

<sup>333</sup>ordynek (daw.) — szyk, porządek. [przypis edytorski]

wpatrzony w jej wielkość, której całym swym życiem rzuconym na tę jedną kartę nie mógł zadośćuczynić — widział z rozpaczą lekkomyślność subiektów<sup>334</sup>, płochy<sup>335</sup>, beztroski optymizm, figlarne i bezmyślne ich manipulacje, przebiegające na marginesie tej wielkiej sprawy. Z gorzką ironią badał tę galerię twarzy nie zmaconych żadną troską, czół nie zaatakowanych żadną ideą, gruntował<sup>336</sup> do dna te oczy, których niewinnej ufności nie mącił najlżejszy cień podejrzenia. Cóż mogła mu pomóc matka z całą swą lojalnością i oddaniem? Refleks tej rzeczy nadmiernej nie dosięgał jej duszy prostej i niezagrożonej. Nie była stworzona do zadań heroiczych. Czyż nie widział, jak poza jego plecami porozumiewała się prędkim spojrzeniem z subiektami, rada<sup>337</sup> z każdej chwili nie nadzorowanej, w której mogła brać udział w ich bezmyślnych błazeństwach?

Od tego świata lekkomyślnej beztroski odgraniczał się ojciec coraz bardziej, uciekał w twardą regułę swego zakonu. Przerazony rozwiązłością szerzącą się wokoło, zamykał się w samotnej służbie wysokiego ideału. Nigdy ręka jego nie popuszczała zaciągniętych cugli<sup>338</sup>, nigdy nie pozwalał sobie na zwolnienie rygoru, na wygodną łatwiznę.

Na to mógł sobie pozwolić Bałanda i Ska i ci inni dyletanci branży, którym obcy był głód doskonałości, asceza wysokiego mistrzostwa. Ojciec patrzył z boleścią na upadek branży. Kto z dzisiejszej generacji kupców bławatnych<sup>339</sup> znał jeszcze dobre tradycje dawnej sztuki, kto z nich wiedział jeszcze na przykład, że kolumna bali sukiennych, ułożona w półkach szafy w myśl zasad sztuki kupieckiej, musiała pod zjeżdżającym z góry na dół palcem wydać ton jak gama klawiszy? Komu z dzisiejszych dostępne były ostatnie finezje stylu w wymianie not, memorandumów i listów? Kto znał jeszcze cały urok dyplomacji kupieckiej, dyplomacji dobrej starej szkoły, cały ten pełen napięcia przebieg negocjacji, od nieprzejednanej sztywności, od zamkniętej rezerwy przy pojawieniu się pełnomocnego ministra zagranicznej firmy poprzez powolne tajanie pod wpływem niezmiordowanych zabiegów i umizgów<sup>340</sup> dyplomaty aż do wspólnej kolacji, z winem, podanej na biurku, na papierach, w podniosłym nastroju, wśród szczypania pośladków usługującej Adeli i wśród pieprznej i swobodnej rozmowy, jak między panami, którzy wiedzą, co winni są chwili i okoliczności — a zakończoną obustronnie korzystnym interesem?

W ciszy tych godzin porannych, podczas których skwar dojrzywał, ojciec mój spodziewał się znaleźć szczęśliwy i natchniony chwyt, którego potrzebował, by zakończyć list do panów Chrystiana Seipla i Synów, przędzalnie i tkalnie mechaniczne. Była to cięta odprawa dana nieuzasadnionym rozszczeniom tych panów, replika<sup>341</sup> urwana właśnie w decydującym miejscu, gdzie styl listu miał podnieść się do mocnej i dowcipnej pointy szczytowej, w momencie której następowało to spięcie elektryczne, wyczuwalne lekkim dreszczem wewnętrznym, a po którym już tylko opaść mógł zwrotem zrobionym z rozmachem, z elegancją, i już zamykającym i definitywnym. Czuł kształt tej pointy, która mu się od dni wymykała, miał ją nieomal między palcami, wciąż nieuchwytną. Brakło mu tej chwili szczęśliwego humoru, momentu szczęśliwej werwy, ażeby wziąć szturmem przeszkodę, o którą za każdym razem się rozbijał. Wciąż na nowo sięgał po czysty arkusz, ażeby ze świeżego rozpędu sforsować trudność urągającą jego wysiłkom.

Tymczasem sklep zaludniał się stopniowo subiektami. Wchodzili czerwoni od wczesnego żaru, omijając z daleka biurko ojca, ku któremu zerkali trwożliwie, pełni złego sumienia.

Pełni zmazy i słabości, czuli na sobie ciężar jego milczącej dezaprobaty, której nic przeciwstawić nie mogli. Nic nie mogło przebłągać tego zamkniętego w swych troskach szefa, żadną gorliwością nie można go było udobruchać, zaczajonego jak skorpion za biurkiem, znad którego błyszczał jadowicie szklami okularów, szeleszcząc jak mysz wśród papierów. Podniecenie jego rosło, nieokreślona pasja wznosiła się, w miarę jak żar słońca nasilał się coraz bardziej. Czworobok blasku na podłodze pałał. Metaliczne i lśniące mu-

<sup>334</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>335</sup>płochy — lekkomyślny. [przypis edytorski]

<sup>336</sup>gruntować — tu: zgłębiać. [przypis edytorski]

<sup>337</sup>rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>338</sup>cugle — wodze. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>kupiec bławatny (daw.) — kupiec handlujący tkaninami. [przypis edytorski]

<sup>340</sup>umizgi (daw.) — zaloty. [przypis edytorski]

<sup>341</sup>replika — tu: odpowiedź. [przypis edytorski]

chy polne przecinały błyskawicami wejście do sklepu, stawały na chwilę na szpaletach<sup>342</sup> drzwi, jakby wydmuchane ze szkła metalicznego — bańki szklane wytchnięte z gorącej fajeczki słońca, z huty szklanej tego dnia płomiennego, stawały z rozszerzonymi skrzydełkami, pełne lotu i chyżości, i wymieniały swe miejsca we wściekłych gzygzakach<sup>343</sup>. W jasnym czworoboku drzwi omdlewały w blasku dalekie lipy parku miejskiego, odległa sygnaturka kościoła majaczyła całkiem blisko w tym przejrzystym i drgającym powietrzu jak w soczewce lunety. Błaznane dachy pałały. Nad światem wzdymała się ogromna, złota bania upału.

Rozdrażnienie ojca rosło. Rozglądał się bezradnie, skurczony boleśnie, wycieńczony diareą<sup>344</sup>. W ustach miał smak bardziej gorzki od piołunu.

Upał wzmagął się, wyostrzał wściekłość much, wyiskrzył światliste punkty na ich metalicznych odwłokach. Czworobok światła doszedł do biurka i papiery płonęły jak Apokalipsa. Oczy oświetlone nadmiarem światła nie mogły już utrzymać jego białej jednolitości. Przez swe grube szkła chromatyczne widzi ojciec wszystkie przedmioty obrzeżone purpurą, w fioletowo-zielonych obwódkach, i ogarnia go rozpacz nad tą eksplozją kolorów, nad tą anarchią barw, szalejącą nad światłem w świetlanych orgiach. Ręce jego drżą. Podniebienie jest gorzkie i suche jak przed atakiem. W szparach zmarszczek zaczajone oczy śledzą z uwagą rozwój wypadków w głębi.

## II

Gdy w południowej godzinie ojciec, już na granicy oblędu, bezradny z upału, drżąc z bezprzedmiotowego wzburzenia, wycofywał się do górnych pokoi i pułapy piętra trzaskały w ciszy to tu, to tam pod jego zaczajonym przykucnięciem, w sklepie nastawała chwila paazy i odprężenia — przychodziła godzina sjesty południowej.

Subiekci koziołkowali na balach sukna, rozbijali na półkach sukienne namioty, zwieszali huštawki z draperii. Odwijali głuche bale, wypuszczali na wolność puszystą, stokrotnie zwiniętą, stuletnią ciemność. Zleżały od lat, pilśniowy mrok wypuszczony na wolność napełniał górne przestrzenie wonią innego czasu, zapachem dni przeszłych, ułożonych cierpliwie niezliczonymi warstwami za dawnych, chłodnych jesieni. Ślepe mole wysypywały się w zmroczniałym powietrzu, puszek pierza i wełny krążyły po całym sklepie z tym wysiewem ciemności i zapach apretury<sup>345</sup>, głęboki i jesienny, napełniał to ciemne obozowisko sukna i aksamitu. Biwakując wśród tego obozowiska, myśleli subiekci o figlach i kawalach. Dawali się kolegom zawijać ciasno aż po uszy w ciemne, chłodne sukno i leżeli tak rzędem, błogo znieruchomieli pod stosem bali — żywe postawy<sup>346</sup>, mumie sukienne, toczące oczyma z udanym przerażeniem nad swą nieruchomością. Albo dawali się bujać i podrzucać aż pod sufit na ogromnych rozpostartych obrusach sukna. Głuchy łopot tych płacht i wianie wachlowanego powietrza wprawiało ich w nieprzytomny zachwyty. Zdawało się, że cały sklep zrywa się do lotu, sukna wstawały natchnione, subiekci wlatywali z rozwianymi połami, jak prorocy, w krótkotrwałych wniebowstąpieniach. Matka patrzyła przez palce na te figle, rozluźnienie tych godzin sjesty usprawiedliwiała w jej oczach najgorsze wybryki.

Latem zarastał sklep dziko i niechlujnie zielskiem. Od strony podwórza, od magazynu, okno zieleniało całe od chwastów i pokrzyw, podwodne i migotliwe od lśnień listnych, od falujących refleksów. Jak na dnie starej zielonej butelki bzykały w nim muchy w półmroku długich, letnich popołudni w nieuleczalnej melancholii — chore i monstrualne okazy wyhodowane na słodkim winie ojca, kosmaci samotnicy, oplakujący dzień cały swój los przeklęty, w długich monotonicznych epepejach. Ta zwyrodniała rasa much sklepowych, skłonna do dzikich i niespodzianych mutacji, obfitowała w osobniki zdziwaczale, płody kazirodczych skrzyżowań, wyradzała się w jakąś nadrasę ociężałych olbrzymów, weteranów o głębokim i żalobnym timbrze<sup>347</sup>, dzikich i posępnych druidów własnego cierpienia. Ku końcowi lata wylęgli się wreszcie ci samotni pogrobowcy, już

Mucha

<sup>342</sup>szpalety — drewniana boazeria wokół drzwi. [przypis edytorski]

<sup>343</sup>gzygzak — dziś popr.: zygzak. [przypis edytorski]

<sup>344</sup>diareja (daw.) — biegunka. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>apretura — substancja, którą nasycane są tkaniny na ostatnim etapie obróbki. [przypis edytorski]

<sup>346</sup>postaw (daw.) — jednostka miary tkanin. [przypis edytorski]

<sup>347</sup>timbre a. tembr — barwa głosu. [przypis edytorski]

ostatni z rodu, podobni do wielkich niebieskich żuków, niemi już i bez głosu, ze zmarniałymi skrzydłami, i dokonywali smutnego żywota, zbiegając bez końca zielone szyby w niez mordowanych i błędnych wędrówkach.

Drzwi rzadko otwierane zarastały pajęczyną. Matka spała za biurkiem, w hamaku z sukna zawieszzonego między półkami. Subiekci, trapieni przez muchy, drgali, pełni grymasów, rzucając się w niespokojnym śnie letnim. Na podwórzu tymczasem rozrastało się zielsko. Pod dziką spieką<sup>348</sup> słońca plenił się śmietnik generacjami ogromnych pokrzyw i ślazów.

Z zetknięcia słońca i odrobiny wody gruntowej zaczynała się na tym kawałku ziemi zjadliwa substancja zielska, swarliwy odwar, jadowity derywat<sup>349</sup> chlorofilu<sup>350</sup>. Tam warzył się ten febryczny ferment w słońcu i bujał w lekkie formacje listne, wielokrotne, ząbkowane i pomarszczone, powtórzone tysiąckrotnie według jednego wzoru, według utajonej w nich jedynej idei. Dorwawszy się swojej chwili, ta zaraźliwa koncepcja, ta płomienna i dzika idea szerzyła się jak ogień — zażegnęta<sup>351</sup> słońcem rośla pod oknem pustą, bibulastą paplaniną zielonych pleonazmów<sup>352</sup>, lichota zielna rozmnożona stokrotnie w niewybredne, wierutne brednie — papierowa tandetna łatanina, tapetująca ścianę magazynu coraz większymi szelestnymi płatami, puchnącymi włochato, tapeta na tapecie. Subiekci budzili się z przelotnej drzemki z wypiekami na twarzy. Dziwnie podnieceni, podnosili się z posłania pełni gorączkowej przedsiębiorczości, imaginując<sup>353</sup> heroiczne bufanady<sup>354</sup>. Trawieni nudą, kołysali się na wysokich półkach i bębniłi nogami, wypatrywali nadaremnie pustą przestrzeń rynku, wymiecioną skwarem, za jakąkolwiek przygodą.

Zdarzało się wtedy, że kmiotek ze wsi, bosy i zgrzebny, przystawał we drzwiach sklepu z wahaniem, nieśmiało zaglądając do środka. Dla znudzonych subiektów była to gratka nie lada. Błyskawicznie spuszczały się z drabin, jak pająki na widok muchy, i wnet otoczony, ciągniony i popychany, zasypywany tysiącem pytań odcinał się chłopek z zawstydzonym uśmiechem indagacjom<sup>355</sup> natrętów. Skrobał się w głowę, uśmiechał się, patrzył z nieufnością na przymilnych lowelasów. A więc o tytoń chodziło? Ale jaki? Czy najprzedniejszy, macedoński, bursztynowozłoty? Nie? Wystarczał zwykły, fajkowy? Machorka? Tylko bliżej, bliżej proszę. Bez obawy. Subiekci dyrygowali go wśród komplementów lekkimi szturchańcami w głąb sklepu, ku bocznej ładzie przy ścianie. Subiekt Leon, wszedłszy za kontuar, usiłował wysunąć fikcyjną szufladę. O, jakże męczył się biedny, jak przygryzał wargi z daremnego wysiłku. Nie! Należało walić w brzuch lady pięściami z rozmachem, z całej siły. Kmiotek, zachęcony przez subiektów, czynił to z przejęciem, pełen uwagi i skupienia. Wreszcie, gdy to nie pomagało, wylał na stół, tupając bosymi nogami, zgarbiony i siwiutki. Zanosiliśmy się od śmiechu.

Wtedy to zaszedł ten godny pożałowania incydent, który nas wszystkich napenił smutkiem i wstydem. Nikt z nas nie był bez winy, jakkolwiek nie działaliśmy w złej woli. Była to raczej nasza lekkomyślność, brak powagi i zrozumienia dla wysokich trosk ojca, była to raczej nasza nieopatrność, która przy nieobliczalnej, zagrożonej, skłonnej do ostateczności naturze ojca doprowadziła do tych następstw prawdziwie fatalnych.

Podczas gdy stojąc w półkolu bawiliśmy się w najlepsze, ojciec wsunął się cicho do sklepu.

Przeoczyliśmy moment jego wejścia. Spostrzegliśmy go dopiero, gdy nagle zrozumienie związku rzeczy przeszło go błyskawicą i wykrzywiło jego twarz dzikim paroksyzmem zgrozy. Matka przybiegła przerażona: — Co ci jest, Jakubie? — zawołała bez tchu. Chciała go, zrozpaczona, uderzyć w plecy jak kogoś, kto się zadławił. Ale już było za późno. Ojciec zjeżył się cały i nasrożył, twarz jego rozkładała się pośpiesznie na symetryczne człony przerażenia, przepoczwarczała się niewstrzymanie w oczach — pod ciężarem nie objętej klęski. Nim zdołaliśmy zrozumieć, co się stało, zawibrował gwałtownie, zabzyczał i wionął

Ojciec, Mucha

<sup>348</sup>spieka — dziś: spiekota. [przypis edytorski]

<sup>349</sup>derywat — pochodna. [przypis edytorski]

<sup>350</sup>chlorofil — substancja odpowiedzialna za proces fotosyntezy, nadająca liściom zieloną barwę. [przypis edytorski]

<sup>351</sup>zażec (daw.) — zapalić. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>pleonazm — błędne wyrażenie składające się ze słów oznaczających to samo. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>imaginować — wyobrazić sobie. [przypis edytorski]

<sup>354</sup>bufanada — pozowanie, przechwałki. [przypis edytorski]

<sup>355</sup>indagacja — dopytywanie się, wypytywanie. [przypis edytorski]

nam przed oczyma monstrualną, buczącą, kosmatą muchą stałowobłękitną, objającą się w oszalałym locie o wszystkie ściany sklepu. Przejęci do głębi, słuchaliśmy beznadziejnego lamentu, głuchej skargi modulowanej wymownie, przebiegającej w dół i w górę przez wszystkie rejestry niezgłębionego bólu, nieutulonego cierpienia, pod ciemnym sufitem sklepu.

Staliśmy skonsterowani<sup>356</sup>, głęboko zawstydzeni tym żalonym faktem, unikając nawzajem naszych spojrzeń. W głębi serca czuliśmy pewną ulgę, że w chwili krytycznej znalazł jednak to wyjście z głębokiego blamażu<sup>357</sup>. Podziwialiśmy bezkompromisowy heroizm, z jakim bez opamiętania rzucił się w tę ślepą uliczkę desperacji, z której, zdawało się, nie było już powrotu. Należało zresztą ten krok ojca wziąć *cum grano salis*<sup>358</sup>. Był to raczej gest wewnętrzny, demonstracja gwałtowna i rozpaczliwa, operująca jednak minimalną dozą rzeczywistości. Nie trzeba zapominać: większość tego, co tu opowiadamy, położyć można na karb tych aberracji<sup>359</sup> letnich, tej kanikularnej<sup>360</sup> półrzeczywistości, tych nieodpowiedzialnych marginaliów, przebiegających bez żadnej gwarancji na rubieżach<sup>361</sup> martwego sezonu.

Nasłuchiwaliliśmy w milczeniu. Była to wyrafinowana zemsta ojca, odwet jego na naszych sumieniach. Byliśmy odtąd na zawsze skazani słyszeć to żalodne niskie buczenie, skarżące się coraz natarczywiej, coraz boleśniej, i raptem milknące. Przez chwilę wykosztowaliśmy z ulgą tę ciszę, tę dobroczynną pauzę, podczas której budziła się w nas nieśmiała nadzieja. Lecz po chwili powracało nieukozone, coraz bardziej płacziwe i rozdrażnione, i rozumieliśmy, że dla tego bezbrzeżnego bólu, dla tej buczącej kłątwy skazanej na bezdomne objanie się o wszystkie ściany — nie było mety<sup>362</sup> ani wyzwolenia. Ten głuchy na wszystkie perswazje, płacziwy monolog i te pauzy, podczas których zdawał się na chwilę zapominać o sobie, ażeby potem obudzić się z tym głośniejszym i gniewnym płaczem, jak gdyby odwoływał z rozpaczą poprzednią chwilę ukojenia — rozdrażniały nas do głębi. Cierpienie, któremu nie ma kresu, cierpienie z uporem zamknięte w kręgu swej manii, cierpienie z zapamiętaniem, z zaciekłością samo siebie biczujące — staje się w końcu nieznośne dla bezradnych świadków nieszczęścia. Ten nieustanny, gniewny apel do naszej litości zawierał w sobie zbyt wyraźny wyrzut, zbyt jaskrawe oskarżenie naszego własnego błogostanu, ażeby nie budzić sprzeciwu. Replikowaliśmy<sup>363</sup> wszyscy w duchu, pełni wściekłości zamiast skruchy. Czy już naprawdę nie było dlań innego wyjścia, jak rzucić się na oślep w ten stan żalony i beznadziejny, i czy, popadłszy weń, ze swojej czy naszej winy, nie mógł znaleźć więcej hartu ducha, więcej godności, ażeby go znieść bez skargi? Matka tylko z trudnością hamowała gniew. Subiekci, siedząc na drabinach w tępych osłupieniu, marzyli krwawo, gonili w myśli z plackiem skórzanym po półkach i oczy zachodziły im czerwono. Markiza<sup>364</sup> płócienna nad portalem falowała jaskrawo w upale, popołudniowy skwar pędził milami jasnej równiny, pustosząc daleki świat pod sobą, a w półmroku sklepu, pod ciemnym sufitem krążył mój ojciec zaplątany bez wyjścia w pętlice swego lotu, oszalały, sam siebie motający w desperackich gzygzakach swej gonitwy.

Mucha

### III

Jak małe w gruncie rzeczy znaczenie wbrew wszelkim pozorom mają takie epizody, wynika z faktu, że jeszcze tego samego dnia wieczorem siedział mój ojciec jak zwykle nad swymi papierami — incydent zdawał się być dawno zapomniany, głęboki uraz przezwyciężony i zatarty. Naturalnie, że wstrzymywaliśmy się od wszelkich aluzji. Patrzyliśmy z zadowoleniem, jak w zupełnej pozornie równowadze ducha, w pogodnej jakoby kontemplacji zapisywał skrętnie stronica za stronicą swym kaligraficznym, równym pismem. Tym trudniej za to dawały się zatrzeć ślady kompromitującej osobistości biednego kmiot-

<sup>356</sup>skonsterowany — zakłopotany. [przypis edytorski]

<sup>357</sup>blamaż — kompromitacja. [przypis edytorski]

<sup>358</sup>cum grano salis (łac.) — z ziarenkiem soli, przen.: z ironią i dystansem. [przypis edytorski]

<sup>359</sup>aberracja — odchylenie od normy. [przypis edytorski]

<sup>360</sup>kanikularny (daw.) — wakacyjny, letni. [przypis edytorski]

<sup>361</sup>rubież — granica. [przypis edytorski]

<sup>362</sup>meta — tu: kres, koniec. [przypis edytorski]

<sup>363</sup>replikować — odpowiadać. [przypis edytorski]

<sup>364</sup>markiza — składany daszek nad oknem lub drzwiami. [przypis edytorski]

ka — wiadomo, jak uporczywie zakorzeniają się tego rodzaju pozostałości na pewnych podłożach. Przeoczyliśmy go umyślnie w ciągu tych pustych tygodni, tańczącego w tym ciemnym kącie na ladzie, z dnia na dzień mniejszego, z dnia na dzień bardziej szarego. Niemal już niedostrzegalny, podrygiwał jeszcze wciąż w tym samym miejscu na swoim posterunku, uśmiechnięty dobrodusznie, zgarbiony nad ladą, pukał niez mordowanie, uważnie nasłuchując, mówił coś po cichu do siebie. Pukanie stało się jego właściwym powołaniem, w którym zatracił się bezpowrotnie. Nie odwoływaliśmy go. Zbyt daleko już był zaszedł, ażeby go jeszcze można było osiągnąć.

Dni letnie nie mają zmierzchu. Nim obejrzeliliśmy się, była już noc w sklepie, zapalono wielką lampę naftową i sprawa sklepowa toczyła się dalej. W te krótkie noce letnie nie opłacało się wracać do domu. Podczas gdy godziny nocy płynęły, siedział ojciec w pozornym skupieniu i znał marginesy listów dotknięciami pióra w czarne latające gwiazdki, diabluki atramentu, puszki kosmate, wirujące błędnie w polu widzenia, atomy ciemności oderwane od wielkiej nocy letniej za drzwiami. Ta noc za drzwiami prószyla jak purchawka, wysiewał się w cieniu umbr<sup>365</sup> ten czarny mikrokosmos ciemności, zaraźliwa wysypka nocy letnich. Okulary oślepiły go, lampa naftowa wisiała za nimi jak pożar otoczony gmatwaniną błyskawic. Ojciec czekał, czekał niecierpliwie, i nasłuchiwał wpatrzony w jaskrawą biel papieru, przez którą płynęły te ciemne galaktyki czarnych gwiazd i pyłów. Poza plecami ojca, niejako bez jego udziału, toczyła się wielka rozgrywka o sprawę sklepu, toczyła się, rzecz dziwna, na obrazie wiszącym za jego głową, między registraturą a lustrem, w jasnym świetle lampy naftowej. Był to obraz-talizman, obraz niedocieczony, obraz-zagadka, interpretowany bez końca, wędrujący z generacji w generację. Cóż przedstawiał? Była to nieskończona dysputa tocząca się od wieków, nigdy nie dokończony proces między dwiema rozbieżnymi zasadami. Stali tam naprzeciw siebie dwaj kupcy, dwie antytezy, dwa światy. — Ja sprzedawałem na kredyt — krzyczał chudy, obdarty i osłupiały, i głos załamywał mu się z rozpacz. — Ja sprzedawałem za gotówkę — odpowiadał gruby w fotelu, przekładając nogę przez nogę i kręcąc kciukami splecionych na brzuchu dłoni. Jakże nienawidził ojciec grubego. Znał ich od dziecka. Już na szkolnej ławie napelniał go wstrętem ten opasły egoista pożerający nieskończoną ilość bułek z masłem na pauzach. Ale nie solidaryzował się i z chudym. Ze zdumieniem patrzył, jak cała inicjatywa wymykała mu się z rąk, zagarnięta przez tych dwóch dysputujących. Z zapartym oddechem, ze znieruchomiałym zezem z przesuniętych okularów oczekiwał ojciec wyniku, zjeżony i do głębi przejęty.

Sklep, sklep był niezgłębiony. Był on metą wszystkich myśli, nocnych dociekań, przerażonych zadumań ojca. Niedocieczony i bez granic stał on poza wszystkim, co się działo, mroczny i uniwersalny. W dzień leżały te sukienne generacje, pełne patriarchalnej powagi, ułożone podług starszeństwa, uszeregowane podług pokoleń i descendencji<sup>366</sup>. Ale nocą wylamywała się buntownicza, sukienna czarność i szturmowała niebo w pantomicznych tyradach<sup>367</sup>, w lucyferycznych improwizacjach. Jesienią szumiał sklep, wypływał ze siebie wezbrany ciemnym sortymentem zimowego towaru, jak gdyby całe hektary lasów ruszyły z miejsca wielkim, szumiącym krajobrazem. W lecie, w martwym sezonie, mroczniał i cofał się do swych ciemnych rezerwatów, niedostępny i mrukliwy w swym sukienym mateczniku. Subiekci walili po nocach drewnianymi łokciami, jak cepami, w głuchą ścianę bali, nasłuchując, jak ryczał boleśnie w głębi, zamurowany w niedźwiedzim jądrze sukienym.

Po tych głuchych stopniach pilśni ojciec zstępował w głąb genealogii, na dno czasów. Był ostatnim z rodu, był Atlase, na którego barkach spoczywał ciężar ogromnego testamentu. Dniami i nocami ojciec rozmyślał nad tezą tego testamentu, usiłował w nagłym błysku zrozumieć jego meritum. Nieraz patrzył pytająco, pełen oczekiwania, na subiektów. Sam bez znaków w swej duszy, bez lśnień, bez dyrektyw oczekiwał, że tym młodym i naiwnym, dopiero co przepoczwarczonym, objawi się nagle sens sklepu, który się przed nim zatajał. Przypierał ich do ściany uporczywym mruganiem, ale oni, tępi i belkocący, uchylali się od jego spojrzenia, uciekali wzrokiem, plotąc w zamieszaniu wierutne nonsensy. Rankami, wsparty na wysokiej lasce, wędrował ojciec, jak pasterz, wśród tej ślepej

<sup>365</sup>umbra (daw.) — abażur. [przypis edytorski]

<sup>366</sup>descendencia (z łac.) — pochodzenie. [przypis edytorski]

<sup>367</sup>tyrada — gniewny lub patetyczny monolog. [przypis edytorski]

welnianej trzody, tych tłumnych zatorów, tych falujących kadłubów beczących, bez głowy, przy wodopoju. Jeszcze czekał, odwlekał jeszcze tę chwilę, kiedy podźwignie cały swój lud i ruszy w zgiekliwą noc tym objuczonym, mrowiącym się, stokrotnym Izraelem...

Noc za drzwiami była jak z ołowiu — bez przestrzeni, bez powiewu, bez drogi. Po paru krokach kończyła się ślepo. Dreptało się, jak w półśnie, w miejscu u tej prędkiej granicy i podczas gdy nogi więzły, wyczerpawszy skąpą przestrzeń, myśl biegła dalej, bez końca, indagowana nieustannie, brana na spytki, prowadzona przez wszystkie manowce tej czarnej dialektyki. Dyferencjalna analiza<sup>368</sup> nocy toczyła się z siebie samej. Aż w końcu nogi ustawały zupełnie w tym głuchym zaułku bez odpływu. Stało się tam po ciemku, w najintymniejszym zakątku nocy, jakby przed pisuarem, w głuchej ciszy, całymi godzinami, z uczuciem błęgiego blamażu. Tylko myśl, pozostawiona sobie, odkręcała się z wolna, zawiła anatomia mózgu odwijala się jak z kłębka i wśród zjadliwej dialektyki toczył się bez końca abstrakcyjny traktat nocy letniej, przekoziołkowywany przez niestrudzone i cierpliwe indagacje, sofistyczne<sup>369</sup> pytania, na które nie było odpowiedzi. Tak prze-filozofowywał się z trudem przez spekulatywne przestrzenie tej nocy i wchodził, już bezcielesny, w ostateczną głąszkę.

Było już głęboko po północy, gdy ojciec mój podniósł raptownie głowę znad papierów. Powstał pełen ważności, z rozszerzonymi oczyma, cały w słuch zamieniony. — Idzie — rzekł z rozpromienioną twarzą — otwórzcie. — Nim starszy subiekt Teodor podbiegł do szklanych drzwi, zatarasowanych nocą, już przecisnął się przez nie obładowany tobołami, czarnobrody, świetny i uśmiechnięty — gość dawno oczekiwany. Pan Jakub do głębi wzruszony wybiegł naprzeciw, kłaniając się, i wyciągnął obie ręce. Objęli się. Przez chwilę zdawało się, że czarna, niska, błyszcząca lokomotywa pociągu zajechała bezgłośnie pod same drzwi sklepu. Bagażowy w kolejowej czapce wniósł na plecach ogromny kufer.

Nie dowiedzieliśmy się nigdy, kim był naprawdę ten gość znakomity. Starszy subiekt Teodor utrzymywał niezłomnie, że był to w własnej osobie Chrystian Seipel i Synowie (przędzalnie i tkalnie mechaniczne). Niewiele przemawiało za tym, matka nie tała zastrzeżeń co do tej koncepcji. Jakkolwiek jednak rzecz się miała, nie było wątpliwości, że musiał to być potężny demon, jeden z filarów Krajowego Związku Kredytorów. Czarna aromatyczna broda okalała jego twarz tłustą, błyszczącą i pełną dostojeństwa. Otoczony przez ojca ramieniem, szedł wśród ukłonów do biurka.

Nie rozumiejąc cudzoziemskiej mowy, słuchaliśmy z respektem tej ceremonialnej konwersacji pełnej uśmiechów, przymykania oczu, delikatnego i pełnego czułości klepania się po plecach. Po wymianie tych wstępnych grzeczności panowie przeszli do rzeczy właściwej. Rozłożono księgi i papiery na biurku, odkorkowano butelkę białego wina. Korzenne cygara w kątach ust, z twarzą ściągniętą w grymas opryskliwego ukontentowania wymieniali panowie krótkie parole<sup>370</sup>, jednozgłoskowe znaki porozumiewawcze, palcem przytrzymując kurczowo właściwą pozycję księgi, z filuternym błyskiem augurów<sup>371</sup> w spojrzeniu. Z wolna dyskusja stawała się gorętsza, znać było z trudem hamowane wzburzenie. Zakąsywali wargi, cygara wisiały, gorzkie i wygasłe, z twarzy nagle zawiedzionych i pełnych niechęci. Drżeli z wewnętrznego wzburzenia. Ojciec mój oddychał przez nos, z wypiekami pod oczyma, włosy zjeżyły mu się nad spoconym czołem. Sytuacja zaogniała się. Była chwila, iż obaj panowie zerwali się ze swych miejsc i stali nieprzytomni, sapiąc ciężko i błyszcząc ślepo szklami okularów. Przerażona matka błagalnie zaczęła klepać ojca po plecach, chcąc zapobiec katastrofie. Na widok damy obaj panowie oprzytomnieli, przypomnieli sobie kodeks towarzyski, ukłonili się sobie z uśmiechem i zasiedli do dalszej pracy.

Około drugiej po północy ojciec zatrzasnął wreszcie ciężką okładkę księgi głównej. Z niepokojem śledziliśmy w twarzach obu rozmówców, na którą stronę przechylało się zwycięstwo. Humor ojca wydawał się nam sztuczny i wymuszony, natomiast czarnobrody rozpierał się w fotelu ze skrzyżowanymi nogami i oddychał cały życzliwością i optymizmem. Z ostentacyjną hojnością rozdzielał napiwki między subiektów.

<sup>368</sup> *dyferencjalna analiza* — analiza zwracająca uwagę na różnice. [przypis edytorski]

<sup>369</sup> *solistyczny* — tu: oparty na fałszywej argumentacji. [przypis edytorski]

<sup>370</sup> *parol* — słowo. [przypis edytorski]

<sup>371</sup> *augur* — wróżbita w starożytnym Rzymie. [przypis edytorski]

Złożywszy papiery i rachunki, panowie podnosili się znad biurka. Ich miny były nader obiecujące. Mrugając do subiektów porozumiewawczo, dawali do poznania, że pełni są przedsiębiorczości. Markowali ochotę na tęgą birbantkę<sup>372</sup> za plecami matki. Były to czcze przechwałki. Subiektci wiedzieli, co o tym myśleć. Ta noc nie prowadziła nigdzie. Kończyła się nad rynsztokiem, w wiadomym miejscu, ślepą ścianą nicości i wstydliwego blamażu. Wszystkie ścieżki w nią prowadzące wracały do sklepu z powrotem. Wszystkie eskapady w głąb jej przestworów przedsięwzięte miały od początku złamane skrzydła. Subiektci odmrużywali z grzeczności.

Czarnobrody i ojciec, ująwszy się pod ramię, wyszli ze sklepu pełni ochoczości, odprowadzani pobłażliwymi spojrzzeniami subiektów. Tuż za drzwiami gilotyna nocy ucięła im jednym zamachem głowy, plusnęli w noc jak w czarną wodę.

Kto zbażał bezdeń nocy lipcowej, kto przemierzył, ile sążni w głąb leci się w próżnię, w której się nic nie dzieje? Przeleciawszy całą tę czarną nieskończoność, stali znowu przed drzwiami sklepu, jak gdyby dopiero co wyszli, odzyskując stracone głowy z wczorajszym jeszcze słowem nieużytych na ustach. Stojąc tak, nie wiedzieć jak długo, gawędzili monotonie, niby to wracając z dalekiej wyprawy, związani koleżeństwem rzekomych przygód i awantur nocnych. Zesuwali wstecz kapelusze gestem podchmielonych, zataczali się na miękkich nogach.

Omijając oświetlony portal sklepu, weszli chyłkiem w bramę domu i zaczęli cichaczem przeprować się przez skrzypiące schody piętra. Tak przedostali się na tylny ganek przed okno Adeli i usiłovali zaglądać do śpiącej. Nie mogli jej dostrzec, leżała w cieniu z rozchylonymi udami, spazmując bezprzytomnie w objęciach snu, z głową wstecz odrzuconą i płonąca, fanatycznie snom zaprzysięgła. Dzwonili w czarne szyby, śpiewali sprośne kuplety<sup>373</sup>. Ale ona, z letargicznym uśmiechem na rozchylonych ustach, wędrowała drętwą i katalęptyczną<sup>374</sup> na swych dalekich drogach, o mile oddalona i niedosięgła.

Wtedy, rozwaleni na poręczy balkonu, ziewali szeroko i głośno, już zrezygnowani, i bębniłi nogami w deski balustrady. O jakiejś późnej i niewiadomej godzinie nocy znajdowali swe ciała, nie wiadomo jakim sposobem, na dwóch wąskich łóżeczkach, unoszone na wysoko spiętrzonych pościeli. Płynęli równolegle, śpiąc na wyścigi, wyprzedzając się na przemian pracowitym galopem chrapania.

Na którymś kilometrze snu — czy nurt senny złączył ich ciała, czy sny ich niepostrzeżenie zeszyły się w jedno? — uczyli w jakimś punkcie tej czarnej bezprzeźrzeni, że leżąc sobie w objęciach walczą ze sobą ciężkim bezprzytomnym zmaganiem. Dyszeli sobie w twarz wśród jałowych wysiłków. Czarnobrody leżał na ojcu jak Anioł na Jakubie. Ale ojciec ścisnął go ze wszystkich sił kolanami i odpływając drętwo w głuchą nieobecność, kradł jeszcze po kryjomu krótką posilną drzemkę między jedną rundą a drugą. Tak walczyli, o co? o imię? o Boga? o kontrakt? — zmagali się w śmiertelnym pocie, dobywając z siebie ostatniej siły, podczas gdy nurt snu unosił ich w coraz dalsze i dziwniejsze okolice nocy.

## IV

Nazajutrz ojciec kulął lekko na jedną nogę. Twarz jego promieniała. O samym świcie znalazł gotową i olśniewającą pointę listu, o którą walczył daremnie tyle dni i nocy. Czarnobrodego nie ujrzelśmy więcej. Wyjechał nad ranem z kufrem i tobołami, nie żegnając się z nikim. Była to ostatnia noc martwego sezonu. Od tej nocy letniej licząc, zaczęło się dla sklepu siedem długich lat urodzaju.

# Sanatorium Pod Klepsydrą

## I

Podróż trwała długo. Na tej bocznej, zapomnianej linii, na której tylko raz na tydzień

Podróż

<sup>372</sup>birbantka — pijatyka. [przypis edytorski]

<sup>373</sup>kuplet — zwrotka piosenki satyrycznej. [przypis edytorski]

<sup>374</sup>katalęptyczny — patologicznie odrętwiały. [przypis edytorski]



kursują pociągi — jechało zaledwie paru pasażerów. Nigdy nie widziałem tych wagonów archaicznego typu, dawno wycofanych na innych liniach, obszernych jak pokoje, ciemnych i pełnych zakamarków. Te korytarze załamujące się pod różnymi kątami, te przedziały puste, labiryntowe i zimne miały w sobie coś dziwnie opuszczonego, coś niemal przerażającego. Przenosiłem się z wagonu do wagonu w poszukiwaniu jakiegoś przytulnego kąta. Wszędzie wiało, zimne przeciągi torowały sobie drogę przez te wnętrza, przewiercały na wskroś cały pociąg. Tu i ówdzie siedzieli ludzie z węzłkami na podłodze, nie śmiejąc zająć pustych kanap nadmiernie wysokich. Zresztą te ceratowe, wypukłe siedzenia zimne były jak lód i lepkie od starości. Na pustych stacjach nie wsiadał ani jeden pasażer. Bez gwizdu, bez sapania pociąg ruszał powoli i jakby w zamyśleniu w dalszą drogę.

Przez jakiś czas towarzyszył mi człowiek w podartym mundurze kolejowca, milczący, pograżony w myślach. Przyciskał chustkę do spuchniętej, obolałej twarzy. Potem i ten gdzieś przepadł, wysiadł niepostrzeżenie na którymś przystanku. Zostało po nim wyciśnięte miejsce w słomie, zalegającej podłogę, i czarna, zniszczona walizka, którą zapomniał.

Brodząc w słomie i odpadkach, szedłem chwiejnym krokiem od wagonu do wagonu. Drzwi przedziałów chwiały się w przeciągu, na przestrzał otwarte. Nigdzie ani jednego pasażera. Wreszcie spotkałem konduktora w czarnym mundurze służby kolejowej tej linii. Owijał szyję grubą chustką, pakował swoje manatki, latarkę, książkę urzędową. — Dojeżdżamy, panie — rzekł spojrzawszy na mnie całkiem białymi oczyma. Pociąg powoli stawał, bez sapania, bez stukotu, jak gdyby życie powoli zeń uchodziło wraz z ostatnim tchnieniem pary. Staliśmy. Cisza i pustka, żadnego budynku stacyjnego. Pokazał mi jeszcze, wysiadając, kierunek, w którym leżało Sanatorium. Z walizą w ręku poszedłem białym wąskim gościńcem, uchodzącym niebawem w ciemny gąszcz parku. Z pewną ciekawością przyglądałem się pejzażowi. Droga, którą szedłem, wznosiła się i wyprowadzała na grzbiet łagodnej wyniosłości, z której obejmowało się wielki widnokrąg. Dzień był całkiem szary, przygaszony, bez akcentów. I może pod wpływem tej aury, ciężkiej i bezbarwnej, ciemniała cała ta wielka misa horyzontu, na której aranżował się rozległy, lesisty krajobraz ułożony kulisowo<sup>375</sup> z pasm i warstw zalesienia, coraz dalszych i bardziej szarych, spływających smugami, łagodnymi spadami, to z lewej, to z prawej strony. Cały ten ciemny krajobraz, pełen powagi, zdawał się ledwie dostrzegalnie płynąć sam w sobie, przesuwając się mimo<sup>376</sup> siebie jak chmurne i spiętrzone niebo pełne utajonego ruchu. Płynne pasy i szlaki lasów zdawały się szumieć i rosnać na tym szumie jak przyptyły morza wzbierający niedostrzegalnie ku lądowi. Wśród ciemnej dynamiki lesistego terenu wyniesiona biała droga wiała się jak melodia grzbietem szerokich akordów, naciskana naporem potężnych mas muzycznych, które ją w końcu pochłaniały. Uszczknąłem gałązkę z przydrożnego drzewa. Zieleń liści była całkiem ciemna, niemal czarna. Była to czerń dziwnie nasyciona, głęboka i dobroczynna jak sen pełen mocy i posilności. I wszystkie szarości krajobrazu były pochodnymi tej jednej barwy. Taki kolor przybiera krajobraz niekiedy u nas w chmurny zmierzch letni, nasycony długimi deszczami. Ta sama głęboka i spokojna abnegacja<sup>377</sup>, to samo zdrętwienie zrezygnowane i ostateczne, nie potrzebujące już pociechy barw.

W lesie było ciemno jak w nocy. Szedłem omackiem po cichym igliwiu. Gdy drzewa się przerzedziły, zadudniły mi pod nogami belki mostu. Na drugim jego końcu, wśród czerni drzew majaczyły szare wielookienne ściany hotelu, reklamującego się jako Sanatorium. Podwójne szklane drzwi u wejścia były otwarte. Wchodziło się w nie wprost z mostku ujętego z obu stron w chwiejne balustrady z gałęzi brzoźowych. W korytarzu panował półmrok i solenna cisza. Zacząłem na palcach posuwać się od drzwi do drzwi, czytając w ciemności umieszczone nad nimi numery. Na zakręcie natknąłem wreszcie na pokojówkę. Wybiegła z pokoju, jakby się wyrwała z czyichś rąk natrętnych, zdyszana i wzburzona. Ledwo rozumiała, co do niej mówiłem. Musiałem powtórzyć. Kręciła się bezradnie.

<sup>375</sup>kulisowo — o kompozycji malarskiej: w taki sposób, że bliższe plany zasłaniają dalsze. [przypis edytorski]

<sup>376</sup>mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>377</sup>abnegacja — brak troski o swój wygląd lub swoje korzyści. [przypis edytorski]

Czy moją depezę otrzymali? Rozłożyła ręce, jej wzrok powędrował w bok. Czekala tylko na sposobność, by móc skoczyć ku drzwiom wpółotwartym, ku którym zezowała.

— Przyjechałem z daleka, zamówiłem telegraficznie pokój w tym domu — rzekłem z pewnym zniecierpliwieniem. — Do kogo mam się zwrócić?

Nie wiedziała. — Może pan wejdzie do restauracji — płątała się. — Teraz wszyscy śpią. Gdy pan Doktor wstanie, zamelduję pana.

— Śpią? Przecież jest dzień, daleko jeszcze do nocy...

— U nas ciągle śpią. Pan nie wie? — podniosła na mnie zaciekawione oczy. — Zresztą tu nigdy nie jest noc — dodała z kokieterią. Już nie chciała uciekać, skubała w rękach koronkę fartuszka, kręcąc się.

Zostawiłem ją. Wszedłem do ciemnej na wpół restauracji. Stały tu stoliki, wielki bufet zajmował szerokość całej ściany. Po długim czasie uczulem znowu pewien apetyt. Cieszył mnie widok ciast i tortów, którymi obficie były zastawione płyty bufetu.

Położyłem walizkę na jednym ze stolików. Wszystkie były puste. Klasnąłem w ręce. Żadnej odpowiedzi. Zajrzałem do sąsiedniej sali, większej i jaśniejszej. Sala ta otwarta była szerokim oknem czy loggią<sup>378</sup> na znany mi już pejzaż, który w obramieniu framugi<sup>379</sup> stał ze swoim głębokim smutkiem i rezygnacją jak żałobne memento. Na obrusach stolików widać było resztki niedawnego posiłku, odkorkowane butelki, na wpół opróżnione kieliszki. Gdzieś leżały nawet jeszcze napiwki nie podjęte przez służbę. Wróciłem do bufetu, przyglądając się ciastom i pasztetom. Miały wygląd nader smakowity. Zastanawiałem się, czy wypada samemu się obsłużyć. Uczulem napływ niezwykłego łakomstwa. Zwłaszcza pewien gatunek kruchego ciasta z marmoladą jableczną napędzał mi do ust oskomę<sup>380</sup>. Już chciałem podważyć jedno z tych ciast srebrną łopatką, gdy uczulem za sobą czyjąś obecność. Pokojówka weszła na cichych pantoflach i dotykała mi pleców palcami. — Pan Doktor prosi pana — rzekła oglądając swoje paznokcie.

Szła przede mną — i pewna magnetyzmu, jaki wywierało granie jej bioder, nie odwracała się wcale. Bawiła się nasilaniem tego magnetyzmu, regulując odległość naszych ciał, podczas gdy mijaliśmy dziesiątki drzwi opatrzonych numerami. Korytarz ściemniał się coraz bardziej. W zupełnej już ciemności oparła się przelotnie o mnie. — Tu są drzwi Doktora — szepnęła — proszę wejść.

Doktor Gotard przyjął mnie stojąc na środku pokoju. Był to mężczyzna małego wzrostu, szeroki w barkach, z czarnym zarostem.

— Dostaliśmy pańską depezę jeszcze wczoraj — rzekł. — Wysłaliśmy kocz<sup>381</sup> zakładowy na stację, ale przyjechał pan innym pociągiem. Niestety, połączenie kolejowe jest nie najlepsze. Jakże się pan czuje?

— Czy ojciec żyje? — zapytałem zatapiając wzrok niespokojny w jego uśmiechniętej twarzy.

— Żyje, naturalnie — rzekł wytrzymując spokojnie moje żarliwe spojrzenie. — Oczywiście w granicach uwarunkowanych sytuacją — dodał przymrużając oczy. — Wie pan równie dobrze jak ja, że z punktu widzenia pańskiego domu, z perspektywy pańskiej ojczyzny — ojciec umarł. To się nie da całkiem odrobić. Ta śmierć rzuca pewien cień na jego tutejszą egzystencję.

— Ale ojciec sam nie wie, nie domyśla się? — zapytałem szeptem. Potrząsnął głową z głębokim przekonaniem. — Niech pan będzie spokojny — rzekł przyciszonym głosem — nasi pacjenci nie domyślają się, nie mogą się domyślić...

— Cały trick polega na tym — dodał, gotów mechanizm jego demonstrować na palcach, już ku temu przygotowanych — że cofnęliśmy czas. Spóźniamy się tu z czasem o pewien interwał<sup>382</sup>, którego wielkości niepodobna określić. Rzecz sprowadza się do prostego relatywizmu. Tu po prostu jeszcze śmierć ojca nie doszła do skutku, ta śmierć, która go w pańskiej ojczyźnie już dosięgła.

— W takim razie — rzekłem — ojciec jest umierający lub bliski śmierci...

<sup>378</sup>loggia — rodzaj krytego balkonu bądź pomieszczenia, w którym jedna z zewnętrznych ścian została zastąpiona przez rząd arkad. [przypis edytorski]

<sup>379</sup>framuga — obramowanie, do którego przymocowane jest okno bądź skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

<sup>380</sup>oskoma (daw.) — ochota, apetyt. [przypis edytorski]

<sup>381</sup>kocz — rodzaj czterokołowego powozu konnego, często na resorach. [przypis edytorski]

<sup>382</sup>interwał — odstęp, odległość. [przypis edytorski]

Lekarz

Śmierć, Czas

— Nie rozumie mnie pan — odrzekł tonem pobłażliwego zniecierpliwienia. — Reaktywujemy tu przeszły czas z jego wszystkimi możliwościami, a zatem i z możliwością wyzdrowienia.

Patrzył na mnie z uśmiechem, trzymając się za brodę.

— Ale teraz zechce pan pewnie zobaczyć się z ojcem. Stosownie do pańskiego zlecenia zarezerwowaliśmy dla pana drugie łóżko w pokoju ojca. Zaprowadzę pana.

Gdyśmy wyszli na ciemny korytarz, Doktor Gotard już mówił szeptem. Zauważyłem, że ma na nogach filcowe pantofle, jak pokojówka.

— Dajemy naszym pacjentom długo się wysypiać, oszczędzamy ich energię życiową. Zresztą i tak nie mają tu nic lepszego do roboty.

Pod którymiś tam drzwiami zatrzymał się. Przyłożył palec do ust.

— Niech pan wejdzie cicho — ojciec śpi. Niech się pan także położy. To najlepsze, co pan może w tej chwili uczynić. Do widzenia.

— Do widzenia — szepnąłem czując bicie serca podchodzące mi do gardła. Naciśnąłem klamkę, drzwi poddały się same, uchyliły jak usta otwierające się bezbronnie we śnie. Wszedłem do środka. Pokój był prawie pusty, szary i nagi. Na zwykłym drewnianym łóżku pod małym okienkiem leżał mój ojciec w obfitej pościeli i spał. Głęboki jego oddech wyładowywał całe pokłady chrapania z głębi snu. Cały pokój zdawał się być już wyłożony tym chrapaniem, od podłogi do sufitu, a wciąż jeszcze przybywały nowe pozycje. Pełen wzruszenia patrzyłem na wychudzoną, zmizerowaną twarz ojca, pochłoniętą teraz całkiem przez tę pracę chrapania, twarz, która w dalekim transie — porzuciwszy swą ziemską powłokę — spowiadała się gdzieś na odległym brzegu ze swej egzystencji uroczystym wyliczaniem swych minut.

Drugiego łóżka nie było. Od okna ciągnęło przenikliwe zimno. Piec był nie opalony.

Nie zdają się tu zbyt troszczyć o pacjentów — myślałem sobie. — Tak chory człowiek wydany na pastwę przeciągów! I nikt chyba tu nie sprząta. Gruba warstwa kurzu zalegała podłogę, pokrywała szafkę nocną z lekarstwami i ze szklanką wystygłej kawy. Na bufecie leżą stosy ciastek, a pacjentom dają czystą czarną kawę zamiast czegoś posilnego! Ale wobec dobrodziejstw cofniętego czasu jest to naturalnie drobnostką.

Rozebrałem się powoli i wsunąłem się do łóżka ojca. Nie obudził się. Chrapanie jego tylko, widocznie za wysoko już spiętrzone, zeszło o oktawę niżej, rezygnując z górnotności swej deklamacji. Stało się niejako prywatnym chrapaniem, na własny użytek. Obcisnąłem dookoła ojca pierzyne, chroniąc go, o ile możliwości, od wiejącego z okna przeciągu. Wkrótce zasnąłem obok niego.

## II

Gdy się obudziłem, był zmrok w pokoju. Ojciec siedział już ubrany przy stole i pił herbatę, maczając w niej sucharki z lukrem. Miał na sobie nowe jeszcze, czarne ubranie z angielskiego sukna, które sprawił sobie ostatniego lata. Krawat jego był trochę niedbale związany.

Widząc, że nie śpię, rzekł z miłym uśmiechem w swojej przybladłej od choroby twarzy: — Ucieszyłem się serdecznie, żeś przyjechał, Józefie. Co za niespodzianka! Czuję się tu tak samotny. Nie można się co prawda w mojej sytuacji uskarżać, przeszedłem już gorsze rzeczy i gdyby chciać wyciągnąć *facit*<sup>383</sup> ze wszystkich pozycji... Ale mniejsza o to. Wyobraź sobie, podano mi tu zaraz pierwszego dnia wspaniałą *filet de boeuf*<sup>384</sup> z grzybkami. Była to piekielna sztuka mięsa, Józefie. Ostrzegam cię najusilniej — gdyby ci tu kiedykolwiek miano podać *filet de boeuf*... Jeszcze czuję ogień w brzuchu. I *diarea*<sup>385</sup> za *diareą*... Nie mogłem sobie całkiem dać rady. Ale muszę ci oznajmić nowinę — ciągnął dalej. — Nie śmieję się, wynająłem tu lokal na sklep. Tak jest. I gratuluję sobie tego pomysłu. Nudziłem się, wiesz, serdecznie. Nie masz wyobrażenia, co za nudy tu panują. A tak mam przynajmniej przyjemne zajęcia. Nie wyobrażaj sobie znów żadnych wspaniałości. Skądże znowu. Daleko skromniejszy lokal niż nasz dawny magazyn. Po prostu buda w porównaniu z tamtym. U nas w mieście wstydzilibym się takiego straganu, ale

<sup>383</sup>*facit* (łac.) — dosł: czyni. [przypis edytorski]

<sup>384</sup>*filet de boeuf* (fr.) — filet wołowy. [przypis edytorski]

<sup>385</sup>*diarea* (z łac.) — biegunka. [przypis edytorski]

tutaj, gdzieśmy tyle musieli popuścić z naszych pretensyj — nieprawdaż, Józefie?... — Zaśmiał się boleśnie. — I tak jakoś się żyje. — Zrobiło mi się przykro. Wstydzilem się zmieszania ojca, który spostrzegł, że użył niewłaściwego wyrazu.

— Widzę, żeś śpiący — rzekł po chwili. — Prześpij się jeszcze trochę, a potem odwiedź mnie w sklepie — nieprawdaż? Właśnie tam śpieszę, żeby zobaczyć, jak interesy idą. Nie masz pojęcia, jak trudno było o kredyt, z jakim niedowierzaniem odnoszą się tu do starych kupców, do kupców z poważną przeszłością... Przypominasz sobie lokal optyka na rynku? Otóż zaraz obok jest nasz sklep. Szyldu jeszcze nie ma, ale i tak trafisz. Trudno się omylić.

— Czy ojciec wychodzi bez palta? — zapytałem z niepokojem.

— Zapomniano mi je zapakować — wyobraź sobie — nie znalazłem go w kufrze, ale zupełnie mi go nie brak. Ten łagodny klimat, ta słodka aura!...

— Niech ojciec weźmie moje palto — nalegałem — proszę koniecznie wziąć. — Ale ojciec już wkładał kapelusz. Kiwnął mi ręką i wysunął się z pokoju.

Nie, nie byłem już śpiący. Czułem się wypoczęty... i głodny. Z przyjemnością przypominałem sobie bufet zastawiony ciastkami. Ubierałem się myśląc, jak sobie dogodzę na rozmaitych rodzajach tych przysmaków. Pierwszeństwo zamierzałem dać kruchemu ciastu z jabłkami, nie zapominając o świetnym biszkopcie nadziewanym łupką pomarańczową, który tam widziałem. Stałem przed lustrem, aby zawiązać krawat, ale powierzchnia jego, jak zwierciadło sferyczne, zataiła gdzieś w głębi mój obraz, wirując mętną tonią. Nadaremnie regulowałem oddalenie, podchodząc, cofając się — ze srebrnej płynnej mgły nie chciało wyłonić się żadne odbicie. Muszę kazać dać inne lustro — pomyślałem sobie i wyszedłem z pokoju.

Na korytarzu było całkiem ciemno. Wrażenie solennej<sup>386</sup> ciszy potęgowała jeszcze nikła lampa gazowa, płonąca niebieskawym płomykiem na zakręcie. W tym labiryncie drzwi, framug i zakamarków trudno mi było przypomnieć sobie wejście do restauracji. Wyjdę na miasto — pomyślałem z nagłym postanowieniem. — Zjem gdzieś na mieście. Znajdę tam chyba jakąś dobrą cukiernię.

Owiało mnie za bramą ciężkie, wilgotne i słodkie powietrze tego szczególnego klimatu. Chroniczna szarość aury zesza jeszcze o kilka odcieni głębiej. Był to jakby dzień widziany przez kir<sup>387</sup> żałobny.

Nie mogłem nasycić oczu aksamitną, soczystą czarnością najciemniejszych partyj, gamą zgaszonych szarości pluszowych popiołów, przebiegającą pasażami stłumionych tonów, złamanych dławikiem klawiszy — ten nokturn<sup>388</sup> pejzażu. Obfite i fałdźiste powietrze obłopotowało mi twarz miękką płachtą. Miało w sobie mdłą słodycz odstałej deszczówki.

Znowu ten powracający sam w sobie szum czarnych lasów, głuche akordy, wzburzające przestworza już poza skalą słyszalności! Byłem na tylnym dziedzińcu Sanatorium. Obejrzałem się na wysokie mury tej oficyny<sup>389</sup> głównego budynku załamanego w podkowę. Wszystkie okna zamknięte były na czarne okiennice. Sanatorium spało głęboko. Minąłem bramę w żelaznych sztachetach. Obok niej stała buda psa — niezwyklej rozmiarów — opuszczona. Znów wchłonął mnie i przytulił czarny las, w którego ciemnościach szedłem omackiem, jakby z zamkniętymi oczyma, na cichym igliwiu. Gdy się trochę rozwidniło, zarysowały się między drzewami kontury domów. Jeszcze kilka kroków i byłem na obszernym placu miejskim.

Dziwne, myślące podobieństwo do rynku naszego miasta rodzinnego! Jak podobne są w samej rzeczy wszystkie rynki na świecie! Niemal te same domy i sklepy!

Chodniki były prawie puste. Żałobny i późny półbrzask nieokreślonej pory prószył z nieba o niezdefiniowanej szarości. Czytałem z łatwością wszystkie afisze i szyldy, a jednak nie byłbym zdziwiony, gdyby mi powiedziano, że to noc głęboka! Tylko niektóre sklepy były otwarte. Inne miały na wpół zasunięte żaluzje, zamykano je pośpiesznie. Tęgie i bujne powietrze, powietrze upojne i bogate, pochłaniało miejscami część widoku,

<sup>386</sup>*solenny* — poważny, uroczysty. [przypis edytorski]

<sup>387</sup>*kir* — czarny materiał, symbolizujący żalobę. [przypis edytorski]

<sup>388</sup>*nokturn* — utwór muzyczny, poetycki bądź malarski oparty na motywie nocy. [przypis edytorski]

<sup>389</sup>*oficyna* — boczne skrzydło budynku, zwykle przeznaczone na pomieszczenia gospodarcze. [przypis edytorski]

zmywało jak mokra gąbka parę domów, latarnię, kawałek szyldu. Chwilami trudno było unieść powieki, zapadające przez dziwne niedbalstwo czy senność. Zacząłem szukać sklepu optyka, o którym wspomniał ojciec. Mówił o tym, jak o czymś mi znanym, odwoływał się jakby do mojej znajomości lokalnych stosunków. Czy nie wiedział, że byłem tu pierwszy raz? Bez wątplenia plątało mu się w głowie. Ale czegoż można było oczekiwać od ojca na wpół tylko rzeczywistego, żyjącego życiem tak warunkowym, relatywnym, ograniczonym tylu zastrzeżeniami! Trudno zataić, że trzeba było dużo dobrej woli, ażeby przyznać mu pewien rodzaj egzystencji. Był to godny politowania surogat<sup>390</sup> życia, zawisły<sup>391</sup> od powszechnej pobłażliwości, od tego „*consensus omnium*”<sup>392</sup>, z którego czerpał swe nikłe soki. Jasnym było, że tylko dzięki solidarnemu patrzeniu przez palce, zbiorowemu przymykaniu oczu na oczywiste i rażące niedomogi tego stanu rzeczy mógł się utrzymać przez chwilę w tkance rzeczywistości ten żalosny pozór życia. Najłżejsza opozycja mogła go zachwiać, najslabszy podmuch sceptycyzmu obalić. Czy Sanatorium Doktora Gotarda mogło mu zapewnić tę ciepłarnianą atmosferę życzliwej tolerancji, ochronić od zimnych podmuchów trzeźwości i krytycyzmu? Należało się dziwić, że przy tym zagrożonym, zakwestionowanym stanie rzeczy ojciec potrafił jeszcze zachować tak znakomitą postawę.

Ucieszyłem się ujrzawszy okno wystawowe cukierni, wypełnione babkami i tortami. Mój apetyt odżył. Otworzyłem szklane drzwi z tablicą „lody” i wszedłem do ciemnego lokalu. Pachniało tam kawą i wanilią. Z głębi sklepu wyszła panienska, z twarzą zamazaną zmierzchem, i przyjęła zamówienie. Nareszcie po tak długim czasie mogłem raz posilić się do syta świetnymi pączkami, które maczałem w kawie. W ciemności, obtańczony wirującymi arabeskami zmierzchu, pochłaniałem wciąż nowe ciastka, czując, jak wirowanie ciemności wciska się pod powieki, opanowuje cichaczem me wnętrze swym ciepłym pulsowaniem, milionowym rojowiskiem delikatnych dotknięć. Wreszcie już tylko prostokąt okna świecił szarą plamą w zupełnej ciemności. Nadaremnie stukalem łyżeczką w płytę stołu. Nikt nie zjawił się, aby przyjąć należytość za posiłek. Zostawiłem monetę srebrną na stole i wyszedłem na ulicę. W księgarni obok świeciło się jeszcze. Subiekt<sup>393</sup> zajęci byli sortowaniem książek. Zapytałem o sklep ojca. — To właśnie drugi lokal obok nas — objaśnili mnie. Usłużny chłopak podbiegł nawet do drzwi, ażeby mi pokazać. Portal był szklany, okno wystawowe jeszcze niegotowe, zasłonięte szarym papierem. Już ode drzwi zauważyłem ze zdziwieniem, że sklep był pełny kupujących. Mój ojciec stał za ladą i sumował, śliniąc wciąż ołówek, pozycje długiego rachunku. Pan, dla którego wygotowywano ten rachunek, pochylony nad ladą, posuwał palcem wskazującym za każdą dodaną cyfrą, licząc półgłosem. Reszta gości przyglądała się w milczeniu. Mój ojciec rzucił na mnie spojrzenie znad okularów i rzekł przytrzymując pozycję, na której się zatrzymał: — Jest tu jakiś list do ciebie, leży na biurku między papierami — i znów pograżył się w liczeniu. Subiekt tymczasem odkładali kupione towary, zawijali je w papier, obwiązywali sznurkami. Regały były tylko częściowo wypełnione sukmem. Większa część była jeszcze pusta.

— Dlaczego ojciec nie siada sobie? — zapytałem cicho, wszedłszy za ladę. — Wcale ojciec nie uważa na siebie, będąc tak chorym. — Podniósł wzbraniająco dłoń, jak gdyby oddalał moje perswazje, i nie przestawał rachować. Miał wygląd bardzo mizerny. Leżało jak na dłoni, że tylko sztuczne podniecenie, gorączkowa czynność podtrzymuje jego siły, oddala jeszcze chwilę zupełnego załamania.

Poszukałem na biurku. Był to raczej pakiet niż list. Przed kilkoma dniami pisałem do księgarni w sprawie pewnej książki pornograficznej i oto posyłano mi ją tu, już znaleziono mój adres, a raczej adres ojca, który zaledwie otworzył sobie sklep, bez szyldu i firmy. W istocie zdumiewająca organizacja wywiadu, godna podziwu sprawność ekspedycji! I ten niezwykły pośpiech!

— Możesz sobie przeczytać z tyłu w kontuarze<sup>394</sup> — rzekł ojciec posyłając mi niezadowolone spojrzenie — widzisz sam, że tu nie ma miejsca.

<sup>390</sup>surogat (daw.) — namiastka. [przypis edytorski]

<sup>391</sup>zawisły (daw.) — zależny. [przypis edytorski]

<sup>392</sup>consensus omnium (łac.) — zgoda wszystkich. [przypis edytorski]

<sup>393</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>394</sup>kontuar — lada sklepową; tu: pomieszczenie na zapleczu. [przypis edytorski]

Kontuar za sklepem był jeszcze pusty. Przez szklane drzwi wpadało tam nieco światła ze sklepu. Na ścianach wisiały pałta subiektów. Otworzyłem list i zacząłem czytać w słabym świetle ode drzwi.

Donoszono mi, że książki żądanej nie było niestety na składzie. Wszczęto poszukiwania za nią, ale nie uprzedzając wyniku pozwalała sobie firma przesłać mi tymczasem, nieobowiązująco, pewien artykuł, dla którego przewidywano moje niewątpliwe zainteresowanie. Następował teraz zawiły opis składanego refraktora<sup>395</sup> astronomicznego, o wielkiej sile świetlnej i rozlicznych zaletach. Zaciekawiony, wydobyłem z koperty ten instrument zrobiony z czarnej ceraty lub sztywnego płótna złożonego w płaską harmonijkę. Miałem zawsze słabość do teleskopów. Zacząłem rozkładać wielokrotnie złożony płaszcz instrumentu. Usztywniony cienkimi pręcikami, rozbudowywał mi się pod rękami ogromny miech dalekovidza, wyciągający na długość całego pokoju swą pustą budę, labirynt czarnych komór, długi kompleks ciemni optycznych wsuniętych w siebie do połowy. Było to coś na kształt długiego auta z lakowego płótna, jakiś rekwizyt teatralny imitujący w lekkim materiale papieru i sztywnego drelichu masywność rzeczywistości. Spojrzałem w czarny lejek okularu i ujrzałem w głębi zaledwie mającące zarysy podwórzowej fasady Sanatorium. Zaciekawiony, wsunąłem się głębiej w tylną komorę aparatu. Śledziłem teraz w polu widzenia lunety pokojówkę idącą płóciennym korytarzem Sanatorium z tacą w ręku. Odwróciła się i uśmiechnęła. Czy ona mnie widzi? — pomyślałem sobie. Nieodparta senność przesłaniała mi mgłą oczy. Siedziałem właściwie w tylnej komorze lunety jakby w limuzynie wozu. Lekkie poruszenie dźwigni i oto aparat zaczął szeleścić łopotem papierowego motyla i uczułem, że porusza się wraz ze mną i skręca ku drzwiom.

Jak wielka czarna gąsienica wyjechała luneta do oświetlonego sklepu — wielocłonkowy kadłub, ogromny papierowy karakon z imitacją dwóch latarń na przedzie. Kupujący stłoczyli się, cofając przed tym ślepym smokiem papierowym, subiekci otworzyli drzwi na ulicę i wyjechałem powoli tym papierowym autem, wśród szpaleru gości odprowadzających zgorzonym spojrzeniem ten w istocie skandaliczny wyjazd.

### III

Tak żyje się w tym mieście i czas upływa. Większą część dnia przesypia się, i to nie tylko w łóżku. Nie, nie jest się zbyt wybrednym na tym punkcie. W każdym miejscu i o każdej porze dnia gotów jest człowiek uciąć sobie tutaj smaczną drzemkę. Z głową opartą o stół w restauracji, w dorożce, a nawet na stojączkę<sup>396</sup> po drodze, w sieni jakiegoś domu, do którego wpada się na chwilę, ażeby ulec na moment nieodpartej potrzebie snu.

Budząc się, zamroczeni jeszcze i chwiejni, ciągniemy dalej przerwana rozmowę, kontynuujemy uciążliwą drogę, tocimy naprzód zawiłą sprawę bez początku i końca. Skutkiem tego gubią się kędyś po drodze mimochodem całe interwały czasu, tracimy kontrolę nad ciągłością dnia i w końcu przestajemy na nią nalegać, rezygnujemy bez żalu ze szkieletu nieprzerwanej chronologii, do której bacznego nadzorowania przywykliśmy ongiś z nałogu i z troskliwej dyscypliny codziennej. Dawno poświęciliśmy tę nieustanną gotowość do złożenia rachunku z przebytego czasu, tę skrupulatność w wyliczaniu się co do grosza ze zużytych godzin — dumę i ambicję naszej ekonomiki. Z tych kardynalnych<sup>397</sup> cnót, w których nie znaleźliśmy ongiś wahania ani uchybienia — kapitulowaliśmy dawno.

Parę przykładów niechaj posłużą za ilustrację tego stanu rzeczy. O jakiejś porze dnia czy nocy — ledwo widoczna niuansa<sup>398</sup> nieba odróżnia te pory — budzę się przy balustradzie mostku prowadzącego do Sanatorium. Jest zmierzch. Musiałem, zmorzony sennością, długo bezwiednie wędrować po mieście, nim dowlokłem się, śmiertelnie zmęczony, do tego mostku. Nie mogę powiedzieć, czy w drodze tej towarzyszył mi cały czas Dr Gotard, który stoi teraz przede mną, kończąc jakiś długi wywód wyprowadzaniem ostatecznych wniosków. Porwany własną wymową, bierze mnie nawet pod ramię i pociąga za sobą. Idę z nim i nim jeszcze przekroczyliśmy dudniące deski mostku, już śpię na nowo. Przez zamknięte powieki widzę niejasno wnikliwą gestykulację Doktora, uśmiech w głębi

<sup>395</sup>refraktor — teleskop skupiający światło z pomocą jednej lub wielu soczewek. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>na stojączkę — dziś popr.: na stojąco. [przypis edytorski]

<sup>397</sup>kardynalny — główny, zasadniczy. [przypis edytorski]

<sup>398</sup>niuansa — dziś popr.: niuans. [przypis edytorski]

jego czarnej brody i staram się na darmo pojąć ten kapitalny chwyt logiczny, ten ostateczny atut, którym na szczycie swej argumentacji, nieruchomiejąc z rozłożonymi rękami, triumfuje. Nie wiem, jak długo jeszcze idziemy tak obok siebie pogrążeni w rozmowie pełnej nieporozumień, gdy w pewnej chwili ocykam się zupełnie, Doktora Gotarda już nie ma, jest całkiem ciemno, ale to tylko dlatego, że trzymam oczy zamknięte. Otwieram je i jestem w łóżku, w moim pokoju, do którego nie wiem, jakim się dostałem sposobem.

Jeszcze drastyczniejszy przykład:

Wchodzę w obiadowej porze do restauracji na mieście, w bezładny gwar i zamęt jedzących. I kogoż spotykam tu na środku sali przed stołem uginającym się od potraw? Ojca. Wszystkie oczy skierowane są na niego, a on, błyszcząc brylantową szpilką, niezwykle ożywiony, rozanielony do ekstazy, przechyla się z afektacją<sup>399</sup> na wszystkie strony w wylewnej<sup>400</sup> rozmowie z całą salą od razu. Ze sztuczną brawurą, na którą patrzeć nie mogę bez najwyższego niepokoju, zamawia wciąż nowe potrawy, które piętrzą się stosami na stole. Z lubością gromadzi je dookoła siebie, chociaż nie uporał się jeszcze z pierwszym daniem. Mlaskając językiem, żując i mówiąc jednocześnie, markuje on gestami, mimiką najwyższe ukontentowanie<sup>401</sup> tą biesiadą, wodzi wielbiącym wzrokiem za panem Adamem, kelnerem, któremu z rozkochanym uśmiechem rzuca wciąż nowe zlecenia. I gdy kelner, więcej serwetą, biegnie je spełnić, ojciec apeluje błagalnym gestem do wszystkich, bierze wszystkich na świadków nieodpartego czaru tego Ganimeda<sup>402</sup>.

— Nieoceniony chłopak — woła z błogim uśmiechem przymykając oczy — anielski chłopak! Przyznajcie, panowie, że jest czarujący!

Wycofuję się z sali pełen niesmaku, nie zauważony przez ojca. Gdyby był umyślnie dla reklamy nastawiony przez zarząd hotelu dla animowania<sup>403</sup> gości, nie mógłby bardziej prowokująco i ostentacyjnie się zachowywać. Z głową ćmiącą się od senności zataczam się ulicami, zdążając do domu. Na skrzynce pocztowej opieram chwilę głowę i robię sobie krótką sjęstę<sup>404</sup>. Wreszcie domacuję się w ciemności bramy Sanatorium i wchodzę. W pokoju jest ciemno. Przekręcam kontakt, ale elektryczność nie funkcjonuje. Od okna wieje zimnem. Łóżko skrzypi w ciemności. Ojciec podnosi znad pościeli głowę i mówi: — Ach, Józefie, Józefie! Leżę tu już od dwóch dni bez żadnej opieki, dzwonki są przerwane, nikt do mnie nie zagląda, a własny syn opuszcza mnie, ciężko chorego człowieka, i włóczy się za dziewczętami po mieście. Patrz, jak mi serce wali.

Jak to pogodzić? Czy ojciec siedzi w restauracji, ogarnięty niezdrową ambicją żarłoczności, czy leży w swoim pokoju, ciężko chory? Czy jest dwóch ojców? Nic podobnego. Wszystkiemu winien jest prędki rozpad czasu, nienadzorowanego nieustanną czujnością.

Wiemy wszyscy, że ten niezdiscyplinowany żywioł trzyma się jedynie od biedy w pewnych ryzach dzięki nieustannej uprawie, pieczołowitej troskliwości, starannej regulacji i korygowaniu jego wybryków. Pozbawiony tej opieki skłania się natychmiast do przekroczeń, do dzikiej aberracji, do płatania nieobliczalnych figlów, do bezkształtnego błaznowania. Coraz wyraźniej zarysowuje się inkongruencja<sup>405</sup> naszych indywidualnych czasów. Czas mego ojca i mój własny czas już do siebie nie przystawały.

Nawiasem mówiąc, zarzut rozwiązłości obyczajów, uczyniony mi przez ojca, jest bezpodstawną insynuacją. Nie zbliżyłem się jeszcze tu do żadnej dziewczyny. Zataczając się jak pijany od jednego snu do drugiego, ledwo zwracam uwagę w trzeźwiejszych chwilach na tutejszą płeć piękną.

Zresztą chroniczny zmrok na ulicach nie pozwala nawet dokładnie rozróżniać twarzy. Co jedynie zdołałem zauważyć, jako młody człowiek mający jeszcze na tym polu bądź co bądź pewne zainteresowania — to osobliwy chód tych panienek.

Jest to chód w nieubłaganie prostej linii, nie liczący się z żadnymi przeszkodami, posłuszny tylko jakiemuś wewnętrznemu rytmowi, jakiemuś prawu, które odwijają one jak z kłębka w nić prostolinijnego truchciku pełnego akurataności i odmierzonej gracji.

<sup>399</sup> *afektacja* — przesada w zachowaniu, zwł. w wyrażaniu uczuć. [przypis edytorski]

<sup>400</sup> *wylewny* — okazujący uczucia w wyrazisty sposób. [przypis edytorski]

<sup>401</sup> *ukontentowanie* — zadowolenie. [przypis edytorski]

<sup>402</sup> *Ganimedes* (mit. gr.) — piękny młodzieniec, ukochany przez Zeusa i wzięty przez niego na Olimp jako podczasy bogów. [przypis edytorski]

<sup>403</sup> *animować* (daw.) — ożywiać (por. też współczesne określenie „animator”). [przypis edytorski]

<sup>404</sup> *sjęsta* — poobiednia drzemka. [przypis edytorski]

<sup>405</sup> *inkongruencja* — niezgodność. [przypis edytorski]

Każda nosi w sobie jakieś inne, indywidualne prawidło<sup>406</sup>, jak nakręconą sprężynkę.

Gdy tak idą prosto przed siebie, wpatrzone w to prawidło, pełne skupienia i powagi, wydaje się, że przejęte są jedną tylko troską, by nie uronić nic z niego, nie zmylić trudnej reguły, nie zboczyć od niej na milimetr. I wtedy jasnym się staje, że to, co z taką uwagą i przejęciem niosą nad sobą, nie jest niczym innym jak jakąś *idée fixe*<sup>407</sup> własnej doskonałości, która przez moc ich przekonania staje się niemal rzeczywistością. Jest to jakaś antycypacja<sup>408</sup> powzięta na własne ryzyko, bez żadnej poręki<sup>409</sup>, dogmat nietykalny, wyniesiony ponad wszelką wątpliwość.

Jakich mankamentów i usterek, jakich nosków perkatych lub spłaszczonych, jakich piegów i pryszczu nie przemycają z brawurą pod flagą tej fikcji! Nie ma takiej brzydoty i pospolitości, której by wzlot tej wiary nie porywał ze sobą w to fikcyjne niebo doskonałości.

Pod sankcją tej wiary ciało pięknie wyrażnie, a nogi, kształtne istotnie i elastyczne nogi w nieskazitelnym obuwiu, mówią swym chodem, eksplikują<sup>410</sup> skwapliwie<sup>411</sup> płynnym, połyskliwym monologiem stąpania bogactwo tej idei, którą zamknięta twarz przez dumę przemilcza. Ręce trzymają w kieszeniach swych krótkich, obcisłych żakietów. W kawiarni i w teatrze zakładają nogi wysoko odsłonięte do kolan i milczą nimi wymownie. Tyle mimochodem tylko o jednej z osobliwości miasta. Wspomniałem już o czarnej roślinności<sup>412</sup> tutejszej. Na uwagę zasługuje zwłaszcza pewien gatunek czarnej paproci, której ogromne pęki zdobią flakony w każdym tutejszym mieszkaniu i w każdym lokalu publicznym. Jest to niemal żalobny symbol, funebryczny herb tego miasta.

#### IV

Stosunki w Sanatorium stają się z dniem każdym nieznośniejsze. Trudno zaprzeczyć, że wpadaliśmy po prostu w pułapkę. Od chwili mego przyjazdu, w której przed przybyciem rozsnuto pewne pozory gościnnej zabieglivosti — zarząd Sanatorium nie zadaje sobie najmniejszego trudu, żeby nam choćby zostawić złudzenie jakiejś opieki. Jesteśmy po prostu zdani na siebie samych. Nikt nie troszczy się o nasze potrzeby. Od dawna stwierdziłem, że przewody dzwonek elektrycznych urywają się zaraz nad drzwiami i nigdzie nie prowadzą. Służby nie widać. Korytarze pogrążone są dzień i noc w ciemności i ciszy. Mam silne przekonanie, że jesteśmy jedynymi gośćmi w tym Sanatorium i że tajemnicze i dyskretne miny, z jakimi pokojówka zaciska drzwi pokoiów, wchodząc lub wychodząc, są po prostu mistyfikacją.

Miałbym niekiedy ochotę otworzyć po kolei szeroko drzwi tych pokoiów i zostawić je tak na oścież otwarte, żeby zdemaskować tę niecną intrygę, w którą nas wplątano.

A jednak nie jestem całkiem pewny mych podejrzeń. Czasami późno w nocy widzę Dra Gotarda w korytarzu, jak śpieszy gdzieś w białym płaszczu operacyjnym, ze szprycą lewatywy w ręku, poprzedzany przez pokojówkę. Trudno go wtedy zatrzymać w pośpiechu i przyprzeć do muru zdecydowanym pytaniem.

Gdyby nie restauracja i cukiernia w mieście, można by umrzeć z głodu. Dotychczas nie mogłem się doprosić drugiego łóżka. O świeżej pościeli nie ma mowy. Trzeba przyznać, że powszechne rozprężenie obyczajów kulturalnych nie oszczędziło i nas samych.

Wejść do łóżka w ubraniu i w butach było dla mnie zawsze, jako dla człowieka cywilizowanego, rzeczą po prostu nie do pomyślenia. A teraz przychodzę późno do domu, pijany od senności, w pokoju półmrok, firanki u okna wzdęte od zimnego tchu. Bezprytomny walę się na łóżko i zagrzebuję w pierzyny. Śpię tak przez całe nieregularne przestrzenie czasu, dni czy tygodnie, podróżując przez puste krajobrazy snu, ciągle w drodze, ciągle na stromych gościńcach respiracji<sup>413</sup>, raz zjeżdżając lekko i elastycznie z łagodnych pochyłości, to znowu pnać się z trudem na prostopadłą ścianę chrapania.

<sup>406</sup> *prawidło* — zasada, reguła. [przypis edytorski]

<sup>407</sup> *idée fixe* (fr.) — powracająca, natrętna myśl. [przypis edytorski]

<sup>408</sup> *antycypacja* — oczekiwanie, zapowiedź przyszłych wydarzeń. [przypis edytorski]

<sup>409</sup> *poręka* — gwarancja. [przypis edytorski]

<sup>410</sup> *eksplikować* (daw.) — wyjaśniać. [przypis edytorski]

<sup>411</sup> *skwapliwie* (daw.) — chętnie. [przypis edytorski]

<sup>412</sup> *wegetacja* — tu: roślinność. [przypis edytorski]

<sup>413</sup> *respiracja* (z łac.) — oddychanie. [przypis edytorski]



Dosięgłszy szczytu, obejmuję ogromne widnokreśli tej skalistej i głuchej pustyni snu. O jakiejś porze, w niewiadomym punkcie, gdzieś na raptownym skręcie chrapania budzę się na wpół przytomny i czuję w nogach ciało ojca. Leży tam zwinięty w kłębek, mały jak kociak. Zасыpiam znowu z otwartymi ustami i cała ogromna panorama górzystego krajobrazu przesuwa się mimo mnie falisto i majestatycznie.

W sklepie rozwija ojciec pełną ożywienia czynność<sup>414</sup>, przeprowadza transakcje, wyteża całą swoją swadę dla przekonania klientów. Policzki jego są zarumienione od ożywienia, oczy błyszczą. W Sanatorium leży ciężko chory, jak w ostatnich tygodniach w domu. Trudno zataić, że proces szybkim krokiem zbliża się do fatalnego końca. Słabym głosem mówi do mnie: — Powinieneś częściej zachodzić do sklepu, Józefie. Subiecki<sup>415</sup> nas okradają. Widzisz przecież, że nie mogę już sprostać zadaniu. Leżę tu od tygodni chory, a sklep marnuje się, zdany na łaskę losu. Czy nie było jakieś poczty z domu?

Zaczynam żałować całej tej imprezy. Trudno to nazwać szczęśliwym pomysłem, żeśmy, uwiedzeni szumną reklamą, wysłali tu ojca. Cofnięty czas... w samej rzeczy pięknie to brzmi, ale czymże okazuje się w istocie? Czy dostaje się tu pełnowartościowy, rzetelny czas, czas niejako ze świeżego postawu odwinęty, pachnący nowością i farbą? Wprost przeciwnie. Jest to do cna zużyty, znoszony przez ludzi czas, czas przetarty i dziurawy w wielu miejscach, przeźroczystry jak sito.

Nic dziwnego, toż jest to czas niejako zwymiotowany — proszę mnie dobrze zrozumieć — czas z drugiej ręki. Pożałuj się, Boże!...

Przy tym cała ta wysoce niewłaściwa manipulacja z czasem. Te zdrożne konszachty, zakradanie się od tyłu w jego mechanizm, ryzykowne paluszkowanie koło jego drażliwych tajemnic! Niekiedy chciałoby się uderzyć w stół i zawołać na całe gardło: — Dość tego, waram od czasu, czas jest nietykalny, czasu nie wolno prowokować! Czy nie dość wam przestrzeni? Przestrzeń jest dla człowieka, w przestrzeni możecie bujać do woli, koziołkować, przewracać się, skakać z gwiazdy na gwiazdę. Ale przez miłość boską nie tykać czasu!

Z drugiej strony, czy można żądać ode mnie, żebym sam wypowiedział umowę Doktorowi Gotardowi? Jakakolwiek jest ta nędzna egzystencja ojca, ale widzę go bądź co bądź, jestem z nim razem, mówię z nim... Właściwie winienem Doktorowi Gotardowi nieskończoną wdzięczność.

Kilkakrotnie chciałem się z nim otwarcie rozmówić. Ale Doktor Gotard jest nieuchwytny. — Właśnie poszedł do sali restauracyjnej — oznajmia mi pokojówka. Kieruję się tam, gdy dogania mnie ona, ażeby powiedzieć, że się pomyliła, Dr Gotard jest w sali operacyjnej. Śpieszę na piętro, zastanawiając się, jakie operacje mogą tu być przeprowadzane, wchodzę do przedsiionka i w samej rzeczy każą mi czekać. Dr Gotard wyjdzie za chwilę, właśnie skończył operację, myje ręce. Widzę go niemal, małego, kroczącego wielkimi krokami, w rozwianym płaszczu, spieszącego przez szereg sal szpitalnych. Po chwili cóż się okazuje? Doktora Gotarda wcale tu nie było, od lat nie przeprowadzono tu żadnej operacji. Doktor Gotard śpi w swoim pokoju, a jego czarna broda sterczy zadarta w powietrze. Pokój zapełnia się chrapaniem jak kłębami chmur, które rosną, piętrzą się, podnoszą na swym skłębieniu Doktora Gotarda wraz z jego łóżkiem, coraz wyżej i wyżej — wielkie patetyczne wniebowstąpienie na falach chrapania i wzdętej pościeli.

Dzieją się tu jeszcze dziwniejsze rzeczy, rzeczy, które zatajam przed samym sobą, rzeczy fantastyczne wprost przez swą absurdalność. Ile razy wychodzę z pokoju, wydaje mi się, że ktoś szybko oddala się spod drzwi i skręca w boczny korytarz. Albo ktoś idzie przede mną, nie odwracając się. To nie jest pielęgniarka. Wiem, kto to jest! — Mamo! — wołam drżącym ze wzruszenia głosem i matka odwraca twarz i patrzy na mnie przez chwilę z błagalnym uśmiechem. Gdzież jestem? Co się tu dzieje? W jaką matnię wplątałem się?

## V

Nie wiem, czy jest to wpływ późnej pory roku, ale dni poważnieją coraz bardziej w barwie, mroczą się i ciemnieją. Jest tak, jakby patrzyło się na świat przez całkiem czarne okulary.

<sup>414</sup>czynność (daw.) — aktywność. [przypis edytorski]

<sup>415</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

Czas

Ojciec

Lekarz

Cały krajobraz jest jakby dnem ogromnego akwarium — z bladego atramentu. Drzewa, ludzie i domy zlewają się w czarne sylwetki, falujące jak rośliny podwodne na tle tej atramentowej toni.

W pobliżu Sanatorium roi się od czarnych psów. Różnej wielkości i kształtu, przebiegają nisko w zmięczeniu wszystkie drogi i ścieżki, wciągnięte w swoje psie sprawy, ciche, pełne napięcia i uwagi.

Przelatują po dwa, po trzy z wyciągniętymi czujnymi szycami, uszy spiczasto nastawione, z żalonym tonem cichego skomlenia, które się mimo woli wydiera z krtani, sygnalizując najwyższe wzburzenie. Zaprzątnięte swoimi sprawami, pełne pośpiechu, zawsze w drodze, zawsze pochłonięte niezrozumiałym celem — ledwo zwracają uwagę na przechodnia. Czasem tylko hupną ku niemu oczyma w locie i wtedy z tego zeza czarnego i mądrego wyziera wściekłość, hamowana w swych zapędach jedynie brakiem czasu. Czasami nawet, dając folę swej złości, podbiegają do nogi, z pochyloną głową i ze złowróżbnym warczeniem, ale tylko po to, by w połowie drogi poniechać zamiaru i polecieć dalej w wielkich psich płasach.

Na tę plagę psów nie ma rady, ale po co u licha zarząd Sanatorium trzyma na łańcuchu ogromnego wilczura, straszliwą bestię, prawdziwego wilkołaka o demonicznej wprost dzikości?

Ciarki przechodzą mnie, ile razy mijam jego budę, przy której stoi unieruchomiony na krótkim łańcuchu, z nastroszonym dziko kołnierzem kudłów dookoła głowy, wąsaty, szczeciniasty i brodaty, z maszyną potężnej paszczy pełnej kłów. Nie szczeka wcale, tylko jego dzika twarz staje się na widok człowieka jeszcze straszniejsza, rysy drętwieją w wyraz bezdennej wściekłości i, podnosząc powoli straszną mordę, zanosi się w cichej konwulsji<sup>416</sup> całkiem niskim żarliwym, z głębi nienawiści wydobywym wyciem, w którym brzmi żalność i rozpacz bezsilności.

Mój ojciec przechodzi z obojętnością obok tej bestii, gdy razem wychodzimy z Sanatorium. Co do mnie, to jestem za każdym razem wstrząśnięty do głębi tą żywiołową manifestacją bezsilnej nienawiści. Przerastam teraz o dwie głowy ojca, który mały i chudy drepcie obok mnie swym drobnym starczym kroczkiem.

Już zbliżając się do rynku widzimy ruch niezwykle. Tłumy ludzi przebiegają ulice. Dochodzą nas nieprawdopodobne wieści o wtargnięciu nieprzyjacielskiej armii do miasta.

Wśród powszechnej konsternacji<sup>417</sup> ludzie podają sobie alarmujące i sprzeczne wiadomości. Trudno to pojąć. Wojna nie poprzedzona pociągnięciami dyplomatycznymi? Wojna wśród błęgiego spokoju, nie zakłóconego żadnym konfliktem? Wojna z kim i o co? Informują nas, że inwazja nieprzyjacielskiej armii ośmieliła partię malkontentów w tym mieście, którzy wylegli na ulice z bronią w rękę, terroryzując spokojnych mieszkańców. Ujrzeliśmy w samej rzeczy grupę tych zamachowców, w czarnych cywilnych ubraniach, z białymi rzemieniami skrzyżowanymi na piersi, posuwających się w milczeniu, z pochylonymi karabinami. Tłum cofał się przed nimi, tłoczył się na chodniki, a oni szli posyłając spod cylindrów ironiczne ciemne spojrzenia, w których malowało się poczucie przewagi, błysk złośliwego ubawienia i jakieś porozumiewawcze mruganie, jak gdyby powstrzymywali parsknięcie śmiechu demaskujące całą tę mistyfikację. Niektórzy z nich zostają rozpoznani przez tłum, ale wesoły okrzyk tłumiony jest przez grozę pochylonych luf. Mijają nas, nie zaczepiwszy nikogo. Znowu wszystkie ulice przelewają się trwożnym, ponuro milczącym tłumem. Głuchy gwar płonie nad miastem. Wydaje się, że z daleka słychać turkot artylerii, dudnienie jaszczków<sup>418</sup>. — Muszę przedostać się do sklepu — mówi ojciec błądzący, lecz zdeterminowany. — Nie potrzebujesz mi towarzyszyć; będziesz mi tylko przeszkadzał — dodaje — wracaj do Sanatorium. — Głos tchórzostwa doradza mi być posłusznym. Widzę, jak ojciec wciska się w zwartą ścianę tłumy i traci go z oczu.

Bocznymi uliczkami przekradam się w pośpiechu w górę miasta. Zdaję sobie sprawę, że na tych stromych drogach uda mi się obejść w półkolu śródmieście zamknięte natłokiem ludzkim.

Tam, w górnej części miasta, tłum był rzadszy, wreszcie znikł zupełnie. Szedłem spokojnie pustymi ulicami do parku miejskiego. Palily się tam latarnie ciemnym, niebie-

<sup>416</sup>konwulsje — gwałtowne ruchy całego ciała. [przypis edytorski]

<sup>417</sup>konsternacja — zmieszanie, zakłopotanie, zagubienie. [przypis edytorski]

<sup>418</sup>jaszczyk a. jaszcz — wóz przystosowany do transportu amunicji artyleryjskiej. [przypis edytorski]

skawym płomykiem, jak żałobne asfodele<sup>419</sup>. Każda obtańczona była rojem chrabąszczy, ciężkich jak kule, niesionych ukośnym, bocznym lotem wibrujących skrzydeł. Niektóre opadły gramoliły się na piasku niedołącznie, z wypukłym grzbietem, zgarbione twardymi pokrywami, pod które próbowały złożyć rozpostarte delikatne błony skrzydeł. Po trawnikach i ścieżkach spacerowali przechodnie, pogrążeni w beztroskich rozmowach. Ostatnie drzewa zwieszają się nad podwórzami domów leżących nisko w dole i przypartych do muru parkowego. Wędrowałem wzdłuż tego muru, który od mojej strony sięga zaledwie do piersi, ale na zewnątrz opada ku poziomowi podwórzy wysokimi na piętro szkarpami. W pewnym miejscu podchodziła spomiędzy podwórzy rampa z ubitej ziemi, aż do wysokości muru. Przekroczyłem z łatwością barierę i wąską tą groblą przecisnąłem się pomiędzy stłoczonymi zabudowaniami domów na ulicę. Moje obliczenia, wsparte znakomitą intuicją przestrzenną, były trafne. Znajdowałem się niemal na wprost budynku sanatoryjnego, którego oficyna bieleje niewyraźnie w czarnej oprawie drzew. Wchodzę jak zwykle od tyłu przez podwórze, przez bramę w żelaznym ogrodzeniu i widzę już z daleka psa na jego posterunku. Jak zawsze przechodzi mnie dreszcz awersji<sup>420</sup> na ten widok. Chcę go minąć czym prędzej, by nie słyszeć tego, z głębi serca dobytego jęku nienawiści, gdy ku memu przerażeniu, nie wierząc oczom własnym, widzę, jak oddala się w podskokach od budy, nie uwiązany, biegnie dookoła podwórza z głuchym, jakby z beczki dobytym szczekaniem, chcąc odciąć mi odwrót.

Zdrętwiały ze zgrozy cofam się w przeciwny, najdalszy kąt podwórza i instynktownie szukając jakiegos ukrycia, chronię się do małej altanki tam stojącej, z całym przeświadczeniem daremności moich wysiłków. Kudłata bestia zbliża się w podskokach i oto morda jego jest już u wejścia altanki i zamyka mnie w pułapce. Ledwo żywy ze strachu, miarkuję<sup>421</sup>, że rozwinął on całą długość łańcucha, który włożył za sobą przez podwórze, i że sama altanka jest już poza zasięgiem jego zębów. Zmaltretowany, zmiażdżony zgrozą, ledwo odczuwam jakąś ulgę. Ślaniając się na nogach, bliski zemdenia, podnoszę oczy. Nigdy nie widziałem go z tak bliska i dopiero teraz opadają mi łuski z oczu. Jak wielka jest moc uprzedzenia! Jak potężna jest sugestia strachu! Co za zaślepienie! Toż to był człowiek. Człowiek na łańcuchu, którego w upraszczającym metaforycznym, ryczałtowanym skrócie brałem niepojętym sposobem za psa. Proszę mnie źle nie rozumieć. Był to pies — niezawodnie, ale w postaci ludzkiej. Jakość psia jest jakością wewnętrzną i może się manifestować równie dobrze w postaci ludzkiej jak zwierzęcej. Ten, który stał przede mną w otworze altany, z paszczą niejako na wywrót odwiniętą, ze wszystkimi zębami wyszczerzonymi w strasznym warczeniu — był mężczyzną średniego wzrostu, z czarnym zarostem. Twarz żółta, koścista, oczy czarne, złe i nieszczęśliwe. Sądząc z czarnego ubrania, z cywilizowanej formy brody — można by go wziąć za inteligenta, za uczonego. Mógłby to być starszy nieudany brat Doktora Gotarda. Ale ten pierwszy pozór mylił. Jego wielkie, powalane klejem ręce, dwie brutalne i cyniczne bruzdy dokoła nosa, gubiące się w brodzie, poziome ordynarne zmarszczki na niskim czole rozwiewały prędko to pierwsze złudzenie. Był to raczej introligator, krzykacz, mówca wiecowy i partyjnik — człowiek gwałtowny, o ciemnych wybuchowych namiętnościach. I tam właśnie, w tych czeluściach pasji, w tym konwulsyjnym zjeżeniu wszystkich fibrów<sup>422</sup>, w tej furii szaleńczej, wściekle oszczekującej koniec skierowanego doń kija — był on stuprocentowym psem.

Jeśli bym przelał przez tylną barierę altanki — myślę sobie — uszedłbym w zupełności z zasięgu jego wściekłości i mógłbym boczną ścieżką dojść do bramy Sanatorium. Już przerzucam nogi przez poręcz, gdy nagle zatrzymuję się w połowie ruchu. Czuję, że byłoby zbyt okrutne odejść po prostu i zostawić go tak z jego bezradną wściekłością wyprowadzoną ze wszystkich granic. Wyobrażam sobie jego straszne rozczarowanie, ból nieludzki, gdyby mnie widział uchodzącego z pułapki, oddalającego się raz na zawsze. Zostaję. Podchodzę doń i mówię naturalnym, spokojnym głosem: — Niech się pan uspokoi, ja pana odczepię.

<sup>419</sup> *asfodel* — śródziemnomorska roślina ozdobna. [przypis edytorski]

<sup>420</sup> *awersja* — niechęć. [przypis edytorski]

<sup>421</sup> *miarkować* (daw.) — zauważać, orientować się. [przypis edytorski]

<sup>422</sup> *fibrzy* (z łac.) — włókna. [przypis edytorski]

Na to twarz jego, posiekana drgawkami, wzburzona wibracją warczenia, całkuje się, wygladza i z głębi wynurza się oblicze niemal zupełnie ludzkie. Podchodzę bez obawy i odczepiam sprzączkę na jego karku. Idziemy teraz obok siebie. Introligator jest w porządnym czarnym ubraniu, ale bosy. Próbuję nawiązać z nim rozmowę, ale z jego ust wychodzi tylko niezrozumiały bełkot. Tylko w oczach, w tych czarnych wymownych oczach czytam dziki entuzjazm przywiązania, sympatii, który mnie zdejmuję grozą. Chwilami potyka się o kamień, o grudę ziemi i wtedy skutek wstrząśnięcia twarz jego natychmiast łamie się, rozpada, przerażenie wynurza się do połowy, gotowe do skoku, a tuż za nim wściekłość, czekająca tylko na moment, ażeby znów zamienić tę twarz w kłębowisko syczących żmij. Przywołuję go wtedy do porządku szorstkim koleżeńskim upomnieniem. Klepię go nawet po plecach. I czasem próbuje się na jego twarzy uformować zdziwiony, podejrzliwy, nie dowierający sobie uśmiech. Ach! jak mi ciąży ta straszna przyjaźń. Jak mnie przeraża ta niesamowita sympatia. Jak pozbyć się tego człowieka kroczącego obok mnie i uwisłego okiem, całą żarliwością swej psiej duszy na mojej twarzy. Nie wolno mi jednak zdradzić mego zniecierpliwienia. Wyciągam portfel i mówię rzeczowym tonem: — Potrzeba wam pewnie pieniędzy, mogę wam z przyjemnością pożyczyć — ale na ten widok twarz jego nabiera tak strasznej dzikości, że chowam czym prędzej pugilares<sup>423</sup>. I jeszcze czas długi nie może się uspokoić i opanować rysów, które wciąż wykrzywia konwulsja wycia. Nie, tego dłużej nie zniosę. Wszystko raczej niż to. Sprawy już i tak powikłały się, splątały beznadziejnie. Nad miastem widzę lunę pożaru. Ojciec gdzieś w ogniu rewolucji w płonąącym sklepie, Doktor Gotard nieosiągalny, i w dodatku niepojęte pojawienie się matki, *incognito*<sup>424</sup>, w jakiejś tajemnej misji! Są to ogniwa jakiejś wielkiej, niezrozumiałej intrygi zaciskającej się dookoła mej osoby. Uciekać, uciekać stąd. Gdziekolwiek. Zrzucić z siebie tę okropną przyjaźń, tego cuchnącego psem introligatora, który mnie nie spuszcza z oka. Stoimy przed bramą Sanatorium. — Proszę pana do mego pokoju — mówię z uprzejmym gestem. Cywilizowane ruchy fascynują go, usypiają jego dzikość. Puszczam go przed sobą do pokoju. Sadzam go na krześle.

— Pójdę do restauracji przynieść koniaku — mówię.

Na to zrywa się z przerażeniem, chcąc mi towarzyszyć. Uspokajam jego popłoch z łagodną stanowczością.

— Pan będzie siedział, pan będzie czekał spokojnie — mówię doń głębokim, wibrującym głosem, na którego dnie brzmi ukrywany strach. Siada z niepewnym uśmiechem.

Wychodzę i idę powoli korytarzem, potem schodami na dół, korytarzem do wyjścia, przekraczam bramę, przemierzam podwórze, zatrzymuję za sobą żelazną furtkę i teraz zaczynam biec bez tchu, z bijącym sercem, z walącymi skroniami, ciemną aleją wiodącą do dworca kolejowego.

W głowie piętrzą mi się obrazy, jeden straszliwszy od drugiego. Niecierpliwość potwora, jego przerażenie, rozpacz, gdy pozna, że jest oszukany. Powrót furii, recydywa wściekłości wybuchająca z niepohamowaną siłą. Powrót mego ojca do Sanatorium, jego nic nie przeczuwające pukanie do drzwi i niespodziane twarzą w twarz ze straszliwą bestią.

Szczęście, że ojciec już w gruncie rzeczy nie żyje, że go już to właściwie nie dosięga — myślę z ulgą i widzę już przed sobą czarny ciąg wagonów kolejowych stojących u wyjazdu. Siadam do jednego z nich i pociąg jakby czekał na to, rusza z miejsca powoli, bez gwizdu.

W oknie jeszcze raz przesuwają się i obraca powoli ta ogromna misa horyzontu, nalana ciemnymi szumiącymi lasami, wśród których bieleją mury Sanatorium. Żegnaj, ojcze, żegnaj, miasto, którego już nie zobaczę.

Od tego czasu jadę, jadę wciąż, zadomowiłem się niejako na kolei i toleruję mnie tam, walęjącego się z wagonu do wagonu. Ogromne jak pokoje wozy pełne są śmiecia i słomy, przeciągi przewiercają je na wskroś w szare bezbarwne dni.

Moje ubranie podarło się, postrzępiło. Podarowano mi znoszony mundur kolejarza. Twarz mam obwiązaną brudną szmatą skutek spuchniętego policzka. Siedzę w słomie i drzemię, a gdy jestem głodny, staję w korytarzu przed przedziałami drugiej klasy i śpię. I wrzucają mi drobne monety do mojej konduktorskiej czapki, do czarnej czapki kolejarza, z obdartym daszkiem.

<sup>423</sup>*pugilares* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

<sup>424</sup>*incognito* — nie ujawniając tożsamości. [przypis edytorski]

# Dodo

Przychodził do nas w sobotę po południu w ciemnym tużurku<sup>425</sup> do białej pikowanej kamizelki, w meloniku, który na rozmiar jego czaszki musiał być specjalnie sporządzony, przychodził, aby posiedzieć kwadrans albo dwa nad szklanką wody z sokiem malinowym, podumać z brodą opartą na kościanej gałce laski, którą trzymał między kolanami, zamyslić się nad błękitnym dymem papierosa.

Zazwyczaj byli wtedy z wizytą i inni krewni i podczas swobodnie toczącej się rozmowy Dodo usuwał się niejako w cień, spadał do biernej roli statysty w tym ożywionym zebraniu. Nie zabierając głosu, wodził spod wspaniałych brwi pełnymi wyrazu oczyma od jednego rozmówcy do drugiego, przy czym stopniowo twarz jego wydłużała się, wychodziła niejako ze stawów, głupiała zupełnie, niczym nie powściągana w tym żywiołowym zasluchaniu.

Mówił tylko, gdy się wprost do niego zwracano i wtedy odpowiadał na pytanie, co prawda monosylabami, jakby niechętnie, patrząc w inną stronę, o ile te pytania nie przekraczały pewnego zakresu spraw prostych i łatwych do rozstrzygnięcia. Niekiedy udawało mu się utrzymać rozmowę jeszcze parę pytań dalej, poza ten zakres, a to dzięki zasobowi wyrazistych min i gestów, którymi rozporządzał, a które wskutek swej wieloznaczności oddawały mu uniwersalne usługi, wypełniając luki artykułowanej mowy i podtrzymując swą żywą mimiczną ekspresją sugestię rozumnego rezonansu<sup>426</sup>. Było to jednak złudzenie, które prędko pryskało, i rozmowa urywała się żałośnie, podczas gdy wzrok interlokutora<sup>427</sup> odwracał się powoli i w zamysleniu od Doda, który pozostawiony sobie, spadał z powrotem do właściwej sobie roli statysty i biernego obserwatora na tle ogólnej konwersacji.

Bo jakże można było kontynuować rozmowę, gdy na przykład na pytanie, czy towarzyszył matce w drodze na wieś, odpowiadał tonem minorowym<sup>428</sup>: „nie wiem” i była to smutna i zawstydzająca prawdomówność, gdyż pamięć Doda nie sięgała w istocie poza chwilę i najbliższą aktualność.

Dodo przebył był raz dawno, w dzieciństwie jeszcze, jakąś ciężką chorobę mózgu, podczas której leżał wiele miesięcy bezprzytomny, bliższy śmierci niż życia, a gdy w końcu mimo to wyzdrowiał — okazało się, że był już niejako wycofany z obiegu, nie należał do wspólnoty ludzi rozumnych. Jego edukacja odbyła się prywatnie, niejako *pro forma*<sup>429</sup>, z wielką oględnością. Wymagania, twarde i nieustępliwe wobec innych, wobec Doda miękkie niejako, powściągały swą surowość i były pełne pobjaźnienia.

Dookoła niego utworzyła się jakaś sfera dziwnego uprzywilejowania, która go odgradzała pasem ochronnym, strefą neutralną od naporu życia i jego wymagań. Wszyscy na zewnątrz tej sfery byli zaatakowani przez jego fale, brodzili w nich hałaśliwie, dawali się ponosić, przejęci, porwani, w dziwnym zapamiętaniu — wewnątrz tej sfery był spokój i pauza, cezura<sup>430</sup> w tym ogólnym tumultie<sup>431</sup>.

Tak wyrastał, a wyjątkowość jego losu rosła z nim razem, jakby sama przez się zrozumiała i bez sprzeciwu z żadnej strony.

Dodo nie dostawał nigdy nowego ubrania, tylko zawsze znoszone starszego brata. Podczas gdy życie rówieśników rozczłonkowane było na fazy, okresy, artykułowane przez zdarzenia graniczne, podniosłe i symboliczne momenty: imieniny, egzaminy, zaręczyny, awanse — jego życie upływało w niezróżniczkowanej<sup>432</sup> monotonii, nie mąconej niczym przyjemnym ani przykrym, a także przyszłość ukazywała się jako całkiem równy i jednostajny gościniec bez zdarzeń i niespodzianek.

Myliliby się, kto by sądził, że Dodo sprzeciwiał się wewnętrznie temu stanowi rzeczy. Przyjmował go z prostotą jako właściwą sobie formę życia, bez zdziwienia, z rzeczową

<sup>425</sup>tużurek (daw.) — rodzaj dwurzędowego surduta, popularny na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>426</sup>rezonans — tu: reakcja. [przypis edytorski]

<sup>427</sup>interlokutor (daw., z łac.) — rozmówca. [przypis edytorski]

<sup>428</sup>minorowy — tu: smutny. [przypis edytorski]

<sup>429</sup>pro forma (łac.) — dla formalności, dla zachowania pozorów. [przypis edytorski]

<sup>430</sup>cezura — przerwa. [przypis edytorski]

<sup>431</sup>tumult — zgielk, zamieszanie. [przypis edytorski]

<sup>432</sup>niezróżniczkowany — dziś popr.: niezróżnicowany. [przypis edytorski]

Głupiec, Szaleniec

Choroba, Pamięć

zgodą, z poważnym optymizmem, i urządzał się, aranżował szczegóły w granicach tej bezzdarzeniowej monotonii.

Codziennie przed południem wychodził na spacer na miasto i szedł zawsze tą samą turą wzdłuż trzech ulic, które przemierzał do końca, i potem tą samą drogą powracał. Ubrany w wytorny, choć znoszony garnitur brata, z rękoma, którymi oplatał swą laskę, założonymi na plecach — poruszał się z dystynkcją<sup>433</sup> i bez pośpiechu. Wyglądał na podróżującego dla przyjemności pana, zwiedzającego miasto. Ten brak pośpiechu, jakiegoś kierunku lub celu, który by się w jego ruchach wyrażał, przybierał niekiedy kompromitujące formy, gdyż Dodo okazywał skłonność do zagapienia się: przed drzwiami sklepów, przed warsztatami, w których stukano i majstrowano, a nawet przed grupą ludzi rozmawiających.

Jego fizjonomia<sup>434</sup> wcześniej zaczęła dojrzewać i, rzecz dziwna, podczas gdy przejścia i wstrząsy życiowe zatrzymywały się na progu tego życia, oszczędzając jego pustą nie naruszoność, jego zamarginesową wyjątkowość, rysy jego formowały się na tych przeżyciach, które przechodziły mimo niego, antycypowały<sup>435</sup> jakąś nie urzeczywistnioną biografie, która zarysowana zaledwie w sferze możliwości, modelowała i rzeźbiła te oblicze w iluzoryczną maskę wielkiego tragika, pełną wiedzy i smutku wszystkich rzeczy.

Brwi jego sklepiły się wspaniałymi łukami, pogrążając w cieniu wielkie i smutne oczy podkrążone głęboko. Dookoła nosa węgły się dwie bruzdy, pełne abstrakcyjnego cierpienia i iluzorycznej mądrości, i biegly do kątów ust i poza nie jeszcze. Małe i nabrzmiałe usta zamknięte były boleśnie, a kokieteryjna „muszka” na długiej burbońskiej brodzie nadawała mu pozór starszego i doświadczonego bonwivanta<sup>436</sup>.

Nie obeszło się bez tego, by ta jego uprzywilejowana wyjątkowość została wysłędzona, zwężona drapieżnie przez chytrze zaczajoną i zawsze głodną żeru złośliwość ludzką.

Więc coraz częściej zdarzało się, że dostawał podczas swych rannych spacerów towarzyszy, i należało to do warunków tej uprzywilejowanej wyjątkowości, że byli to towarzysze specjalnego gatunku, nie w znaczeniu koleżeństwa i wspólności interesów, ale w sensie wysoce problematycznym i nie przynoszącym zaszczytu. Były to przeważnie znacznie młodsze roczniki, które garnęły się do pełnego godności i powagi, a rozmowy, które prowadzili, miały ton specjalny, wesoły i żartobliwy, dla Doda — trudno zaprzeczyć — miły i orzeźwiający.

Gdy szedł tak, górując głową nad tą wesołą i trzpiotowatą gromadką, wyglądał jak filozof perypatetyczny<sup>437</sup> w otoczeniu swych uczniów, a w twarzy jego spod maski powagi i smutku wyłamywał się frywolny<sup>438</sup> uśmiech, walcząc z tragiczną dominantą tej fizjonomii.

Dodo spóźniał się teraz ze swych porannych spacerów, wracał z nich ze zmierzwioną czupryną, w stroju lekko zderanżowanym<sup>439</sup>, ale ożywiony i skłonny do wesołej kontrowersji z Karolą, biedną kuzynką, przytuloną przez ciotkę Retycję. Zresztą, jakby w poczuciu małej zaszczytności tych spotkań, zachowywał Dodo w domu na ten temat zupełną dyskrecję.

Raz albo dwa razy zaszyły w tym monotonnym życiu wypadki wysterzczające swym formatem ponad mieliznę codziennych zdarzeń.

Raz, wyszedłszy rano, nie powrócił na obiad. Nie powrócił także na kolację ani na obiad dnia następnego. Ciotka Retycja była bliska rozpacz. Ale tego dnia wieczorem przyszedł trochę pomięty, w meloniku zgniecionym i krzywo siedzącym, ale zresztą zdrów i pełen spokoju ducha.

Trudno było zrekonstruować historię tej eskapady, co do której Dodo zachowywał zupełne milczenie. Prawdopodobnie, zagapiwszy się na spacerze, zaszedł w nieznaną okolicę miasta, może dopomogli mu do tego młodociani perypatetycy, wstawiając chętnie Doda w nowe i nieznanne warunki życiowe.

<sup>433</sup>z dystynkcją — w sposób dystyngowany. [przypis edytorski]

<sup>434</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>435</sup>antycypować — przewidywać, zapowiadać. [przypis edytorski]

<sup>436</sup>bonwivant (z fr. *bon vivant*) — osoba umiejąca używać życia i cieszyć się nim. [przypis edytorski]

<sup>437</sup>filozof perypatetyczny a. perypatetyk — uczeń Arystotelesa (określenie pochodzi od tradycji, wedle której Arystoteles zwykł wyklądać, przechadzając się). [przypis edytorski]

<sup>438</sup>frywolny — wesoły, o lekkim zabarwieniu erotycznym. [przypis edytorski]

<sup>439</sup>zderanżowany (z fr.) — w nieładzie. [przypis edytorski]

Być może, że był to jeden z tych dni, w których Dodo posyłał na urlop swą biedną, przeciążoną pamięć — i zapominał swój adres, a nawet nazwisko, daty, które mu zresztą kiedy indziej były zawsze przytomne<sup>440</sup>.

Nie dowiedzieliśmy się nigdy bliższych szczegółów tej przygody.

Gdy starszy brat Doda wyjechał za granicę, rodzina zeszczuplała do trojga, czworga osób. Oprócz wuja Hieronima i ciotki Retycji była jeszcze Karola, sprawująca rolę klucznicy w wielkim gospodarstwie wujostwa.

Wuj Hieronim nie wychodził już od wielu lat z pokoju. Od czasu, gdy Opatrzność łagodnie wyjęła z jego ręki ster tej skołatanej i ugrzęzłej na mieliźnie nawy<sup>441</sup> życiowej — prowadził żywot emeryta na wąskim skrawku, między sienią a ciemnym alkierzem<sup>442</sup>, który mu został przydzielony.

W długim, do ziemi sięgającym szlafroku siedział w głębi alkierza i porastał z dnia na dzień coraz bardziej fantastycznym zarostem. Długa broda barwy pieprzu (ku końcom długich kosmyków prawie że biała) opływała mu twarz dookoła, sięgała do połowy policzków, zostawiając tylko wolny krogulczy<sup>443</sup> nos i dwoje oczu, toczących białkami w cieniu krzaczastych brwi.

W ciemnym alkierzu, w tym ciasnym więzieniu, w którym skazany był jak wielki, drapieżny kot krążyć tam i z powrotem przed szklanymi drzwiami prowadzącymi do salonu — stały dwa ogromne łoża z dębu, nocne łogowisko<sup>444</sup> wujostwa, a całą tylną ścianę osłaniał wielki gobelin<sup>445</sup>, majaczący niewyraźnym kształtem w ciemnej głębi. Gdy oczy przyzwyczały się do ciemności, wyłaniał się spomiędzy bambusów i palm ogromny lew, potężny i ponury jak prorok, i majestatyczny jak patriarcha.

Siedząc tyłem do siebie, lew i wuj Hieronim wiedzieli osobie pełni nienawiści. Nie patrząc na siebie, grozili sobie wyszczerzonym, odsłoniętym kłębem i groźnie warczącym słowem. Chwilami lew, podrażniony, przypodnosił się aż na przednich łapach, zjeżał grzywę wyciągniętej szyi i groźny ryk jego toczył się dookoła chmurnego horyzontu.

To znowu wuj Hieronim wyrastał ponad niego proroczą tyradą<sup>446</sup>, a twarz jego modelowała się groźnie od wielkich słów, którymi wzbierał, podczas gdy broda falowała w natchnieniu. Wtedy lew zwężał boleśnie ślepią i odwracał z wolną głowę, kuląc się pod potęgą słowa bożego.

Ten lew i ten Hieronim napełniali ciemny alkierz wujostwa wieczną zwadą.

Wuj Hieronim i Dodo żyli w tym ciasnym mieszkaniu niejako mimo<sup>447</sup> siebie, w dwóch różnych dymensjach<sup>448</sup>, które się krzyżowały, nie tangując<sup>449</sup> się wcale. Oczy ich, gdy spotkały się ze sobą, szły dalej, poza siebie, jak u zwierząt dwu różnych i dalekich gatunków, które nie dostrzegają się wcale, niezdolne zatrzymać obcego obrazu, lecącego na wskroś przez świadomość, która nie może go w sobie zrealizować.

Nigdy nie mówili do siebie.

Gdy zasiadano do stołu, ciotka Retycja, siedząc między mężem a synem, stanowiła granicę dwóch światów, istmus<sup>450</sup> między dwoma morzami oblędu.

Wuj Hieronim jadł niespokojnie, długa broda wpadała mu do talerza. Gdy drzwi zaskrzypiały w kuchni, podrywał się na wpół z krzesła i chwycił za talerz z zupą, gotów ze swą porcją uciec do alkierza, gdyby ktoś obcy wszedł do mieszkania. Wtedy ciotka Retycja uspokajała go: — Nie bój się, nikt nie idzie, to służąca. — Natenczas Dodo rzucał na wystraszonego pełne gniewu i indygnacji<sup>451</sup> spojrzenie lśniących swych gałek, mrużąc do siebie z nieukontentowaniem<sup>452</sup>:

— Ciężki wariat...

<sup>440</sup>przytomny — tu: świadomy. [przypis edytorski]

<sup>441</sup>nawa (daw.) — statek, okręt. [przypis edytorski]

<sup>442</sup>alkierz (daw.) — mały, boczny pokój. [przypis edytorski]

<sup>443</sup>krogulczy — przypominający dziób drapieżnego ptaka. [przypis edytorski]

<sup>444</sup>łogowisko — przypuszczalnie powinno być: legowisko. [przypis edytorski]

<sup>445</sup>gobelin — dekoracyjna tkanina przypominająca dzieło malarskie. [przypis edytorski]

<sup>446</sup>tyrada — patetyczny bądź gniewny monolog. [przypis edytorski]

<sup>447</sup>mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>448</sup>dymensja (daw.) — wymiar. [przypis edytorski]

<sup>449</sup>tangować (z łac.) — dotykać. [przypis edytorski]

<sup>450</sup>istmus — przesmyk, wąski pas lądu między dwoma morzami. [przypis edytorski]

<sup>451</sup>indygnacja — oburzenie. [przypis edytorski]

<sup>452</sup>nieukontentowanie — niezadowolenie. [przypis edytorski]

Zanim wuj Hieronim dostał był absolucję<sup>453</sup> ze zbyt zawikłych komplikacji życia i otrzymał pozwolenie wycofania się w swe samotne refugium<sup>454</sup> w alkierzu — był on człowiekiem zupełnie innego pokroju. Ci, którzy go znali za młodu, twierdzili, że ten niepohamowany temperament nie znał żadnych hamulców, względów ani skrupułów. Z satysfakcją mówił nieuleczalnie chorym o czekającej ich śmierci. Z wizyt kondolencyjnych korzystał, by przed skonsternowaną<sup>455</sup> rodziną poddawać ostrej krytyce żywot zmarłego, po którym jeszcze łyż nie obeschły. Ludziom, ukrywającym jakieś przykre i drażliwe sprawy osobiste — wypominał je głośno i urągliwie. Ale pewnej nocy powrócił z podróży cały zmieniony i nieprzytomny ze strachu, usiłując schować się pod łóżko. W kilka dni potem rozeszła się wieść w rodzinie, że wuj Hieronim abdykował ze wszystkich swoich zawilich, wątpliwych i ryzykownych interesów, które mu ponad głowę wyrosły, abdykował na całej linii i definitywnie i rozpoczął nowy żywot, żywot objęty surową i ścisłą, acz niezrozumiałą dla nas regułą.

W niedzielę po południu przychodziliśmy wszyscy do ciotki Retycji na mały rodzinny podwieczorek. Wuj Hieronim nie poznawał nas. Siedząc w alkierzu, rzucał na to zebranie spoza szklanych drzwi dzikie i przerażone spojrzenia. Czasami atoli<sup>456</sup> niespodzianie wychodził ze swej samotni w swoim długim do ziemi szlafroku, z falującą dookoła twarzy brodą, i robiąc rękami ruch, jak gdyby nas rozdzielał, mówił: — A teraz błagam was, tak jak tu jesteście, rozejdźcie się, rozbiegnijcie chyłkiem, cichaczem i niepostrzeżenie... — Potem, grożąc nam tajemniczo palcem, głosem przyciszonym dodawał: — Mówią już powszechnie: Di — da.

Ciotka wpychała go łagodnie do alkierza, a on we drzwiach jeszcze odwracał się groźnie i z podniesionym palcem powtarzał: — Di — da.

Dodo pojmował wszystko nie od razu, powoli, i mijало kilka chwil milczenia i konsternacji, zanim sytuacja rozjaśniała się w jego umyśle. Wtedy wodząc oczyma od jednego do drugiego, jakby upewniając się, że zaszło coś wesołego, wybuchał śmiechem i śmiał się hałaśliwie i z satysfakcją, wstrząsał głową z politowaniem i powtarzał wśród śmiechu: — Ciężki wariat...

Zapadała noc nad domem ciotki Retycji, krowy, wydojone, ocierały się w ciemności o deski, dziewczki spały już w kuchni, z ogrodu płynęły banie nocnego ozonu<sup>457</sup> i pękały w otwartym oknie. Ciotka Retycja spała w głębi swego wielkiego łóża. Na drugim łóżu siedział jak puszczyk w poduszkach wuj Hieronim. Jego oczy błyszczwały w ciemności, broda spływała mu na podciągnięte kolana.

Powoli schodził z łóżka, skradając się na palcach do ciotki. Stał tak nad śpiącą przyczajony jak kot do skoku, z nastroszonymi brwiami i wąsami. Lew na ścianie ziewnął krótko i odwrócił głowę. Ciotka, obudzona, przeraziła się tej głowy roziskrzonej oczyma i prychającej.

— Idź, idź do łóżka — mówiła odpędzając go, jak koguta, ruchem ręki.

Cofał się prychając i oglądając się nerwowymi ruchami głowy.

W drugim pokoju leżał Dodo. Dodo nie umiał spać. Ośrodek snu w jego chorym mózgu nie funkcjonował prawidłowo. Kręcił się, tarzał w pościeli, przewracał się z boku na bok.

Materac skrzypiał. Dodo wzdychał ciężko, sapał, powstawał, bezradny, w poduszkach.

Nie żyte życie męczyło się, dręczyło w rozpacz, kręciło się jak kot w klatce. W ciele Doda, w tym ciele półgłówka, ktoś starzał się bez przeżyć, ktoś dojrzewał do śmierci bez okruszyny treści.

Nagle zaszlochał w ciemności przerażająco.

Ciotka Retycja zbiegła do niego z łóżka: — Co ci jest, Dodo, czy cię coś boli?

Dodo odwrócił głowę ze zdumieniem. — Kto? — zapytał.

— Czego jęczysz? — pyta ciotka.

— To nie ja, to on...

<sup>453</sup>absolucja (z łac.) — rozgrzeszenie. [przypis edytorski]

<sup>454</sup>refugium (z łac.) — schronienie, miejsce ucieczki. [przypis edytorski]

<sup>455</sup>skonsternowany — zakłopotany. [przypis edytorski]

<sup>456</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

<sup>457</sup>ozon — trójatomowe cząsteczki tlenu, powstające np. na skutek wyładowań elektrycznych w czasie burzy, mają charakterystyczny orzeźwiający zapach. [przypis edytorski]



- Jaki on?
- Zamurowany...
- Kto taki?

Ale Dodo z rezygnacją machnął ręką: — Eh... — i obrócił się na drugą stronę.

Ciotka Retycja wróciła na palcach do łóżka. Wuj Hieronim pogroził jej w przejściu palcem: — Mówią już powszechnie: Di — da...

## Edzio

### I

Na tym samym, co my, piętrze domu, w wąskim i długim skrzydle od podwórza mieszka Edzio ze swoją rodziną.

Edzio nie jest już dawno małym chłopcem, Edzio jest dorosłym mężczyzną o głosie tubalnym i męskim, którym czasem śpiewa arie operowe.

Edzio ma skłonność do korpulencji<sup>458</sup>, jednakowoż nie do tej gąbczastej i miękkiej formy, ale raczej do atletycznej i muskularnej odmiany. Jest on silny w ramionach jak niedźwiedź, cóż z tego, kiedy nogi jego, całkiem zwyrodniałe i bezkształtne, są niezdadne do użytku.

Nie wiadomo właściwie, gdy się patrzy na nogi Edzia, na czym polega to dziwne kalectwo. Wygląda to tak, jakby miały one za wiele przegubów, między kolanem a kostką, co najmniej o dwa stawy więcej niż normalne nogi. Nic dziwnego, że w tych nadliczbowych stawach załamują się żałośnie i to nie tylko na boki, ale i ku przodowi, i we wszystkich kierunkach.

Edzio porusza się tedy przy pomocy dwóch szcudół, szcudół doskonałej roboty, pięknie na mahoń politurowanych. O tych szcudłach schodzi codziennie na dół kupować gazetę i to jest jedyne jego spacer i jedyne urozmaicenie. Przykro jest patrzeć na jego przeprawę przez schody. Jego nogi wyboczą się nieregularnie to w bok, to ku tyłowi, załamują się w niespodzianych miejscach, a stopy, jak kopyta końskie, krótkie i wysokie, stukocą jak kłody po deskach. Ale znalazłszy się na płaszczyźnie, Edzio zmienia się niespodziewanie. Wyprostowuje się, tors jego wzdyma się okazale, a ciało bierze rozmach. Wspierając się na szcudłach jak na poręczach, wyrzuca daleko przed siebie nogi, które uderzają z nierównym tupotem w ziemię, potem przenosi szcudła z miejsca i z nowego rozmachu znów wyrzuca się z mocą naprzód. Takimi rzutami ciała zdobywa on przestrzeń. Nieraz, manewrując szcudłami na podwórzu, może on w nadmiarze sił, nagromadzonych długim siedzeniem, z prawdziwie wspaniałą pasją demonstrować tę heroiczną metodę lokomocji ku podziwowi służących z parteru i pierwszego piętra. Kark jego wówczas pęcznieje, pod brodą zarysowują się dwie fałdy podbródka, a w ukośnie trzymanej twarzy, z zaciśniętymi od natężenia ustami, pojawia się ukradkiem bolesny grymas. Edzio nie ma żadnego zawodu ani zajęcia, jak gdyby los, obarczając go brzemieniem kalectwa, w zamian za to zwolnił go cichaczem od tej klątwy dzieci Adama. W cieniu swego kalectwa Edzio korzysta w całej pełni z tego wyjątkowego prawa do próżniactwa i w cichości ducha zadowolony jest ze swej prywatnej niejako, indywidualnie zawartej transakcji z losem.

Nieraz zastanawiamy się jednak nad tym, czym wypełnia sobie czas ten dwudziestokilkuletni młodzieniec. Dużo zajęcia daje mu czytanie gazety. Edzio jest gruntownym czytelnikiem. Uwagi jego nie uchodzi żadna notatka ani żaden anons<sup>459</sup>. A gdy dobieje wreszcie do ostatniej stronicy dziennika, nie czeka go przez resztę dnia nuda, o, bynajmniej. Wówczas dopiero zaczyna się właściwa praca, na którą Edzio się już z góry cieszy. Po południu, gdy inni kładą się na poobiednią drzemkę, Edzio wyjmuje swoje wielkie, grube księgi, rozkłada je na stole przy oknie, przygotowuje klej, pędzel i nożyce i zaczyna swoją miłą i interesującą pracę wykrawywania najbardziej interesujących artykułów i wcielania ich na zasadzie pewnego systemu w swoje księgi. Szcudła stoją na wszelki

<sup>458</sup> *korpulencja* (daw.) — otyłość. [przypis edytorski]

<sup>459</sup> *anons* (daw.) — ogłoszenie. [przypis edytorski]

wypadek przygotowane, oparte o parapet okna, ale Edzio nie potrzebuje ich, gdyż ma wszystko na podorędziu, i tak wśród skrzętnej pracy upływa kilka godzin do podwieczorku.

Co trzeci dzień Edzio goli swój rudy zarost. Lubi tę czynność i wszystkie jej rekwizyty: gorącą wodę, pieniące się mydło i gładką, łagodną brzytwę. Rozrabiając mydło, ostrząc brzytwę o pas skórzany, Edzio śpiewa nie uczenie i nie kunsztownie, ale raczej bezpretensjonalnie i z pełnej piersi, a Adela twierdzi, że ma przyjemny głos.

Jednakowoż w domu Edzia nie wszystko poza tym zdaje się być w porządku. Panuje tam niestety między nim a rodzicami jakiś bardzo poważny rozdzźwięk, którego tło i podłoże są nieznane. Nie będziemy powtarzali domysłów i plotek, ograniczając się do stwierdzonych empirycznie faktów.

Zdarza się to zazwyczaj pod wieczór, o cieplej porze roku, gdy okno Edzia jest otwarte, że dochodzą nas odgłosy tych nieporozumień. Słyszymy właściwie tylko jedną połowę dialogu, partię Edzia mianowicie, gdyż replika jego antagonistów, ukrytych w dalszych ubikacjach mieszkania, nie dochodzi do nas.

Trudno jest z tego domyślić się, co zarzucają Edziowi, ale z tonu jego reakcji wnosić można, że jest on do żywego dotknięty, doprowadzony niemal do ostateczności. Słowa jego są gwałtowne i nierozważne, podyktowane nadmiernym wzburzeniem, ale ton, choć zaperzony, jest jednak tchórzliwy i nędzny.

— Tak jest — wola on płaczącym głosem — to i co z tego?... — Kiedy wczoraj? — Nieprawda! — A jeżeli tak? — No to tata kłamie! — I tak ciągnie się to całe kwadrans, urozmaicone tylko wybuchami żalu i oburzenia Edzia, który bije się w głowę i wyrwa sobie włosy z bezradnej wściekłości.

Ale czasami — i to jest właściwą pointą tych scen, która zaprawia ją specyficznym dreszczykiem — następuje to, na co z zapartym oddechem czekaliśmy. W głębi mieszkania zdaje się coś walić, jakies drzwi otwierają się z trzaskiem, jakies meble przewracają się z hukiem, potem rozlega się rozdzierający pisk Edzia.

Słuchamy tego wstrząśnięcia i pełni wstydu, ale i niesamowitej satysfakcji, jaka budzi się na myśl o dzikim i fantastycznym gwałcie dokonanym na osobie atletycznego, choć w nogach bezwładnego młodzieńca.

## II

O zmierzchu, gdy już naczynie po wczesnej kolacji jest umyte, siada Adela na ganku od strony podwórza, niedaleko okna Edzia. Dwa długie, dwukrotnie załamane ganki obiegają podwórze, jeden na parterze, drugi na wysokości pierwszego piętra. W szparach tych drewnianych balkonów rośnie trawa, a w jednej szczelinie między belkami wystrzela nawet mała akacja i chwije się wysoko nad podwórzem.

Oprócz Adeli siedzą tam przed swoimi drzwiami tu i ówdzie sąsiedzi, zwiśli na krzesłach i na karłach<sup>460</sup>, więdnąc niewyraźnie w zmierzchu, siedzą pełni znoju dnia, jak worki związane i nieme, czekające, by je zmierzch łagodnie rozwiązał.

W dole nasiąka podwórze szybko ciemnością, fala za falą, ale w górze powietrze nie chce się wyrzec światła i świeci tym jaśniej, im bardziej zwęgła się wszystko w dole i czernieje żalobnie — świeci jasne, drgające i migotliwe, ćmiąc się od niewyraźnych nietoperzych lotów.

Ale w dole zaczęła się już prądka i cicha robota zmierzchu, tam mrowi się od tych szybkich, żarłocznych mrówek, które rozbierają, roznoszą na szczątki substancję rzeczy, objadają je aż do białych kości, do szkieletu i żeber fosforyzujących majaczkliwie na tym smutnym pobojuwisku. Te białe papiery, szmaty na śmietniku, te nie strawione piszczele światła ostają się najdłużej w robaczywej ciemności i nie mogą się skończyć. Raz po raz zdaje się, że już je zmierzch pochłonął, a potem znowu są jeszcze i świecą, co chwilę gubione przez oczy pełne wibracji i mrówek, ale przestaje się już rozróżniać między tymi resztkami rzeczy a rojeniami oka, które wtedy właśnie zaczyna bredzić jak we śnie, aż każdy siedzi we własnej aurze jak w chmurze komarów, obtańczony gwiezdny rojowiskiem pulsującym mózgiem, majaczkliwą anatomią halucynacji.

<sup>460</sup>karło (daw.) — rodzaj fotela o krzyżujących się nogach. [przypis edytorski]

Wtedy zaczynają z dna podwórza podnosić się te żyłki powiewów, niepewne jeszcze swej egzystencji i już rezygnujące z niej, nim dojdą do naszej twarzy, te smugi świeżości, którymi podbita jest od spodu, jak jedwabną podszewką, fałdzista noc letnia. I podczas gdy na niebie zapalają się pierwsze gwiazdy migotliwe i wciąż zdmuchiwane, rozdziela się bardzo powoli ten duszny welon zmierzchu, utkany z wirowania i majaczeń, i otwiera się z westchnieniem noc letnia głęboka i pełna w swej głębi miału gwiazdnego i dalekiego rechotu żab.

Adela kładzie się bez światła do łóżka w zmiętą i wytarzaną z poprzedniej nocy pościel i zaledwie przymyka powieki, zaczyna się ta gonitwa po wszystkich piętrach i wszystkich mieszkaniach domu.

Tylko dla niewtajemniczonych jest noc letnia wypoczynkiem i zapomnieniem. Zaledwie kończą się czynności dnia i mózg spracowany chciałby usnąć i zapomnieć, zaczyna się ta bezwładna krzątanina, ten splątany, ogromny rozgardiasz nocy lipcowej. Wszystkie mieszkania domu, wszystkie pokoje i alkierze<sup>461</sup> pełne są wówczas gwaru, wędrowki, wchodzenia i wychodzenia. We wszystkich oknach stoją lampy stołowe z umbrami<sup>462</sup>, nawet korytarze są jasno oświetlone i drzwi zamykają się i otwierają bez ustanku. Jedna wielka, bezładna, na wpół ironiczna rozmowa płacze się i gałęzi wśród ciągłych nieporozumień przez wszystkie komory tego ula. Na piętrze nie wiedzą dokładnie, o co chodzi tym z parteru, posyłają posłańców z pilnymi instrukcjami. Lecą kurierzy przez wszystkie mieszkania, schodami do góry, schodami na dół, zapominają po drodze instrukcji, odwoływani wciąż z powrotem po nowe zlecenia. I zawsze jest coś do uzupełnienia, zawsze jeszcze sprawa pozostaje nie wyjaśniona i ta cała krzątanina wśród śmiechów i żartów nie doprowadza do rozwiązania.

Tylko boczne pokoje, nie wciągnięte w ten wielki bałagan nocy, mają swój czas odrębny, odmierzany tykaniem zegarów, monologami ciszy, głębokim oddechem śpiących. Tam śpią mamki<sup>463</sup> rozłożyste i nabrzmiałe mlekiem, śpią przyssane żarliwie do łona nocy, z płonącymi w ekstazie policzkami, a niemowlęta błądzą po ich śnie, z zamkniętymi powiekami, wędrują pieszczotliwie jak węszące zwierzątka po błękitnej mapie żyłek na białych równinach tych piersi, łążą delikatnie, szukając ślepą twarzą ciepłego rozporu, wejścia do tego snu głębokiego, aż znajdują czułymi ustami pypkę snu, zaufaną sutkę pełną słodkiego zapomnienia.

A ci, którzy w łóżkach swych pochwycili sen, już go nie puszczaają i walczą z nim jak z aniołem, który się wyrывa, aż go zmoga<sup>464</sup> i przyduszą do pościeli i chrapią z nim na przemiany, jakby kłócili się i wypominali sobie gniewnie dzieje swej nienawiści. A kiedy te żale i kwasy zamilkną ukojone i cała ta gonitwa rozprasza się i gubi po kątach, pokój za pokojem zapada w ciszę i w niebyt — wchodzi subiekt<sup>465</sup> Leon omackiem po schodach, wchodzi powoli z butami w rękę i szuka kluczem w ciemności dziurki w zamku. Wraca jak co nocy z lupanaru<sup>466</sup>, z oczyma przekrwionymi, wstrząsany czkawką i z nitką śliny ciągnącą się z ust rozchylonych.

W pokoju pana Jakuba pali się lampa na stole, a on sam, zgarbiony nad stołem, pisze list do Chrystiana Seipla i Synów, przedzalnie i tkalnie mechaniczne, list na wiele stron długi. Na podłodze leży już długi ciąg zapisanych arkuszy, ale do końca jeszcze daleko. Co chwilę zrywa się od stołu i biegnie dookoła pokoju, z rękoma w rozwichrzonych włosach, i kiedy tak kołuje, zdarza się, że wchodzi w przelocie na ścianę, leci wzdłuż tapet jak wielki niewyraźny komar, uderzając majaczliwie w arabski deseni ściennych, i znów zbiega na podłogę, kontynuując swój natchniony bieg dookolny.

Adela śpi głęboko, jej usta są rozchylone, twarz wydłużona i nieobecna, ale jej spuszczone powieki są przezroczyste i na ich cienkim pergaminie pisze noc swój cyrograf, na wpół tekst, na wpół obrazy, pełne kreśleń, poprawek i gryzmołów.

<sup>461</sup>alkierz (daw.) — mały, boczny pokój. [przypis edytorski]

<sup>462</sup>umbra (daw.) — abażur. [przypis edytorski]

<sup>463</sup>mamka — kobieta karmiąca piersią nie swoje dziecko. [przypis edytorski]

<sup>464</sup>zmóc (daw.) — pokonać. [przypis edytorski]

<sup>465</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>466</sup>lupanar (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

Edzio stoi w swym pokoju do połowy obnażony i gimnastykuje się ciężarkami. Potrzebuje on dużo sił, w dwojnásób dużo sił w ramionach, które zastępują bezwładne nogi, i dlatego ćwiczy gorliwie, ćwiczy potajemnie całymi nocami.

Adela odpływa wstecz, za siebie, w nieobecność, i nie może krzyknąć, zawołać, przeszkodzić temu, by Edzio wyłąził przez okno.

Edzio wyłązi na ganek nie uzbrojony w szczudła i Adela patrzy z przerażeniem, czy nogi go udźwigną. Ale Edzio nie próbuje chodzić.

Jak wielki biały pies zbliża się w czworonożnych przysiadach, w wielkich szurgających skokach po dudniących deskach ganku i już jest przy oknie Adeli. Jak co nocy przyciska swą bladą, tłustą twarz z bolesnym grymasem do lśniącej od księżycy szyby i mówi coś płacliwie, natarczywie, opowiada z płaczem, że mu zamykają na noc kule do szafy i teraz musi biegać po nocach jak pies na czworakach.

Adela jest jednak bezwładna, całkiem oddana głębokiemu rytmowi snu, który przez nią przepływa. Nie ma sił nawet, by wciągnąć koldrę na obnażone uda, i nie może nic poradzić, że przez ciało jej wędrują pluskwy, szeregi i kolumny pluskiew. Te lekkie i cienkie listki-kadłuby biegną przez nią tak delikatnie, że nie czuje najmniejszego muśnięcia. Są to płaskie torebki na krew, rude mieszki na krew, bez oczu i bez fizjonomii<sup>467</sup>, i teraz maszerują całymi klanami, wielka wędrówka ludów podzielona na pokolenia i na rody. Biegną od nóg krociami, niezliczoną promenadą, coraz większe, tak wielkie jak ćmy, jak płaskie pugilaresy<sup>468</sup>, jak wielkie czerwone wampiry bez głowy, lekkie i papierowe na nóżkach subtelniejszych od pajęczyny.

Ale gdy ostatnie spóźnione pluskwy przebiegły i znikły, jeszcze jedna, olbrzymia, i potem ostatnia — robi się całkiem cicho i podczas gdy pokoje nasiąkają powoli szarością świtu, płynie przez puste korytarze i mieszkania głęboki sen.

We wszystkich łózkach leżą ludzie z podciągniętymi kolanami, z twarzą gwałtownie w bok odrzuconą, głęboko skupioną, zanurzoną w sen i bez granic mu oddaną.

Jak któryś dorwał się snu, tak go trzyma kurczowo z żarliwą i bezprzytomną twarzą, podczas gdy oddech, wyprzedzając go daleko, błądzi samopas<sup>469</sup> na odległych drogach.

I jest to właściwie jedna wielka historia podzielona na partie, na rozdziały i na rapsody rozdzielone między tych śpiących. Gdy jeden przestaje i milknie, drugi podejmuje jego wątek i tak idzie to opowiadanie tam i sam szerokim, epickim gzygzakiem<sup>470</sup>, podczas gdy leżą w pokojach tego domu bezwładni jak mak w przegrodach wielkiej, głuchej makówki i rosną na tym oddechu ku świtowi.

## Emeryt

Jestem emerytem w dosłownym i całkowitym znaczeniu tego wyrazu, bardzo daleko posuniętym w tej własności, poważnie zaawansowanym, emerytem wysokiej próby.

Być może, że przekroczyłem nawet pod tym względem pewne ostateczne i dopuszczalne granice. Nie chcę tego zatajać, cóż w tym tak nadzwyczajnego? Po co robić zaraz wielkie oczy i patrzeć z tym obłudnym szacunkiem, z tą uroczystą powagą, w której tyle jest tajonej radości ze szkody bliźniego? Jak mało ludzie mają w gruncie rzeczy najprymitywniejszego taktu! Takie fakty należy przyjmować z najzwyczajniejszą miną, z pewnym roztargnieniem i z błahością inherentną<sup>471</sup> tym sprawom. Należy przechodzić nad tym lekko do porządku dziennego, nucąc sobie niejako coś pod nosem, tak jak ja nad tym lekko i beztrudnie przechodzę. Może dlatego jestem trochę niepewny w nogach i muszę stawiać powoli i ostrożnie stopy, stopa przed stopą, i bardzo uważać na kierunek. Tak łatwo jest zbroczyć przy tym stanie rzeczy. Czytelnik zrozumie, że nie mogę być zbyt wyraźnym. Moja forma egzystencji zdana jest w wysokim stopniu na domysłność, wymaga pod tym względem wiele dobrej woli. Będę niejednokrotnie do niej apelował, do bardzo

<sup>467</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>468</sup>pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

<sup>469</sup>samopas (daw.) — sam jeden. [przypis edytorski]

<sup>470</sup>gzygzak — dziś popr.: zygzak. [przypis edytorski]

<sup>471</sup>inherentny — nierozłączny z czymś, przynależny do czegoś. [przypis edytorski]

subtelnych jej odcieni, o które można się upomnieć jedynie pewnym dyskretnym mruganiem, utrudnionym dla mnie specjalnie z powodu sztywności maski odzwyczajonej od ruchów mimicznych. Zresztą nie narzucam się nikomu, daleki jestem od tego, żeby się rozpląwać z wdzięczności za azylum udzielone mi łaskawie w czyjejs domyślności. Kwituję z tej koncesji<sup>472</sup> bez wzruszenia, chłodno i z zupełną obojętnością. Nie lubię, gdy mi ktoś wraz z dobrodziejstwem zrozumienia prezentuje rachunek wdzięczności. Najlepiej, gdy się mnie traktuje z pewną lekkością, z pewną zdrową bezwzględnością, żartobliwie i po koleżeńsku. Pod tym względem moi poczciwi, prości duchem koledzy z biura, młodszy koledzy z urzędu, utrafilo ton właściwy.

Zachodzę tam czasami z przyzwyczajenia, około pierwszego każdego miesiąca, i stoję cicho przy balustradzie czekając, aż mnie zauważą. Rozgrywa się wtedy następująca scena. W pewnej chwili naczelnik urzędu, pan Kawalkiewicz, odkłada pióro, daje oczyma znak urzędnikom i mówi nagle, patrząc mimo<sup>473</sup> mnie w próżnię powietrza, z ręką przy uchu: — Jeśli mnie słuch nie myli, to to pan, panie radco, gdzieś tu jest między nami w pokoju! — Jego oczy, utkwione wysoko nade mną w próżni, wchodzą w zez, gdy to mówi, twarz uśmiechnięta jest figlarnie. — Usłyszałem głos jakiś w przestworzach i zaraz pomyślałem sobie, że to musi być nasz kochany pan radca! — woła on głośno, z natężeniem, jakby do kogoś bardzo odległego. — Niechże pan zrobi jakiś znak, niech pan zmąci choć powietrze w tym miejscu, gdzie pan się unosi. — Wolne żarty, panie Kawalkiewicz — mówię mu cicho, prosto w twarz — przyszedłem po moją pensję. — Po pensję? — krzyczy pan Kawalkiewicz patrząc zezowato w powietrze — pan powiedział: po pensję? Pan żartuje, kochany panie radco. Pan już dawno skreślony jest z listy emerytalnej. Jak długo pan chce pobierać jeszcze pensję, łaskawy panie?

W ten sposób żartują sobie ze mnie w sposób ciepły, ożywczy i ludzki. Ta szorstka rubasność<sup>474</sup>, ten bezceremonialny chwyt za ramię sprawia mi dziwną ulgę. Wychodzę stamtąd pokrzepiony i raźniejszy i śpieszę prędko do domu, żeby zanieść do mieszkania trochę tego miłego wewnętrznego ciepła, które się już ulatnia.

Ale natomiast inni ludzie... Natrętne, nigdy nie wypowiedziane pytanie, które czytamy ciągle w ich oczach. Niepodobna się od niego opędzić. Przypuśćmy, że tak jest — dlaczego zaraz te wydłużone miny, te uroczyste twarze, to cofające się niejako z szacunku milczenie, ta przestraszona oględność<sup>475</sup>? Ażeby tylko ani słówkiem nie potrącić, przemilczeć delikatnie mój stan... Jakże przenikam tę grę! Nie jest to nic innego ze strony ludzi, jak forma sybaryckiego<sup>476</sup> smakowania w sobie, delektowania się swoją na szczęście innością, maskowane hipokryzją gwałtowne odżegnywanie się od mojego stanu. Wymieniają wymownie spojrzenia i milczą, i pozwalają tej rzeczy w milczeniu się rozrastać. Mój stan! Być może, że nie jest on całkiem poprawny. Może jest w nim pewien nieznaczący mankament<sup>477</sup> zasadniczej natury! Mój Boże! Cóż z tego? Nie jest to jeszcze powód do tej prędkiej i przerażonej ustepliwości. Nieraz zbiera mnie pusty śmiech, gdy widzę to nagle poważniejące zrozumienie, to skwapliwe<sup>478</sup> uznanie, z jakim robią niejako miejsce memu stanowi. Jak gdyby to był argument zgoła nieodparty, ostateczny, bezapelacyjny. Dlaczego nalegają tak bardzo na ten punkt, dlaczego jest dla nich ponad wszystko ważne i dlaczego daje im stwierdzenie tego tę głęboką satysfakcję, którą kryją za maską spłoszonej dewocji?

Przypuśćmy, że jestem, żeby tak rzec, pasażerem lekkiej wagi, w istocie ponad miarę lekkiej wagi, przypuśćmy, że wprawiają mnie w kłopot pewne pytania np.: jak stary jestem, kiedy obchodzę imieniny itp. — czy to jest powód, żeby nieustannie krążyć dookoła tych pytań, jak gdyby w tym tkwiło sedno rzeczy? Nie żebym się wstydził mego stanu. Bynajmniej. Ale nie mogę znieść przesady, z jaką wyogromniają<sup>479</sup> znaczenie pewnego faktu, pewnego rozróżnienia, w istocie jak włos cienkiego. Śmiesz mi ta cała fałszywa

<sup>472</sup>koncesja — ustępstwo. [przypis edytorski]

<sup>473</sup>mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>474</sup>rubasność — bezpośredniość, bezceremonialność w sposobie bycia. [przypis edytorski]

<sup>475</sup>ogłędność — ostrożność i delikatność w zachowaniu. [przypis edytorski]

<sup>476</sup>sybarycki — świadczący o rozmilowaniu w radościach życia. [przypis edytorski]

<sup>477</sup>mankament — defekt, wada. [przypis edytorski]

<sup>478</sup>skwapliwy (daw.) — szybki a. chętny. [przypis edytorski]

<sup>479</sup>wyogromniać — wyolbrzymiać. [przypis edytorski]

teatralność, ten uroczysty patos, jaki spiętrzano nad tą sprawą, to drapowanie<sup>480</sup> momentu w kostium tragiczny, pełen ponurej pompy. Tymczasem w rzeczywistości? Nic bardziej pozbawionego patosu, nic bardziej naturalnego, nic banalniejszego na świecie. Lekkość, niezależność, nieodpowiedzialność... I muzykalność, nadzwyczajna muzykalność członków, żeby tak się wyrazić. Nie można przejść obok żadnej katarynki, żeby nie tańczyć. Nie z wesołości, ale ponieważ jest nam wszystko jedno, a melodia ma swoją wolę, swój uparty rytm. Więc ustępuje się. „Małgorzatko, skarbie mojej duszy...” Jest się za lekkim, zbyt nieodpornym, żeby się sprzeciwić, a zresztą w imię czego sprzeciwić się tak nieobowiązująco zachęcającej, tak bezpretensjonalnej propozycji? Więc tańczę, a raczej drepę w takt melodii drobnym truchcikiem emerytów, podskakując od czasu do czasu. Mało kto to zauważa, zajęty sobą w bieganinie dnia powszedniego. Jednemu chciałbym zapobiec, by czytelnik nie robił sobie wygórowanych wyobrażeń o mojej kondycji. Przestrzegam wyraźnie przed przecenianiem jej i to zarówno *in plus*, jak też *in minus*. Tylko żadnej romantyki. Jest to kondycja jak każda inna, jak każda inna nosząca w sobie znamię najnaturalniejszej zrozumiałości i zwyczajności. Wszelka paradoksalność znika, gdy się raz jest po tej stronie sprawy. Wielkie otrzeźwienie — tak mógłbym nazwać mój stan, wyzbycie się wszystkich ciężarów, taneczna lekkość, pustka, nieodpowiedzialność, zniwelowanie różnic, rozluźnienie wszelkich więzów, rozprzęgnięcie się granic. Nic mnie nie trzyma i nic nie więzi, brak oporu, bezgraniczna swoboda. Dziwny indyferentyzm<sup>481</sup>, z jakim przesuwam się lekko wskroś wszystkich dymensji<sup>482</sup> bytu — powinno to być właściwie przyjemne — czy ja wiem? Ta bezdenność, ta wszędobylskość, niby to beztroska, obojętna i lekka — nie chcę się skarżyć. Jest taki zwrot: nie zagrzewać nigdzie miejsca. Oto jest właśnie: dawno przestałem już zagrzewać miejsce pod sobą.

Gdy z okna mego pokoju, wysoko położonego, patrzę na miasto, na dachy, ściany ogniowe<sup>483</sup> i kominy w burym świetle jesiennego świtu, na cały ten gęsto zabudowany krajobraz z ptasiej perspektywy, ledwo rozpowity z nocy, dniejący blade ku żółtym horyzontom, pokrajany na jasne strzępy przez czarne falujące nożyce krakania wroniego — czuję: oto jest życie. Każdy z nich tkwi w sobie, w jakimś dniu, do którego się budzi, w jakiejś godzinie, która do niego należy, w jakiejś chwili. Gdzieś tam w płóciennej kuchni gotuje się kawa, kucharka odeszła, brudny odbłask płomienia tańczy na podłodze. Czas zmylony ciszą odpływa na chwilę wstecz, poza siebie, i przez te nie liczone chwile rośnie z powrotem noc na falującym futerku kota. Zosia z pierwszego piętra ziewa długo i pręży się przeciągle, zanim otworzy okno do sprzątania, naspane obficie, nachrapane powietrze nocy leniwie wędruje do okna, przekracza je, wstępując powoli w burą i dymną szarość dnia. Dziewczyna zanurza ręce ociągłiwie w ciasto pościeli, ciepłe jeszcze, nakisłe od snu. Wreszcie z dreszczem wewnętrznym, z oczyma pełnymi nocy wytrząsa przez okno wielką, obfitą pierzynę i lecą na miasto puszki pierza, gwiazdki puchu, leniwy wysiew rojeń nocnych.

Wtedy marzę o tym, żeby zostać roznosicielem pieczywa, monterem sieci elektrycznej albo inkasentem<sup>484</sup> kasy chorych. Albo choćby kominiarzem. Rano, skoro świt, wchodzi się w jakąś bramę, lekko uchyloną, przy świetle latarki dozorczy, przykładając niedbale dwa palce do daszka, z żartem na ustach i wkracza w ten labirynt, ażeby gdzieś późnym wieczorem, na drugim końcu miasta go opuścić. Przez dzień cały przeprowadzać się z mieszkania do mieszkania, prowadzić jedną nie dokończoną, zawilą rozmowę, od końca do końca miasta, rozdzieloną na partie między lokatorów, zapytać o coś w jednym mieszkaniu i otrzymać odpowiedź w następnym, rzucić w jednym miejscu żart i długo w dalszych zbierać owoce śmiechu. Wśród trzaskania drzwiami przeprowadzać się przez ciasne korytarze, przez zastawione meblami sypialnie, przewracać nocniki, potrącać skrzypiące wózki, w których płaczą dzieci, schylać się po opuszczone grzechotki niemowląt. Ponad potrzebę długo zatrzymywać się w kuchniach i przedpokojach, gdzie sprzątaj służące. Dziewczęta, uwijając się, prężą młode nogi, napinają wypukłe podbicia, grają, połyskują tanim obuwiem, stukocą luźnymi pantofelkami...

<sup>480</sup>*drapowanie* — dosł. układać tkaninę w dekoracyjne fałdy, przen. uwznioślać. [przypis edytorski]

<sup>481</sup>*indyferentyzm* — obojętność. [przypis edytorski]

<sup>482</sup>*dymensja* (z łac.) — wymiar. [przypis edytorski]

<sup>483</sup>*ściana ogniowa* — mur mający zapobiec rozprzestrzenianiu się pożaru. [przypis edytorski]

<sup>484</sup>*inkasent* — osoba pobierająca opłaty. [przypis edytorski]

Takie są moje marzenia w nieodpowiedzialnych, zamarginesowych godzinach. Nie wypieram się ich, choć widzę ich bezsens. Każdy powinien znać granice swej kondycji i wiedzieć, co mu przystoi<sup>485</sup>.

Dla nas, emerytów, jest jesień na ogół niebezpieczną porą. Kto wie, z jakim trudem dochodzi się w naszym stanie do jakiej takiej stabilizacji, jak trudno właśnie nam, emerytom, uniknąć rozprószenia, zgubienia się z rąk własnych, ten zrozumie, że jesień, jej wichury, wzburzenia i konfuzje<sup>486</sup> atmosferyczne nie sprzyjają naszej i tak zagrożonej egzystencji.

Są jednak w jesieni dni inne, pełne spokoju i zadumy, które są dla nas łaskawe. Zdarzają się niekiedy dni takie bez słońca, ciepłe, zamglone i bursztynowe na dalekich krawędziach. W przerwie między domami otwiera się nagle widok w głąb, na połąc nieba schodzącego nisko, coraz niżej, aż do ostatecznej rozwianej żółtości najdalszych horyzontów. W tych perspektywach otwierających się w głąb dnia wędruje wzrok jakby w archiwa kalendarza, jak w przekroju dostrzega nawarstwienia dni, nieskończone registry<sup>487</sup> czasu, uchodzące szpalerami w żółtą i jasną wieczność. To wszystko spiętrza się i szereguje w płowych<sup>488</sup> i zatraconych formacjach nieba, podczas gdy na pierwszym planie jest dzień obecny i chwila i rzadko kto podnosi wzrok ku dalekim regałom tego złudnego kalendarza. Pochyleni ku ziemi wszyscy dążą dokądś, wymijają się niecierpliwie i ulica porysowana jest całą liniami tych dążeń, spotkań i wymijań. Ale w tej luce domów, skąd wzrok ulatuje na cały dół miasta, na całą tę panoramę architektoniczną, przejaśnioną od tyłu smugą jasności, zanikającą ku mdłym horyzontom, jest przerwa i pauza w tym zgiełku. Tam na rozszerzonym i jasnym placu rzną drzewo dla szkoły miejskiej. Stoją tam w czworokątach i kubach sęgi<sup>489</sup> zdrowego, jędrnego drzewa, topniejącego powoli, polano za polanem, pod piłkami i siekierami rębaczy. Ach, drewno, zaufana, pocziwa, pełnowartościowa materia rzeczywistości, na wskroś jasna i rzetelna, ucieleśnienie uczciwości i prozy życia. Jakkolwiek głęboko szukałbyś w najgłębszym jej rdzeniu — nie znajdziesz nic, czego by już na powierzchni nie wyjawiała po prostu i bez zastrzeżeń, zawsze równomiernie uśmiechnięta i jasna tą ciepłą i pewną jasnością swego włóknistego miąższu utkanego na podobieństwo ciała ludzkiego. W każdym świeżym przełomie rozłupanego polana ukazuje się twarz nowa, a wciąż ta sama, uśmiechnięta i złota. O, przedziwna karnacja drzewa, ciepła bez egzaltacji<sup>490</sup>, na wskroś zdrowa, wonna i miła.

Prawdziwie sakramentalna czynność pełna powagi i symbolu. Rąbanie drzewa! Mógłbym godzinami stać tak w tej jasnej luce otwartej w głąb późnego popołudnia i patrzeć na te melodyjnie grające piły, na równomierną pracę siekier. Tu jest tradycja tak stara jak ród ludzki. W tej jasnej szczybie dnia, w tej luce czasu otwartej na żółtą i zwiędłą wieczność rżnie się sęgi bukowego drzewa od czasów Noego. Te same ruchy patriarchalne i odwieczne, te same zamachy i pochylenia. Stoją po pachy w tej złotej cieszolce i wrzynają się powoli w kubiki i sęgi drzewa, obsypani trociną, z maleńką iskierką refleksu w oczach, wrębiają się coraz głębiej w ciepły i zdrowy miąższ, w litą masę, i mają za każdym lupnięciem złoty błysk w oczach, jak gdyby szukali czegoś w sednie drzewa, jak gdyby chcieli się dorąbać złotej salamandry, piskliwego żyjątka ognistego, wciąż uciekającego w głąb rdzenia. Nie, oni po prostu dzielą czas na drobne polana, gospodarują czasem, zapelniają piwnice dobrą i równomiernie porżniętą przyszłością na zimowe miesiące.

Byłe przetrwać ten czas krytyczny, tych parę tygodni, wnet zaczną się już poranne przymrozki i zima. Jakże lubię ten wstęp do zimy, jeszcze bez śniegu, ale z zapachem mrozu i dymu w powietrzu. Pamiętam takie popołudnia niedzielne późną jesienią. Przypuśćmy, że cały tydzień przedtem padały deszcze, długa szaruga jesienna, aż wreszcie ziemia nasyciła się wodą i teraz zaczyna schnąć i matowieć na wierzchu, wydzielając krępkę, zdrowy chłód. Całotygodniowe niebo z powłoką chmur w łachmanach zgrabiono, jak błoto, na jedną stronę nieboskłonu, gdzie ciemnieje stosami, faldziste i pomięte,

<sup>485</sup>przystoi (daw.) — wypada, jest właściwe. [przypis edytorski]

<sup>486</sup>konfuzja (daw.) — zagubienie, zakłopotanie. [przypis edytorski]

<sup>487</sup>registry — dziś popr.: rejestr. [przypis edytorski]

<sup>488</sup>płowy — szarżółty. [przypis edytorski]

<sup>489</sup>sęgi — stos drewna. [przypis edytorski]

<sup>490</sup>egzaltacja — przesadne wyrażanie uczuć. [przypis edytorski]

a od zachodu zaczynają przenikać powoli zdrowe, czerstwe<sup>491</sup> kolory jesiennego wieczoru i zabarwiają chmurny krajobraz. I podczas gdy niebo przeczysto się powoli od zachodu, wydzielając przezroczystą klarowność, idą służące odświętnie ubrane, idą trójkami, czwórkami, trzymając się za ręce, pustą, niedzielnie czystą i wysychającą ulicą pomiędzy domkami przedmieścia, kolorowymi w tej cierpkiej barwności powietrza, które kraśnieje przed zmierzchem, idą smagłe i zaokrąglone na twarzy od zdrowego zimna i stawiają elastycznie nogi w nowym przyciasnym obuwiu. Miłe, wzruszające wspomnienie wydobyte z zakamarka pamięci!

Ostatnio chodziłem prawie codziennie do urzędu. Zdarza się czasem, że ktoś zacharuje i pozwalają mi na jego miejsce pracować. Czasem ktoś po prostu ma jakąś pilną sprawę na mieście i daje się zastąpić w pracy biurowej. Niestety, regularna praca to nie jest. Przyjemnie jest mieć, choć na parę godzin, swoje krzesło ze skórzaną poduszką, swoje linealy<sup>492</sup>, ołówki i pióra. Przyjemnie jest być potrąconym albo i ofukniętym po koleżeńsku przez współpracujących. Ktoś zwraca się do człowieka, ktoś powie jakieś słowo, zakpi, zażartuje — i odkwita się na chwilę. Zahacza się człowiek o kogoś, zaczepia swą bezdomność i nicość o coś żywego i ciepłego. Ten drugi odchodzi i nie czuje mego ciężaru, nie zauważa, że mnie niesie na sobie, że pasożytuje przez chwilę na jego życiu...

Ale odkąd przyszedł nowy naczelnik biura i to się skończyło.

Siadam teraz często, jeżeli jest pogoda, na ławce, na małym skwerze, naprzeciw szkoły miejskiej. Z ulicy obok dochodzi stuk siekier rąbiących drzewo. Dziewczęta i młode kobiety wracają z targu. Niektóre mają poważne i regularnie zarysowane brwi i idą patrząc spod nich groźnie, smukłe i chmurne — anielice z koszykami pełnymi jarzyn i mięsa. Czasem przystają przed sklepami i przyglądają się sobie w szybie wystawowej. Potem odchodzą, rzuciwszy z góry dumny i musztrujący<sup>493</sup> wzrok za siebie, na koniec własnego bucika. O dziesiątej godzinie wychodzi stróż na próg szkoły i krzykliwy dzwonek jego napęlnia swym zgiełkiem ulicę. Wtedy wewnątrz szkoły zdaje się nagle wzburzać gwałtownym tumultem<sup>494</sup>, o mało co nie rozsadzającym budynku. Jak gdyby zbiegowie, z tej powszechnej zamieszki wylatują jak z procy małe obdartusy z bramy, zlatują z wrzaskiem z kamiennych schodków, ażeby znalazłszy się na wolności, przedsięwziąć jakieś niepoczytalne skoki, rzucać się w szalone imprezy zaimprovizowane na oślep, między dwoma hypnięciami oczu. Czasem zapędzają się w tych nieprzytomnych gonitwach aż do mojej ławki, rzucają w przelocie w moją stronę niezrozumiałe wyzwiska. Ich twarze zdają się wychodzić z zawiasów przy gwałtownych grymasach, które do mnie stroją. Jak stado zaaferowanych małych komentujących parodystycznie swe błazeńskie wyczyny — przelatuje ta gromada mimo<sup>495</sup>, gestykulując z piekielnym wrzaskiem. Widzę wtedy ich zadarte i ledwo zaznaczone noski, nie mogące wstrzymać wycieku, ich usta rozdarłe krzykiem i pokryte krostami, ich małe zaciśnięte pięści. Zdarza się, że zatrzymują się czasem przy mnie. Rzecz dziwna, biorą mnie za rówieśnika. Mój wzrost znajduje się od dawna w zaniku. Twarz moja, rozluźniona i zwiotczała, przybrała pozór dziecinnej. Jestem nieco zakłopotany, gdy tykają<sup>496</sup> mnie bezceremonialnie. Kiedy mnie po raz pierwszy jeden z nich uderzył zniemacka w pierś, potoczyłem się pod ławkę. Ale nie obraziłem się. Wyciągnęli mnie stamtąd błogo zmieszanego i zachwyconego tak świeżym i ożywczym postępowaniem. Ta zaleta, iż nie obrażam się za żadną gwałtowność ich impetycznego<sup>497</sup> *savoir-vivre*<sup>498</sup> u ujednuje mi stopniowo miar<sup>499</sup> i popularność. Łatwo się domyślić, że opatruję odtąd pilnie me kieszenie w odpowiednią kolekcję guzików, kamyków, szpilek od nici, kawałków gumy. Ułatwia to niezmiernie wymianę myśli i stanowi pomost naturalny w nawiązywaniu przyjaźni. Przy tym, pochłonięci rzeczowymi zainteresowaniami, mniej zwracają uwagę na mnie samego. Pod osłoną arsenału wydobytego z kieszeni nie

<sup>491</sup>czerstwy — zdrowy i silny. [przypis edytorski]

<sup>492</sup>lineal (daw.) — linijka. [przypis edytorski]

<sup>493</sup>musztrujący — tu: surowo krytykujący a. sprawdzający. [przypis edytorski]

<sup>494</sup>tumult — zgiełk, zamieszanie. [przypis edytorski]

<sup>495</sup>mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>496</sup>tykać — zwracać się przez „ty”. [przypis edytorski]

<sup>497</sup>impetyczny — gwałtowny. [przypis edytorski]

<sup>498</sup>savoir-vivre (z fr.) — dobre wychowanie. [przypis edytorski]

<sup>499</sup>miar — szacunek. [przypis edytorski]



potrzebuję się obawiać, by ich ciekawość i wścibstwo stało się wobec mnie samego natarczywe.

W końcu postanowiłem wprowadzić w czyn pewną myśl, która mnie od pewnego czasu coraz uporczywiej nurtuje.

Był dzień bezwietrzny, łagodny i zamyślony, jeden z tych dni późnej jesieni, w których rok, wyczerpawszy wszystkie kolory i odcienie tej pory, zdaje się powracać do wiosennych rejestrów kalendarza. Niebo bez słońca ułożyło się w kolorowe smugi, łagodne warstwy kobaltu, grynszpanu<sup>500</sup> i seledynu, zamknięte na samej krawędzi smugą czystej jak woda białości — kolor kwietnia, niewymowny i dawno zapomniany. Wdziałem najlepsze ubranie i wyszedłem na miasto nie bez pewnej tremy. Szedłem prędko, bez przeszkód, w zacisznej aurze tego dnia, nie zboczywszy ani razu z prostej linii. Bez tchu wbiegłem na kamienne schodki. *Alea iacta est*<sup>501</sup> — powiedziałem do siebie, zapukawszy do drzwi kancelarii. Stałem w skromnej postawie przed biurkiem pana dyrektora, jak przystało w nowej mej roli. Byłem nieco zmieszany.

Pan dyrektor wyjął z oszklonego pudełka chrabąszcza na szpilce i zbliżył go ukośnie do okna, patrząc nań pod światło. Palce miał zawalane atramentem, paznokcie krótkie i płasko obcięte. Spojrzał na mnie zza okularów.

— Pan radca chciałby zapisać się do pierwszej klasy? — rzekł. — Bardzo chwalebne i godne uznania. Rozumiem, radca chcesz od podstaw, od fundamentów swą edukację odbudować. Zawsze powtarzam: gramatyka i tabliczka mnożenia oto są podstawy wykształcenia. Naturalnie nie możemy radcy traktować jak ucznia podlegającego przymusowi szkolnemu. Raczej jako hospitant<sup>502</sup>, jako weterana abecadła, żeby się tak wyrazić, który po długiej tulańce zawiął niejako powtórnie do ławy szkolnej. Skierował swą skołataną nawę do tego portu, że się tak wyrażę. Tak, tak, panie radco, niewielu okazuje nam tę wdzięczność, to uznanie dla naszych zasług, by po wieku pracy, po wieku trudów powrócić do nas i osiąść już tu na stałe jako dobrowolny, dożywotni repent<sup>503</sup>. Pan radca będzie na wyjątkowych u nas prawach. Zawsze mówiłem...

— Przepraszam — przerwałem mu — ale chciałbym nadmienić, że co do wyjątkowych praw, to zrzekam się całkowicie... Nie życzę sobie uprzywilejowania. Wprost przeciwnie... Nie chciałbym w niczym wyróżniać się, owszem, zależy mi na tym, żeby jak najbardziej zlać się, zaniknąć w szarej masie klasy. Cały mój zamysł chybiłby celu, gdybym w czymkolwiek był uprzywilejowany w porównaniu z innymi. Nawet jeżeli chodzi o karę cielesną — tu podniosłem palec — uznaję w zupełności zbawienny i umoralniający jej wpływ — zastrzegam się wyraźnie, by nie czyniono co do mnie pod tym względem żadnych wyjątków.

— Bardzo chwalebne, bardzo pedagogiczne — rzekł pan dyrektor z uznaniem. — Poza tym sędzę — dodał — że pańskie wykształcenie okazuje wskutek długiego nieużywania w istocie już pewne luki. Oddajemy się pod tym względem zazwyczaj optymistycznym złudzeniom, które łatwo jest rozwiązać. Czy pan jeszcze pamięta na przykład, ile jest pięć razy siedem?

— Pięć razy siedem — powtórzyłem zmieszany, czując, jak pomieszenie, napływające ciepłą i błogą falą do serca, przesłania mgłą jasność mych myśli. Olśniony jak objawieniem własną ignorancją, zacząłem na wół z zachwyty, że wracam rzeczywiście do dziecinnej nieświadomości, jąkać się i powtarzać: pięć razy siedem, pięć razy siedem...

— No widzi pan — rzekł dyrektor — najwyższy czas, że się pan zapisał do szkoły. — Potem, wzięwszy mnie za rękę, zaprowadził do klasy, w której odbywała się nauka.

Znowu jak przed pół wiekiem znalazłem się w tym zgiełku, w tej sali rojnej i ciemnej od mrowia ruchliwych głów. Stałem małej na środku, trzymając się poły pana dyrektora, podczas gdy pięćdziesiąt par młodych oczu przypatrywało mi się z obojętną, okrutną rzeczowością zwierzątek, które widzą osobnika tej samej rasy. Z wielu stron wykrzywiano do mnie twarze, robiono miny w prędkiej zdawkowej wrogości, wystawiano

<sup>500</sup>*grynszpan* — zielony nalot na miedzi pojawiający się pod wpływem oddziaływania warunków atmosferycznych. [przypis edytorski]

<sup>501</sup>*Alea iacta est* (łac.) — kości zostały rzucone (zwrot przysłowiowy, oznaczający decyzję, której nie da się cofnąć). [przypis edytorski]

<sup>502</sup>*hospitant* — osoba przeprowadzająca hospitację. [przypis edytorski]

<sup>503</sup>*repent* — osoba powtarzająca klasę. [przypis edytorski]

języki. Nie reagowałem na te zaczepki, pomny na dobre wychowanie, które niegdyś odebrałem. Rozglądając się w tych ruchliwych twarzach, pełnych niedoleźnych grymasów, przypomniałem sobie tę samą sytuację sprzed pięćdziesięciu lat. Wtenczas stałem tak obok matki, podczas gdy ona załatwiała sprawę z nauczycielką. Obecnie zamiast matki pan dyrektor szeptał coś do ucha pana profesora, który kiwał głową i przypatrywał mi się z powagą.

— To jest sierota — rzekł wreszcie do klasy — nie ma ani ojca, ani matki — nie dokuczajcie mu zbyt.

Łzy zakręciły mi się w oczach przy tym przemówieniu, prawdziwe łzy rozczulenia, a pan dyrektor wsunął mnie, sam wzruszony, do pierwszej ławki.

Odtąd zaczęło się dla mnie nowe życie. Szkoła pochłonęła mnie od razu w zupełności. Nigdy za czasów mego dawnego życia nie bywałem tak zaabsorbowany tysiącem spraw, intryg i interesów. Żyłem w jednym wielkim zaferowaniu. Nad moją głową krzyżowało się tysiąc najróżnorodniejszych interesów. Przesyłano mi sygnały, telegramy, dawano znaki porozumiewawcze, psykano, mrugano i na wszystkie sposoby przypominano mi na migi tysiące zobowiązań, które zaciągnąłem. Ledwo mogłem doczekać się końca lekcji, podczas której z wrodzonej przyzwoitości wytrzymywałem ze stoicyzmem wszystkie ataki, ażeby ani słowa nie uronić z nauk pana profesora. Za ledwie rozległ się głos dzwonka, zwałała się na mnie ta rozwrzeszczana zgraja, opadała mnie z żywiołowym impetem, roznosząc mnie prawie na sztuki. Nadbiegli z tyłu poprzez ławki, dudniąc nogami na pulpity, przeskakiwali mi nad głową, koziolkowali przeze mnie. Każdy wrzeszczał mi do ucha swe pretensje. Stałem się centrum wszystkich interesów, najpoważniejsze transakcje, najzawilsze i najdrażliwsze afery nie mogły obejść się bez mego udziału. Chodziłem po ulicy otoczony zawsze hałaśliwą hałastrą gestykującą gwałtownie. Psy wymijały nas z daleka z podwinętymi ogonami, koty wskakiwały na dachy za naszym zbliżaniem się, a samotni malcy, napotkani po drodze, chowali z biernym fatalizmem głowę między ramiona, przygotowani na najgorsze.

Nauka szkolna nie straciła dla mnie nic na uroku nowości. Na przykład sztuka sylabizowania. Profesor apelował po prostu do naszej niewiedzy, umiał ją wydobywać z wielką zręcznością i sprytem, docierał w nas wreszcie do owej *tabula rasa*<sup>504</sup>, która jest podłożem wszelkiego nauczania. Wypłeniwszy w nas w ten sposób wszystkie przesady i nawyki, rozpoczął od podstaw naukę. Z trudem i natężeniem dukaliśmy melodyjnie dźwięczne sylaby, pociągając w pauzach nosem i wyciskając na książce palcem literę po literze. Mój elementarz nosił takie same ślady palca wskazującego, zagęszczone przy trudniejszych literach — co elementarze moich kolegów.

Pewnego razu, nie pamiętam już, o co poszło, wszedł pan dyrektor do klasy i wśród ciszy, jaka nagle zaległa, wskazał palcem na trzech spomiędzy nas, między nimi i na mnie. Musieliśmy natychmiast udać się z nim do kancelarii. Wiedzieliśmy, czym to pachnie, i dwaj moi współwinowajcy zaczęli już z góry beczeć. Patrzyłem obojętnie na ich niewczesną skrucę, na zdeformowane nagłym płaczem twarze, jak gdyby z pierwszymi łzami zesza z nich maska ludzka i obnażyła bezkształtną miazgę płaczącego mięsa. Co do mnie — byłem spokojny, z determinacją natur moralnych i sprawiedliwych poddawałem się biegowi rzeczy, gotów ze stoicyzmem znieść konsekwencje mych czynów. Ta siła charakteru, wyglądająca na zatwardziałość, nie podobała się panu dyrektorowi, gdyżśmy wszyscy trzej winowajcy stanęli przed nim w kancelarii — pan profesor asystował tej scenie z trzcina w ręku. Z obojętności rozpiąłem pasek, ale pan dyrektor, spojrzawszy, zawołał: — Wstyd, czy to możliwe? w tym wieku? — i popatrzył zgorzony na pana profesora. — Dziwny wybryk natury — dodał z grymasem wstrętu. Potem, odprawivszy malców, miał do mnie długie i poważne kazanie, pełne żalu i dezaprobaty. Ale nie rozumiałem go. Gryząc bezmyślnie paznokcie, patrzyłem tępo przed siebie i potem powiedziałem: — Plosę pana pofesora, to Wacek pluł na bułkę pana pofesora. — Byłem już naprawdę dzieckiem.

Starość, Dzieciństwo

<sup>504</sup>*tabula rasa* (łac.) — czysta tabliczka, symbol niewiedzy bądź braku założeń na dany temat. [przypis edytorski]

Na gimnastykę i rysunki szliśmy do innej szkoły, gdzie były specjalne urządzenia i sale dla tych przedmiotów. Maszerowaliśmy parami, gadając zajadle, wnosząc na każdą ulicę, na którą skręcaliśmy, nagły zgielk naszych zmieszanych sopranów.

Szkoła ta był to wielki drewniany budynek przerobiony z sali teatralnej, stary i pełen przybudówek. Wnętrze sali rysunkowej podobne było do ogromnej łaźni, sufit podparty drewnianymi słupami, pod sufitem biegła dookoła drewniana galeria, na którą wbiegaliśmy od razu, szturmując schody, dudniące jak burza pod naszymi nogami. Liczne boczne ubikacje nadawały się doskonale do zabawy w chowanek<sup>505</sup>. Profesor rysunków nie przychodził nigdy, dokazywaliśmy co niemiara. Od czasu do czasu wpadał dyrektor tej szkoły do sali, stawiał kilku najhałaśliwszych do kąta, nakręcał uszu paru najdzikszym, ale zaledwie odwracał się ku drzwiom, już za jego plecami rósł na nowo tumult.

Nie słyszeliśmy dzwonka oznajmającego koniec nauki. Robiło się popołudnie jesienne, krótkie i kolorowe. Po niektórych chłopców przychodziły matki i uprowadzały opornych, łajac i bijąc. Ale dla innych i pozbawionych tak troskliwej opieki domowej dopiero wtedy zaczynała się właściwa zabawa. Dopiero późnym zmierzchem stary stróż, zamykając szkołę, przepędzał nas do domu.

Rano panowała jeszcze o tej porze gęsta ciemność, gdy wychodziliśmy do szkoły, miasto leżało jeszcze w głuchym śnie. Posuwaliśmy się omackiem z wyciągniętymi rękami, szeleszcząc nogami w suchych liściach, które zalegały stosami ulice. Idąc trzymaliśmy się ściany domów, ażeby nie zabłądzić. Niespodzianie w jakiejś framudze<sup>506</sup> zmacywaliśmy ręką twarz kolegi idącego z przeciwnej strony. Ileż stąd było śmiechu, zgadywań i niespodzianek. Niektórzy mieli świeczki lojowe, zapalali je i miasto zasiane było wędrówkami tych ogarków, posuwających się nisko przy ziemi drżącym zygzakiem, spotykających się i przystających, ażeby oświecić jakieś drzewo, krąg ziemi, kupę zwiędłych liści, wśród których maleństwa szukają za kasztanami. Już też w niektórych domach zapalają się na piętrze pierwsze lampy, mętne światło wypada wyogromnione przez kwadraty szyb w noc miejską i kładzie się wielkimi figurami na plac przed domem, na ratusz, na ślepe fasady domów. A gdy ktoś, wzięwszy lampę do ręki, idzie z pokoju do pokoju — obracają się na dworze te ogromne prostokąty światła, jak karty kolosalnej księgi, i plac zdaje się wędrować kamienicami i przestawiać cienie i domy, jakby układał pasjanse z wielkiej talii kart.

Wreszcie dochodziliśmy do szkoły. Ogarki gasły, ogarniała nas ciemność, w której domacywaliśmy się naszych siedzeń w ławkach. Potem wchodził nauczyciel, zatykał świeczkę lojową do butelki i zaczynało się nudne odpytywanie słówek i deklinacji<sup>507</sup>. W braku światła nauka pozostawała pamięciowa i werbalna. Podczas gdy ktoś recytował monotonie, patrzyliśmy mrużąc oczy, jak ze świecy wystrzelają złote strzały, pogmatwane zygzaki i płaczą się, szeleszcząc jak słoma, w zmrużonych rzęsach. Pan profesor rozlewał atrament do kałamarzy, ziewał, wyglądał w noc czarną przez niskie okno. Pod ławkami panował głęboki cień. Nurkowaliśmy tam, chichocąc, wędrowali na czworakach, obwąchując się jak zwierzęta, dokonywaliśmy po ciemku i szeptem zwykłych transakcji. Nigdy nie zapomnę tych błogich godzin przedrannych w szkole, podczas gdy za szybami robił się powoli świt.

Nastała wreszcie pora wichrów jesiennych. Owego dnia już rano niebo stało się żółte i późne, modelowane na tym tle w mętnoszare linie imaginacyjnych krajobrazów, wielkich i mglistych pustkowi, odchodzących perspektywicznie malejącymi kulisami wzgórz i fałdów, zagęszczających się i drobniejących aż daleko na wschód, gdzie urywało się nagle jak falisty brzeg ulatującej kurtyny i ukazywało dalszy plan, głębsze niebo, lukę przestraszonej bladeści, blade i przerażone światło najdalszej dali — bezbarwne, wodnistojasne, którym jak ostatecznym osłupieniem kończył się i zamykał ten horyzont. Jak na sztychach Rembrandta widać było za dni tych pod tą smugą jasności dalekie, mikroskopijnie wyraźne krainy, które — zresztą nigdy nie widziane — podniosły się teraz zza horyzontu pod tą jasną szczeliną nieba, zalane jaskrawo-bladym i panicznym światłem, jak wynurzone z innej epoki i innego czasu, jak ukazany tęskniący ludom tylko na chwilę kraj obiecany.

<sup>505</sup>w chowanek — dziś: w chowanego. [przypis edytorski]

<sup>506</sup>framuga — rama, do której przymocowane jest okno lub skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

<sup>507</sup>deklinacja — odmiana przez przypadki i liczby. [przypis edytorski]

W tym miniaturowym i jasnym krajobrazie widać było z dziwną ostrością, jak wijącym się falisto torem posuwał się tam ledwo dostrzegalny w tej dali pociąg kolei żelaznej, puszczący się srebrnobiałą smużką dymu, i rozpływał się w jasnej nicości.

Ale potem zerwał się wiatr. Wypadł jak gdyby z tej jasnej luki nieba, zakołował i rozbiegł się po mieście. Był cały zrobiony z miękkości i łagodności, ale w dziwnej megalomanii<sup>508</sup> udawał brutala i gwałtownika. Miesił, przewracał i męczył powietrze, że umierało z błogości. Nagle usztywniał się w przestworzu i stawał dęba, rozpościerał się jak płótna żaglowe, ogromne, napięte, klaskające jak z bata prześcieradła, zadzierzgał się w twarde węzły, drżące od napięć, ze srogą miną, jakby chciał przytroczyć<sup>509</sup> całe powietrze do próżni, ale potem wyciągał zdradliwy koniec i rozpuszczał tę fałszywą pętlicę i już o milę dalej wyrzucał ze świstem swe lasso, swój pętający arkan<sup>510</sup>, który niczego nie chwycił.

A czego nie wyrabiał z dymem kominów! Biedny dym już sam nie wiedział, jak uniknąć jego lajań, jak uchylić głowę, na prawo czy na lewo, od jego ciosów. Tak panoszył się po mieście, jak gdyby raz na zawsze statuować chciał tego dnia pamiętny przykład bezgranicznej swej samowoli.

Od rana miałem przecucie nieszczęścia. Z trudem przeprowiałem się przez wichurę. Na rogach ulic, na skrzyżowaniu się przeciągów trzymali mnie koledzy za poły. Tak przeprowiałem się przez miasto i wszystko szło dobrze. Potem poszliśmy na gimnastykę do drugiej szkoły. Po drodze kupiliśmy sobie obwarzanki. Długi wąż par wkraczał, gęsto gadając, przez bramę do wnętrza. Jeszcze moment, a byłbym ocalony, w pewnym miejscu, bezpieczny aż do wieczora. W konieczności mogłem nawet nocować w sali gimnastycznej. Wierni koledzy byliby mi towarzyszyli przez noc. Nieszczęście chciało, że Wicek dostał tego dnia nowego baka i puścił go z rozmachem przed progiem szkoły. Bak huczał, zrobił się zator koło wejścia, wypchnięto mnie poza obręb bramy i w tej chwili porwało mnie. — Drodzy koledzy, ratujcie! — zawołałem, już wisząc w powietrzu. Jeszcze ujrzałem wyciągnięte ich ręce i krzyczące, rozwarte ich usta, w następnej chwili machnąłem koziołką i wionąłem wspaniałą, wstępującą linią. Już leciałem wysoko nad dachami. Lecąc tak bez tchu, widziałem oczyma wyobraźni, jak koledzy moi w klasie wyciągają ręce, strzygąc gwałtownie palcami, i wołają do nauczyciela: — Proszę pana profesora, Szymcia porwało! — Pan profesor spojrział przez okulary. Spokojnie podszedł do okna i osłaniając ręką oczy, wypatrywał uważnie horyzont. Ale mnie już nie mógł zobaczyć. Jego twarz w mdłym odbłasku płowego nieba zrobiła się całkiem pergaminowa. — Trzeba go skreślić z katalogu — rzekł z gorzką miną i poszedł do stołu. A mnie niosło wyżej i wyżej w żółte, niezbadane, jesienne przestworza.

## Samotność

Od kiedy mogę wychodzić na miasto, jest to dla mnie znaczną ulgą. Ale jakże długo nie opuszczałem mego pokoju! Były to gorzkie miesiące i lata.

Nie potrafię wytłumaczyć faktu, że jest to dawny mój pokój z dzieciństwa, ostatnia izba od ganku, już za owych czasów rzadko odwiedzana, wciąż zapominana, jakby nie należąca do mieszkania. Nie pamiętam już, jak tam zaszedłem. Zdaje mi się, że była noc jasna, wodnistobiała noc bezksiężycowa. Widziałem każdy szczegół w szarej poświacie. Łóżko było rozeslane, jakby dopiero co kto je opuścił, nasłuchiwałem w ciszy, czy nie dosłyszę oddechu śpiących. Któż mógł tu oddychać? Odtąd mieszkam tu. Siedzę tu od lat i nudzę się. Gdybym był zawczasu myślał o robieniu zapasów! Ach, wy, którzy jeszcze możecie, którym dany jest jeszcze własny czas na to, zbierajcie zapasy, ciulajcie ziarno, dobre i pożywne, słodkie ziarno, bo przyjdzie wielka zima, przyjdą lata chude i głodne i nie obrodzi ziemia w egipskim kraju. Niestety, nie byłem jak skrzętny chomik, byłem jak lekkomyślna mysz polna, żyłem z dnia na dzień bez troski o jutro, dufny w swój talent głodomora. Jak mysz myślałem sobie: cóż mi głód zrobi? w ostateczności mogę gryźć drzewo albo drobić pyszczkiem papier na drobne listeczki. Najuboższe zwierzę, sza-

Głód

<sup>508</sup>megalomania — mania wielkości. [przypis edytorski]

<sup>509</sup>przytroczyć — przymocować z pomocą rzemieni a. sznurków. [przypis edytorski]

<sup>510</sup>arkan — sznur zakończony pętlą, służący do chwytania zwierząt. [przypis edytorski]

ra mysz kościelna — na szarym końcu w księdze stworzenia — potrafię żyć z niczego. I tak oto żyję z niczego w tym umarłym pokoju. Muchy dawno w nim powyzdychały. Przykładam ucho do drzewa, czy tam w głębi robak nie chrobocze. Grobowa cisza. Tylko ja, nieśmiertelna mysz, samotny pogrobowiec, szeleszczę w tym martwym pokoju, przebiegam bez końca stół, etażerkę<sup>511</sup>, krzesła. Sunę podobna do ciotki Tekli, w długiej szarej sukni do ziemi, zwinna, prędką i małą, wlokąc za sobą szeleszczący ogonek. Siedzę teraz w biały dzień na stole nieruchoma, jak wypchana, oczy moje, jak dwa paciorki, wyszły na wierzch i błyszczą. Tylko koniec pyszczka pulsuje ledwo dostrzegalnie, żując drobniutko z przyzwyczajenia.

To należy naturalnie rozumieć metaforycznie. Jestem emerytem, a nie żadną myszą. Należy to do właściwości mojej egzystencji, że pasożytuję na metaforach, daję się tak łatwo ponosić pierwszej lepszej metaforze. Zapędziwszy się tak, muszę dopiero z trudem odwoływać się z powrotem, wracając powoli do opamiętania.

Jak wyglądam? Czasem widzę się w lustrze. Rzecz dziwna, śmieszna i bolesna! Wstyd wyznać. Nie widzę się nigdy *en face*<sup>512</sup>, twarzą w twarz. Ale trochę głębiej, trochę dalej stoję tam w głębi lustra nieco z boku, nieco profilem, stoję zamyślony i patrzę w bok. Stoję tam nieruchomo, patrząc w bok, nieco w tył za siebie. Nasze spojrzenia przestały się spotykać. Gdy się poruszę i on się porusza, ale na wpół w tył odwrócony, jakby o mnie nie wiedział, jakby zaszedł poza wiele lusterek i nie mógł już powrócić. Żal ściska serce, gdy go widzę tak obcego i obojętnego. Przecież to ty, chciałbym zawołać, byłeś moim wiernym odbiciem, towarzyszyłeś mi tyle lat, a teraz nie poznajesz mnie! Boże! Obcy i gdzieś w bok patrzący, stoisz tam i zdajesz się nasłuchiwać gdzieś w głąb, czekać na jakieś słowo, ale stamtąd, ze szklanej głębi, komuś innemu posłuszny, skądinąd czekający rozkazów.

Siedzę tak przy stole i wertuję<sup>513</sup> w starych pożółkłych skryptych uniwersyteckich — jedyna moja lektura.

Patrzę na spelzłą<sup>514</sup>, zetłą<sup>515</sup> firankę, widzę, jak lekko wzdyma się od zimnego tchu z okna. Na tym karniszu mógłbym się gimnastykować. Doskonały rek<sup>516</sup>. Jak lekko koziółkuje się na nim w jałowym, tylekroć już spożytym powietrzu. Od niechcienia niemal wykonuje się elastyczne salto mortale<sup>517</sup> — chłodno, bez udziału wewnętrznego, czysto spekulatywnie niejako. Gdy się tak stoi ekwilibrystycznie na tym reku, na końcach palców, dotykając głową sufitu, ma się uczucie, że w tej wysokości jest nieco cieplej, ma się ledwo wyczuwalne złudzenie łagodniejszej aury. Od dzieciństwa lubię tak patrzeć na pokój z ptasiej perspektywy.

Siedzę i słucham ciszy. Pokój jest po prostu wybielony wapnem. Czasem na białym suficie wystrzeli kurza łapka pęknięcia, czasem płatek tynku obsuwa się z szelestem. Czy mam zdradzić, że pokój mój jest zamurowany? Jakżeż to? Zamurowany? W jakim sposób mógłbym zeń wyjść? Otóż to właśnie: dla dobrej woli nie ma zapory, intensywnej chęci nic się nie oprze. Muszę sobie tylko wyobrazić drzwi, dobre stare drzwi, jak w kuchni mego dzieciństwa, z żelazną klamką i rygłem. Nie ma pokoju tak zamurowanego, żeby się na takie drzwi zaufane nie otwierał, jeśli tylko starczy sił, by mu je zainsynuować<sup>518</sup>.

## Ostatnia ucieczka ojca

Było to w późnym i zatroskanym okresie zupełnego rozprzężenia, w okresie ostatecznej likwidacji naszych interesów. Szyld zdjęty był już dawno znad drzwi naszego sklepu. Przy na wpół spuszczonej żaluzji prowadziła matka pokątny handel resztkami. Adela wyjechała do Ameryki. Mówiono, że okręt, którym płynęła, zatonął i wszyscy pasażer-

<sup>511</sup>etażerka — mebel składający się z kilku otwartych półek. [przypis edytorski]

<sup>512</sup>en face (fr.) — z przodu (z twarzą zwróconą w stronę patrzącego). [przypis edytorski]

<sup>513</sup>wertować — przeglądać książkę, przewracając kartki. [przypis edytorski]

<sup>514</sup>spelzły — wyblakły. [przypis edytorski]

<sup>515</sup>zetłaly — rozpadający się ze starości. [przypis edytorski]

<sup>516</sup>rek — drążek do ćwiczeń. [przypis edytorski]

<sup>517</sup>salto mortale (z wł.) — ryzykowny skok z dużej wysokości, w trakcie którego koziółkuje się w powietrzu. [przypis edytorski]

<sup>518</sup>zainsynuować — wmówić. [przypis edytorski]

rowie stracili życie. Nie sprawdziliśmy nigdy tej pogłoski, wieść o dziewczynie zaginęła, nie słyszeliśmy już więcej o niej. Nastąpiła nowa era, pusta, trzeźwa i bez radości — biała jak papier. Nowa służąca, Genia, anemiczna, blada i bezkostna, snuła się miękko po pokojach. Gdy ją było pogłaskać po plecach, wiała się i przeciągała jak wąż i mruczała jak kotka. Miała mętnobiałą cerę i nawet pod powieką emaliowych oczu nie była różowa. Przez roztargnienie robiła niekiedy zaprażkę<sup>519</sup> ze starych faktur i kopiałów<sup>520</sup> — mdłą i niejadalną.

W tym czasie ojciec mój umarł był już definitywnie. Umierał wielokrotnie, zawsze jeszcze nie doszczętnie, zawsze z pewnymi zastrzeżeniami, które zmuszały do rewizji tego faktu. Miało to swoją dobrą stronę. Rozdrabniając tak śmierć swą na raty, oswajał nas ojciec z faktem swego odejścia. Zobojętnieliśmy na jego powroty, coraz bardziej zredukowane, za każdym razem żałośniejsze. Fizjonomia<sup>521</sup> już nieobecnego rozeszła się niejako w pokoju, w którym żył, rozgałęziła się tworząc w pewnych punktach przedziwne węzły podobieństwa o nieprawdopodobnej wyrazistości. Tapety imitowały w pewnych miejscach drgawki jego tiku, arabeski<sup>522</sup> formowały się w bolesną anatomię jego śmiechu, rozłożoną na symetryczne członki jak skamieniały odcisk trylobita<sup>523</sup>. Czas jakiś obchodziliśmy w wielkim promieniu futro jego, podbite tchórzami. Futro oddychało. Popłoch zwierzątek wkąsanych w siebie i wszytych przelatywał przez nie w bezsilnych drgawkach i gubił w fałdach błamów<sup>524</sup>. Przyłożywszy ucho, można było słyszeć melodyjne mruczenie zgodnego ich snu. W tej formie dobrze wygarbowanej, z tym lekkim zapachem tchórzy, mordy i nocnych rui<sup>525</sup> mógłby być przetrwać lata. Ale i tu nie wytrzymał długo.

Pewnego razu matka przyszła z miasta z miną skonsternowaną<sup>526</sup>. — Popatrz, Józefie — rzekła — co za przypadek. Złapałam go na schodach skaczącego ze stopnia na stopień. — I uniosła chusteczki znad czegoś, co trzymała w talerzu. Poznałem go od razu. Podobieństwo było nie do zapoznania<sup>527</sup>, choć był teraz rakiem czy wielkim skorpionem. Potwierdziliśmy sobie to oczyma, głęboko zdumieni wyrazistością tego podobieństwa, które poprzez takie przemiany i metamorfozy narzucało się jeszcze wciąż z nieodpartą wprost siłą. — Czy żyje? — zapytałem. — Rozumie się, ledwo mogę go utrzymać — rzekła matka — czy mam go puścić na podłogę? — Postawiła talerz na ziemi, i, pochyleni nad nim, oglądaliśmy go teraz dokładniej. Zakłęsły między wieloma swymi kabłąkowatymi nogami, przebierał nimi nieznacznie. Uniesione nieco szczypce i wąsy zdawały się nasłuchiwać. Przechyliłem miskę i ojciec wyszedł ostrożnie, z pewnym wahaniem na podłogę, ale dotknąwszy płaskiego gruntu pod sobą, pobiegł nagle wszystkimi swymi kilkunastoma nogami, klekocąc twardymi kostkami członkonoga. Zagroziłem mu drogę. Zawahał się, dotknąwszy falującymi wąsami przeszkody, po czym uniosł szczypce i skręcił w bok. Daliśmy mu biec w obranym kierunku. Z tej strony żaden mebel nie mógł mu dać schronienia. Tak biegnąc w falistych drgawkach na swych rozlicznych nogach, dotarł do ściany i nim zdołaliśmy się spostrzec, wbiegł na nią lekko, nie zatrzymując się, całą armaturą<sup>528</sup> odnóży. Wstrząsnąłem się z instynktowną odrazą śledząc wielocłonkową wędrówkę, posuwającą się z łopotem po papierowych tapetach. Ojciec tymczasem doszedł do małej wmurowanej szafki kuchennej, przez chwilę przegiął się na jej krawędzi, badając szczypcami teren wewnątrz szafki, po czym wlaź cały do środka.

Poznawał jakoby na nowo mieszkanie z tej nowej krabiej perspektywy, recypował<sup>529</sup> przedmioty, być może węchem, gdyż mimo dokładnych oględzin nie mogłem wysledzić u niego żadnego organu wzroku. Zdawał się zastanawiać nieco nad przedmiotami spotykanymi na swej drodze, zatrzymywał się przy nich, dotykając ich lekko falujący-

<sup>519</sup>zaprążka — zasmażka. [przypis edytorski]

<sup>520</sup>kopiał — książka lub zeszyt, do którego przez kalkę wpisuje się kopie dokumentów. [przypis edytorski]

<sup>521</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>522</sup>arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>523</sup>trylobit — małe, prehistoryczne zwierzę morskie. [przypis edytorski]

<sup>524</sup>błama — pęk zszytych futer zwierzęcych. [przypis edytorski]

<sup>525</sup>ruja — okres wzmożonego pobudzenia seksualnego u samicy ssaka (np. kota). [przypis edytorski]

<sup>526</sup>skonsternowany — zakłopotany. [przypis edytorski]

<sup>527</sup>zapoznać — zapomnieć, tu: nie zauważyć. [przypis edytorski]

<sup>528</sup>armatura — tu konstrukcja podtrzymująca a. podpierająca coś. [przypis edytorski]

<sup>529</sup>recypować (z łac.) — postrzegać. [przypis edytorski]

mi wąsami, obejmował je nawet, jakby próbując, szczypcami, zawierał z nimi znajomość i dopiero po chwili odłączał się od nich i biegł dalej, wlokąc za sobą odwłok, lekko uniesiony nad podłogę. Tak samo postępował z kawałkami chleba i mięsa, które rzucaliśmy mu na podłogę w nadziei, że się nimi pożywi. Obmacywał je tylko pobieżnie i biegł dalej, nie domyślając się w tych przedmiotach rzeczy jadalnych.

Można było myśleć, widząc te jego cierpliwe rekonesanse na obszarze pokoju, że czegoś szuka zawzięcie i niezmordowanie. Od czasu do czasu biegł w kąt kuchni, pod beczkę z wodą, która przeciekała, i doszedłszy do kałuży, zdawał się pić. Niekiedy zapodziewał się na całe dni. Zdawał się doskonale obywać bez jedzenia i nie zauważyliśmy, żeby wskutek tego tracił coś na objawach żywotności. Z mieszanymi uczuciami wstydu i odrazy żywiliśmy za dnia tajoną obawę, że mógłby nas w nocy odwiedzić w łóżku. Ale to nie zdarzyło się ani razu, chociaż za dnia wędrował po wszystkich meblach i lubił zwłaszcza przebywać w szparze między szafami a ścianą.

Pewne objawy rozumu, a nawet pewnej figlarnej swawolności nie dawały się przeoczyć. Nigdy na przykład nie omieszkła<sup>530</sup> ojciec w porze posiłku pojawić się w jadalni, chociaż jego udział przy obiedzie był czysto platoniczny. Jeśli drzwi jadalni podczas obiadu były przypadkiem zamknięte, a ojciec znajdował się w sąsiednim pokoju, chrobotał tak długo pod drzwiami, biegnąc tam i z powrotem wzdłuż szpary, aż póki mu nie otworzono. Później nauczył się wsuwać w tę dolną szparę drzwi szczypce i nogi i po nieco forsownych chybotach ciała udawało mu się przepchać bokiem popod drzwiami do pokoju. To zdawało się go cieszyć. Nieruchomiał wtedy pod stołem, leżał całkiem cicho, pulsując tylko odwłokiem. Co oznaczało to rytmiczne pulsowanie błyszczącego odwłoka, nie mogliśmy odgadnąć. Było to coś ironicznego, nieprzyzwoitego i złośliwego, co zdawało się wyrażać zarazem jakąś niską i lubieżną satysfakcję. Nemrod, nasz pies, podchodził do niego powoli i bez przekonania, wahał ostrożnie, kichał i odchodził obojętnie, nie wyrobiwszy sobie zdecydowanego sądu.

Rozprężenie w naszym domu zataczało coraz szersze kręgi. Genia spała po całych dniach, jej smukłe ciało falowało bezkrotnie głębokim oddechem. Znajdowaliśmy często w zupie szpilki od nici, które wrzucała wraz z jarzyną przez nieuważę i dziwne roztargnienie. Sklep otwarty był *in continuo*<sup>531</sup> dniem i nocą. Wyprzedaż przy na wpół spuszczonej żaluzjach brała dzień w dzień swój zawity bieg wśród targów i perswazyj. Na domiar przyjechał wuj Karol.

Był dziwnie zdetonowany<sup>532</sup> i małomówny. Oświadczył z westchnieniem, że po ostatnich smutnych doświadczeniach postanowił zmienić tryb życia i zabrać się do studium języków. Nie wychodził z domu, zamknął się w ostatnim pokoju, z którego Genia ściągnęła wszystkie dywany i makaty, pełna dezaprobaty dla nowego gościa, i zagłębił się w studium starych cenników. Kilkakrotnie usiłował złośliwie nadeptać ojcu na odwłok. Z krzykiem i przerażeniem zabroniliśmy mu tego. Uśmiechał się tylko do siebie złośliwie, nieprzekonany, podczas gdy ojciec, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, zatrzymywał się z uwagą nad jakimiś plamami na podłodze.

Ojciec mój, chyży i ruchliwy, jak długo stał na nogach, dzielił ze wszystkimi skrupiakami tę właściwość, że przewróciwszy się na grzbiet, stawał się zupełnie bezbronny. Przykry był to i żalosny widok, gdy przebijając rozpaczliwie wszystkimi odnóżami, wirował bezradnie na grzbiecie dookoła własnej osi. Nie można było bez przykrości patrzeć na tę zbyt wyraźną i artykułowaną, bezwstydną niemal mechanikę jego anatomii, na wierzchu niejako leżącą i niczym nie osłoniętą od strony nagiego, wielozłonkowego brzucha. Wuj Karola podrywało aż w takich chwilach, żeby go przydeptać. Biegaliśmy na ratunek i podawaliśmy ojcu jakiś przedmiot, którego chwycił się kurczowo szczypcami i odzyskiwał zręcznie normalną pozycję, puszczając się natychmiast w bieg dookolny błyskawicznym zygzakiem, ze zdwojoną szybkością, jak gdyby chciał zatrzeć wspomnienie kompromitującego upadku.

Z przykrością muszę się przezwyciężyć, ażeby opowiedzieć zgodnie z prawdą niepojęty fakt, przed którego rzeczywistością wzdraga się cała moja istota. Do dziś dnia nie mogę pojąć, że byliśmy w całej rozciągłości świadomymi sprawcami tego faktu. W tym

Los

<sup>530</sup>omieszkąć — zaniedbać jakiegoś działania, zrezygnować z czegoś. [przypis edytorski]

<sup>531</sup>*in continuo* (łac.) — ciągle. [przypis edytorski]

<sup>532</sup>*zdetonowany* (daw.) — pozbawiony pewności siebie. [przypis edytorski]

oświeceniu nabiera to zdarzenie cech jakiejś dziwnej fatalności. Albowiem fatalność nie omija naszej świadomości i woli, ale włącza je w swój mechanizm tak, że dopuszczamy i przyjmujemy jak w letargicznym śnie rzeczy, przed którymi wzdramy się w normalnych warunkach.

Gdy wstrząśnięty dokonany fakt, pytałem z rozpaczą matki: — Jak mogłaś to uczynić! Gdyby to przynajmniej Genia była zrobiła, ale ty sama... — matka płakała, łamała ręce, nie mogła dać odpowiedzi. Czy myślała, że ojcu tak lepiej będzie, czy widziała w tym jedynie wyjście z beznadziejnej jego sytuacji lub czy działała po prostu w niepojętej lekkomyślności i bezmyślności?... Fatum znajduje tysiąc wybiegów, gdy chodzi o przeforsowanie jego niepojętej woli. Drobne jakies chwilowe zaćmienie naszego umysłu, moment zaślepienia czy niedopatrzenia wystarczy, ażeby przemycić czyn między Scyllą a Charybdą<sup>533</sup> naszych decyzji. Potem można bez końca *ex post*<sup>534</sup> interpretować i tłumaczyć motywy, dociekać pobudek — fakt dokonany pozostaje nieodwołalny i raz na zawsze przesądzony.

Opamiętaliśmy się i otrząsnęli dopiero z naszego zaślepienia, gdy wniesiono mego ojca na półmisku. Leżał wielki i spuchnięty wskutek ugotowania, bladoszary i galaretowaty. Siedzieliśmy w milczeniu jak struci. Tylko wuj Karol sięgnął widelcem do półmiska, ale opuścił go niepewnie w pół drogi, spoglądając na nas ze zdziwieniem. Matka kazała odstawić półmisek do salonu. Tam leżał na stole pokrytym kapą pluszową, obok albumu z fotografiami i mechanicznej katarynki z papierosami, leżał omijany przez nas i nieruchomy.

Nie na tym jednak miała się zakończyć ziemską wędrówkę mego ojca i ten ciąg dalszy, to przedłużenie historii poza, zda się, już ostateczne i dopuszczalne granice — jest najboleśniejszym jej punktem. Czemuż nie dał wreszcie za wygraną, czemuż nie uznał się w końcu za pokonanego, gdy już naprawdę miał wszelkie powody do tego i los nie mógł już pójść dalej w doszczętnym pogwałceniu go? Po kilku tygodniach nieruchomego leżenia skonsolidował się jakoś w sobie, zdawał się jakby przychodzić pomału do siebie. Pewnego ranka zastaliśmy półmisek pusty. Jedna tylko noga leżała na brzegu talerza, uroniona na zastygłym sosie pomidorowym i galarecie stratowanej jego ucieczką. Ugotowany, gubiąc nogi po drodze, powlókł się ostatkami sił dalej, w bezdomną wędrówkę, i nie ujrzeliśmy go więcej na oczy.

---

<sup>533</sup>między Scyllą a Charybdą (mit. gr.) — wobec konieczności wyboru między dwoma złymi alternatywami (dosł. mowa o potworach morskich, między którymi przepływał Odyseusz). [przypis edytorski]

<sup>534</sup>*ex post* (łac.) — po fakcie. [przypis edytorski]



---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-sanatorium-pod-klepsydra>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: Caetano Candal@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0872-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.